

Pisma

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

PISMA

Bolesław Prus

WIELKI LOS

I

AUTOR PRZEDSTAWIA GŁÓWNE OSOBY I PROSI CZYTELNIKA O WYROZUMIAŁOŚĆ.

Niejaki pan Hipolit, sprzedawszy nieco zadłużoną kamienicę w mieście X., osiadł w Warszawie, na Podwalu. Miał on wprawdzie stały zamiar przenieść się w Aleje Ujazdowskie, gdzie nawet o wynajęcie pałacyku traktował, tymczasowo jednak aż do „zmiany losu” musiał demokratyzować się w czterech pokoikach staromiejskiej dzielnicy. No i demokratyzował się pospołu ze siostrą nieboszczki żony i własną córką panną Amelją osobą ukształconą, lecz dość wyjątkowych usposobień.

Pan Hipolit doświadczał wielkich przykrości, ilekroć przyszło mu wprowadzać kogo po raz pierwszy do swego mieszkania. Już na dole rumienił się za gospodarza, tolerującego w domu wąskie i brudne schody. We drzwiach przeproszał gościa za to, że przedpokój jest ciasny i kuchnia ciemna, a w salonie pokazywał stare tapety i wyliczał wady sprzętów.

— Ja, proszę pana — mówił do gości — zrobiłem w życiu jedno jedyne głupstwo, że sprzedawszy moją kamienicę nie tylko z wszelkimi jej wygodami, ale i z meblami, wywoziłem stamtąd ledwie ten oto fortepian, na którym fornier popękał, i ten oto zegar, któremu zbili w drodze klosz i zgubili perpendykuł. Z tego powodu nie chodzi, tylko stoi na komodzie jako droga pamiątka.

Potem następował opis mebli kupionych tu, w Warszawie, z wolnej ręki. Na rzeczach tych oszukano pana Hipolita, choć przy targu zaklinano się trzy razy na Boga i nierównie więcej razy na honor. Nie dość, że w fotelach i kanapie sprężyny są złe, ale jeszcze pod pokrowcami mole się zagnieździły. Wprawdzie siostra pana, a ciotka panny, zobaczywszy, co się święci, wypchała meble najprzedniejszym bakuniem, ale łotr froter wykradł go i zużytkował do fajki, a mole poniszczyły obicia.

Z tego nawet powodu niesumienny froter został uwolniony od obowiązków, podłoga zaś nabrała osobliwego koloru.

Opowiadając to, nieszczęśliwy właściciel nie chciał bynajmniej popisywać się dawniejszym mieniem i gospodarskimi porządkami, wiedząc, że skłonność do samochwalstwa cechuje dorobkiewiczów i inne mizeractwo. Pragnął tylko zmanifestować żyjące w nim ciągle uczucia pańskie i estetyczne, a zarazem upewnić gościa, że w razie „zmiany losu”, będzie umiał położyć kres tego rodzaju nieprzystojnościom.

Tymczasem los zmieniał się o tyle, że panu Hipolitowi coraz nieregularniej płacono raty i procenta z sumy pozostałej na hipotece domu. Wypadało niejednokrotnie pożyczać od siostry po nieboszczce żonie, a nawet od osób prywatnych. Pan Hipolit za każdą nową pożyczką martwił się niewymownie, do swego dłużnika pisywał listy namiętnie długie i trzymał ćwiartkę na loterii klasycznej. Jako bowiem człek doświadczony, rozumiał, że wszystko zawieść go może, prócz własnego szczęścia, które od kilku lat nie dopisywało wprawdzie, ale tylko chwilowo.

Z loterią też urządził się roztropnie. Jedną ćwiartkę wziął sam, do kupienia drugiej zmusił siostrę, a na trzecią namówił swego krewniaka pana Edmunda, młodego i rozkosznego chłopca. Zachęcał też córkę (która, jako wykwalifikowana retuszerka, posiadała samodzielne fundusze) do nabycia czwartej części losu, ale napróżno. Panna Amelja była emancypantką i filozofką, wierzyła tylko w pracę, postęp i prawa kobiet, a ze snów, loterii i wierszy miłosnych żartowała okrutnie.

Ponieważ ani na upór ukochanej córki nie było lekarstwa, ani na kupno pozostałej ćwiartki — pieniędzy, więc pan Hipolit rachował sobie tak:

— Ja wygram sto tysięcy, moja siostra także sto tysięcy, więc będę miał dwieście tysięcy. Że zaś i Edmund musi też wygrać sto tysięcy, więc ożenię go z Melcią i będę miał razem trzysta tysięcy. Szkoda wprowadzić czwartej setki, lecz zato kupię sobie kilka pożyczek premjowych, a Bóg mnie niezawodnie pocieszy. Zresztą i od trzystu tysięcy można mieć ładny procent...

Tak rachował i cieszył się nadzieją w chwili, gdy miał umysł swobodny. Ale kiedy nabywca kamienicy nie przysyłał pieniędzy i kiedy od własnej córki wypadało nieraz pożyczać ciężko zapracowane u fotografów kilka rubli, wówczas Hipolit tracił wiarę we wszystko. Wybiegał wtedy na miasto szukać choćby najskromniejszej posady dla siebie i postanawiał wydać Melcię choćby za pana Kazimierza.

Ów Kazimierz był człowiekiem niskiego pochodzenia, lecz ponieważ ukończył wyższy zakład naukowy, wszedł więc w towarzystwo nieco lepsze i otarł się trochę — choć niezupełnie. Majątku nie miał, tylko stryja kanonika, który mu obiecywał sukcesją i pomoc; ale że starzec był krzepki i do wydawania pieniędzy nieskory, więc sukcesja i pomoc odsuwały się na dalszy plan.

Cierpliwie czekając na łaskę stryjaszka, Kazimierz, jako wykwalifikowany chemik, wstąpił do dystylarni, gdzie miał niezłą pensyjkę na dziś, a świetne widoki na przyszłość. Mówiono mu półgębkiem, że gdyby mógł włożyć kilka tysięcy rubli w przedsiębiorstwo, wówczas zostałby nawet dyrektorem, jako najzdolniejszy ze współników.

Niejaki znowu pan Gotlieb Schmupfke, piwowar dużej prawości i niemniejszego majątku, zachwalał często przed Kazimierzem wdzięki i posag swej córki Wandzi. Ale młody chemik, aczkolwiek posagiem nie gardził, piękność Wandzi uznawał i całą rodzinę Schmupfke wielce szanował, nie kwapił się jednak z oświadczeniami. Od roku jeżeli nie dawniej strasznie go kłuła w oczy panna Amelja, koleżanka Wandy z instytutu. Kazimierz podziwiał nie tylko jej wdzięki, ale i energią, z jaką wzięła się do retuszerki, jej poglądy na pracę, postęp i prawa kobiet, a nawet jej dziwactwa i sposób traktowania ludzi z góry. Z wielu względów była ona dla niego owocem zakazanym i może z tej racji płonął ogniem znanym jeszcze ojcu rodu ludzkiego.

Jedynym rywalem Kazimierza był Edmund, daleki krewny rodziny pana Hipolita. Młodzieńca tego jednak, który cieszył się względami ojca Melci, nie brano na serjo. Ciotka zgoła nie lubiła go i nazywała kłamczuchem, a niekiedy chłystkiem, Melcia zaś żartowała i z jego elegancji i z jego próżniactwa, z podróży zagranicę i ze stosunków z hrabiami, a nawet ze starego herbu i jasnych sterczących wąsików.

Kazimierz o Edmundzie wiedział tylko, w jakich teatrach amatorskich grywa i o jakie sumy zakłada się w czasie wyścigów, ale ani o tem co robi, ani skąd bierze pieniądze. Zresztą ludzie dobrze urodzeni nie potrzebują odpowiadać na podobne pytania; tak też czynił Edmund i było mu z tem dobrze. Jemu i panu Hipolitowi, który pewne mniej jasne strony życia swego kuzynka składał na karb młodości.

To już i wszystko o meblach pana Hipolita i o jego znajomych. Chyba tylko dla zaokrąglenia rozdziału wspomnimy jeszcze o panu Piotrze, choć doprawdy niewiele o nim powiedziećby można. Był to poczciwiec i miał kapitaliki, które w razie nagłej potrzeby usługiwał osobom bliższym, a więc niekiedy panu Hipolitowi, a czasem panu Edmundowi.

Poczciwiec ten, niski, grubawy, lubił kanarki i był dziwnie punktualny. Raz pożyczył on od Hipolita trzy ruble na dwadzieścia cztery godzin i rzeczywiście na drugi dzień przyszedł do jego mieszkania na kilka minut przed terminem, a następnie, w porze co do sekundy właściwej, położył pieniądze na stole. Sam jednak o należności nie upominał się nigdy. Co najwyżej, składał wizyty w

kilka dni po terminie, lecz już stojąc w progu, mówił, że nie przychodzi bynajmniej w interesie pożyczki i że podejrzeniem podobnym wyrządzonoby mu najcięższą obrazę.

Procenta brał tylko dla porządku, aby nie myślano, że komuś łaskę robi; o wysokości ich zaś niewiele wiemy, interesa bowiem podobne załatwiały się zwykle przy drzwiach zamkniętych.

Wracając do mieszkania pana Hipolita, dodamy, że składało się ono z saloniku, gabinetu jego, gabinetu Melci i pokoju jadalnego, który zajmowała ciotka. Pokoiki te tem się chyba między sobą różniły, że u ciotki wisiał na ścianie obraz Matki Boskiej, u ojca hebanowy krzyżyk, tudzież portrety Sobieskiego i Napoleona, a u Melci wizerunki Robespiera, Woltera, Dantona i gipsowe popiersie Sokratesa, — nie licząc fotografii znakomitości młodszego pokolenia.

Dziewiczy pokój nie posiadał w oknie kwiatów, ani tradycyjnych muślinowych firanek, cacka te bowiem pochłaniają dużo światła, którego Melcia do retuszowania niezbędnie potrzebowała. Żelazne jej łóżko było zasłane po kawalersku, obok niego zaś stała pleciona półka z książkami.

Napróżno w bibliotece tej szukalibyśmy poezji lub romansów, były tam bowiem same dzieła poważne. Więc Darwin, więc Mill, Vogt, Moleschott, Büchner i inni. Autorzy ci, jako apostołowie trzeźwych lub nowych poglądów na świat, cieszyli się sympatją panny Amelji, dla której trzeźwość i postęp stanowiły artykuły wiary.

Ani ojciec, ani ciotka książek Melci nie rozumieli, tylko pierwszy podziwiał gusta córki, druga zaś uważała siostrzenicę za zbłąkaną owieczkę, którą dopiero mąż miał doprowadzić na właściwą drogę.

Oto wszystko, co na początek powiedzieć można o głównych aktorach widowiska.

Ustawieni rzędem, kłaniają się oni prześwietnej publiczności, prosząc o pobłażliwość dla swych wad, gdyby mieli jakie — i dla bazarza, gdyby nie potrafił obudzić dla nich sympatji.

Nawiasowo tylko wspomnimy, że czwarta ćwiartka losu, kupionego przez rodzinę Hipolita, dostała się prostemu lecz zamożnemu chłopu. Jeszcze w zimie przywiózł on masło i cielęta do Warszawy i tu wypadkiem nabył u kolektora bilet.

— A może się trafi? — myślał i odtąd co miesiąc wykupywał właściwą klasę.

— Żeby choć z tysiąc rubli padło!... At!... cobym ja ta zrobił z takimi pieniędzmi. Tfy! pokusa!...

I plunął na los, na którym pan Hipolit fundował swoją dobrze urodzoną przyszłość. Zwyczajnie prostak!

SŁÓWKO O POGLĄDACH MELCI I O SKUTKACH CHWILOWEGO PESYMIZMU JEJ OJCA.

Był już początek czerwca. Widząc niezawodne symptomata bliskiej golizny, pan Hipolit drugi dzień tkwił zamknięty w gabinecie i albo myślał o znalezieniu dla Melci bogatego męża, albo pisał listy do dłużnika, błagając go na rany boskie o pieniądze.

Damy, to jest panna Amelja i jej ciotka, siedziały w saloniku na owych meblach sponiewieranych przez mole.

Ciocia dobrodziejka w przewidywaniu zimy robiła sobie włóczkowy kaftanik na drutach, panna zaś, zmęczona retuszowaniem, czytała. Wczoraj właśnie skończyła broszurę jakiegoś niemieckiego filozofa, który zaklinał się na Boga, że niema duszy i obiecywał we własnym laboratorium zrobić człowieka z nogami i rękami, byle mu. dano trochę czasu i odrobinę tlenu, wodoru i węgla, a nadewszystko fosforu. Celem zgłębienia przedmiotu, wzięła się dziś Melcia do fizjologii i właśnie studjowała rezultaty doświadczeń, wykonywanych na żywych zwierzętach.

W pokoju zalegało milczenie, w wysokim stopniu dokuczliwe dla cioci, której organa mówne, pomimo wieku, cieszyły się młodzieńczą rzeźwością. Jakiś czas spoglądała ona wyzywająco na siostrzenicę, wkońcu zaś, prawdopodobnie z desperacji, zaczęła rozmawiać sama ze sobą, naprzód ciszej, potem głośniejsze.

Melcia, usłyszawszy to, parsknęła śmiechem i złożyła książkę, co znowu ucieszyło starowinę, słusznie odgadującą, że teraz właśnie nadeszła pora otworzenia upustów wymowy. Nie czekając zatem, rzekła:

— Dobrze ci się śmiać, ty filozofko!... Przy tobie zapomniałabym, że mi Pan Bóg język stworzył... Czyta tylko i czyta duby smalone!... Mogłabyś też i mnie trochę o tych bredniach powiedzieć, bo mi chyba uszy zarosną.

— Cha! cha! cha!... — śmiała się panna. — Alboż mnie ciocia zrozumie?

Ciotka obraziła się.

— A cóżeście to wy młode już wszystkie rozumy pozjadały? Myślisz, że i ja nie czytywałam dużo w moim życiu?... Spróbuj tylko pogadać ze mną o tej tam waszej filozofji, a zobaczysz...

Panna Amelja oparła głowę na krawędzi fotelu i śmiała się, o ile jej na to małe usta pozwalały. Dopiero po kilku minutach, nachwytawszy się za boki i otarłszy oczy, odpowiedziała spokojniej, choć prędko, jak to było w jej zwyczaju:

— Więc dobrze, opowiem cioci. Czytam o doświadczeniach Flourensa, który krajał mózg gołębiom...

— Dość! dość!... — zawołała ciotka, gwałtownie trzepocząc rękoma. — Cóżto za oprawca, o miłosierny Boże!... Czy ty możesz myśleć nawet o podobnych obrzydliwościach? i czy nie lepiej zrobiłabyś, czytając mi „Złotą Elżunię,” której tak jestem ciekawa?...

— Bardzo dziękuję! — odparła Melcia, kłaniając się z gestem lekceważenia. — Znam podobne rzeczy i mogę nawet cioci treść opowiedzieć: „Złota Elżunia” musi być grzeczną dziewczynką, której Pan Bóg w nagrodę zsyła zacnego męża i pół tuzina nieumytych aniołków...

Teraz ciotka spoważniała i kładąc na stole robotę, rzekła:

— Co ty tak, moje dziecko, z małżeństwa nieustannie przedrwiwasz? Nie jestże to sakrament taki święty jak inne i — do czego zresztą sama rośniesz?

— Ach! rozumiem to na nieszczęście — odparła Melcia, rzucając pogardliwie ręką. — Nie mam

wprawdzie odwagi zostać starą panną, ale też i nie myślę wyjść zamąż tak, jak miliony innych panien.

— Czy i na to wynalazłaś nowy sposób?

— Zapewne! Moja niewola musi być przyjemną, inaczej zaś wolałabym się utopić...

— O Boże! Boże!... — westchnęła staruszka. — Biednyż będzie ten twój mąż, kochanie...

— Wcale nie biedny! — pochwyciła ze śmiechem panna. — Przeciwnie, musi być majątny, a przynajmniej zamożny, abym mogła zajmować się czem chcę, wyjechać zagranicę...

— Więc wyjdź za pana Piotra...

— Kiedy wolę młodego i przystojnego.

— Niby takiego jak Edmund? — spytała złośliwie ciotka.

— Za mało ma rozumu.

— Więc bierz Kazimierza — pochwyciła staruszka, patrząc na nią badawczo.

Melcia spuściła oczy, zastanowiła się, lecz ani jeden muskuł jej twarzy nie drgnął.

— Od biedy, gdyby miał majątek, nie odrzuciłabym go...

— Dlaczegoż od biedy?

— Bo nie ma nazwiska, ani eleganckiego układu.

— Przecież wy o nazwiska nie dbacie! — zawołała ciotka.

— Gdzie indziej jest to zapewne obojętne, lecz u nas, z podobnym dodatkiem żyje się weselej niż bez niego.

— No więc Edmund przypada ci lepiej do gustu?

— Tylko w ostateczności i to pod warunkiem, że nareszcie odziedziczy ów majątek po dziadku. Z takim jak on mężem, żyć trudno, ale bywać w towarzystwach można, a i zrobić też z niego coś się da!

Ciotka pokręciła głową i rzekła nagle:

— A miłość?

Melcia znowu zaczęła się śmiać.

— Miłość!... z kwiatkami, księżycem, o głodzie, w brudnym mieszkaniu?... O moja ciociu, ależ ja jestem człowiekiem, ja chcę żyć!... Uczucia zawsze się znajdują, lecz o wygody trudniej. W biedzie miłość prędko ostygnie, ale przy majątku, wśród ciągle nowych wrażeń, można znaleźć tysiące przedmiotów do zachwyty, począwszy od pięknej sukni, a skończywszy na ładnej prelekcji. Przytem ludzkość i jej dobro stanowią niewyczerpane źródło uczuć, tylko ich szukać nie umiemy.

— Szczęśliwa twoja matka, że tego nie słyszy! — szepnęła staruszka.

A po chwili dodała:

— Ha! może to i samo przejdzie... Pamiętam, że nieboszczka Mania póki była panną, grała tylko na fortepianie i malowała pejzaże, a małemi dziećmi brzydziła się. Dopiero gdy jej Pan Bóg dał własne...

W tej chwili zapukano do przedpokoju i niebawem wszedł do saloniku młody człowiek niski, śniady, niezbyt zręczny, lecz z twarzą myślącą i bystremi oczyma. Zdawał on się być w wyjątkowo wesołym nastroju. Promieniował radością, jeżeli wolno porównywać człowieka z kaloryferem.

— Coś się stało — rzekła po przywitaniu ciotka — że pan Kazimierz przychodzi do nas w południe.

— Chciał nam zrobić niespodziankę — wtrąciła panna.

— Ma pani racją, stało się! — odparł Kazimierz tonem nietyle eleganckim, ile stanowczym. — Zostałem wicedyrektorem naszej dystylarni, mam sto rubli miesięcznie, cztery pokoje paradne, opał, światło... Cóż pani na to? — zwrócił się do Melci.

Panna skrzywiła się, poczem odpowiedziała zwolna:

— Ja na to?!... chyba — że będzie pan miał mieszkanie obszerne, widne i ciepłe.

Młody człowiek zarumienił się.

— Zasłużyłem na tę naukę! — odpowiedział zmieszany. — Ale... widzi pani, dostałem posadę dopiero przed paroma godzinami i prosto z fabryki przybiegłem, aby pan... państwu o tem donieść. Nie mam nikogo...

Teraz pannie Amelji zrobiło się przykro, wyciągnęła więc do Kazimierza rękę i rzekła:

— No, ale niech pan tego nie bierze zbyt poważnie. Ja tylko chciałam pana trochę zmartwić, chociaż także cieszymy się pańskim powodzeniem.

W osobliwym widać nastroju przyszedł tu Kazimierz, łaskawe bowiem wyrazy stropiły go tak, że umilkł i zmieszał się jeszcze bardziej.

Scena ta dobre wrażenie zrobiła na cioci, która, wzięwszy robotę do rąk, rzekła, pilnie patrząc na druty:

— Teraz mógłby się pan nawet ożenić. Tysiąc dwieście rubli, mieszkanie i opał, to nie bagatela w Warszawie...

Młody człowiek począł niespokojnie kręcić się na krześle i zacierać ręce. Jednocześnie Melcia doświadczyła pewnego zakłopotania i pod pozorem odniesienia książki, zarumieniona trochę, wybiegła do swego pokoju.

Gdy zamknęła drzwi, Kazimierz pochylił się ku ciotce i drżącym nieco głosem szepnął do staruszki, jakgdyby między nimi oddawna istniało porozumienie:

— Przyszedłem oświadczyć się...

Ciotka aż klasnęła w ręce.

— A idźże prędzej za nią! — rzekła.

— Kiedy nie wiem co mówić?

— Padnij na kolana i powiedz, że ją kochasz.

— Wyśmiej mnie!

— Nie wyśmiej... Stary to obyczaj, ale dobry... Zróbże tak! — mówiła, trzęsąc rękoma. — Ona ma wprawdzie gorącą główkę, ale złote serce. Byłeś ją rozczulił, a teraz właśnie pora, kiedy ci sama rękę podała, przyrzeknie ci i dotrzyma. Idź! idź! — dodała, popychając go ku drzwiom — jej właśnie takiego męża potrzeba!

Kazimierz wahał się chwilę, lecz nagle usiadł znowu z miną desperata.

— Skompromitowałbym się w jej oczach!... Nie mogę... Wolę pierwiej z panem Hipolitem pogadać...

Skrzypnęły drzwi, Melcia wróciła. Kazimierz wlepił w ciotkę spojrzenie tak błagalne, że staruszka, zrozumiałwszy niemą jego prośbę, przygryzła wargi z gniewa i rzekła:

— Rób jak chcesz! Wy młodzi macie swoje sposoby, podobno lepsze od dawnych.

Dla formy tylko dodamy, że panna Amelja z ostatnich słów wybornie domyśliła się, o co chodzi. Gdyby Kazimierz usłuchał rady ciotki i upadł przed panną na kolana, może wobec tego objawu uczuć, przysłyby lodowate poglądy jej na małżeństwo. Ale młody człowiek nieustannie chłodzony przez ukochaną, nie zdobył się na wybuch podobny, a i Melcia miała czas zebrać myśli i uporządkować swoje teorie. Wróciła więc do saloniku jak zwykle obojętna i bardziej odpychająca. W tej chwili nawet tajemne konszachty Kazimierza z ciotką wydały jej się zabawnymi, a jego plany matrymonjalne zuchwalstwem. Już to co prawda, Melcia była bardzo kapryśna.

Dalsza rozmowa ciągnęła się nieosobliwie. Panna zarzucała konkurenta pytaniami z zakresu fizjologii i pozostałej litanji nauk przyrodniczych; młody wice-dyrektor dystylarni był roztargniony, a ciotka rozgniewana. Szczęściem wszedł do saloniku pan Hipolit i zabrał niefortunnego wielbiciela do swej kancelarji, w celu zasiągnięcia jego opinji o jakiejś finansowej kwestji.

Hipolit był dziś tak znegany, że naprzód zapomniał włożyć krawata na szyję, a powtórę otworzył przed Kazimierzem serce naocześnie i bolejącym głosem opowiadał chemikowi o wszystkich swoich kłopotach.

Zaczął naturalnie od sprzedaży kamienicy i kupienia mebli zjedzonych przez mole. Potem przeszedł do niesumiennego nabywcy domu, który ani rat, ani procentów płacić nie chce; dalej zwymyślał wszystkich dobrze urodzonych, „aczkolwiek sam z nich pochodził,” natomiast zaś przepowiadał znakomitą przyszłość fabrykantom wogóle, a dystylatorom w szczególności.

— Jak szczęścia pragnę — zawołał rozzalony — że wydałbym Melcię prędzej za uczciwego szewca, aniżeli naprzykład za obywatela ziemskiego. To klasa zgubiona, spełnia się na niej wyrok Boży!

Kazimierz nie wiedział wprawdzie, jaki to mianowicie wyrok Boży spełnia się na obywatelach ziemskich i mimowoli przypomniał sobie, że przed miesiącem ten sam pan Hipolit o tej samej klasie narodu miał inne cokolwiek opinie. Że jednak sprzeczności podobnych nasłuchał się dosyć, zamiast więc polemizować ze zbolałym ojcem, przystąpił do kucia własnego interesu.

Przedewszystkiem tedy Kazimierz zawiadomił pana Hipolita o nowej posadzie, wspomniał o pensji, którą zapomocą godziwych dochodów powiększyćby można i o mieszkaniu z opałem i światłem, które w ostateczności rozszerzyćby się dało. Nadmienił, że około Nowego Roku zawakuje posada dyrektora z pensją trzech tysięcy rubli i wyraził nadzieję otrzymania jej: stryj bowiem kanonik niezawodnie pożyczycy mu pieniędzy, aby mógł wejść do spółki.

Po tym wstępie młody człowiek odpoczął, otarł pot z czoła i oparłszy obie ręce na dygoczących ze wzruszenia kolanach, oświadczył panu Hipolitowi chęć wejścia w związki legalne z jego jedyną, pełnoletnią córką Amelją.

Skutek mówki był nadspodziewany. Hipolit roztkliwił się, uściskał wice-dyrektora, podziękował za wyrządzony jego domowi honor i obiecał ze swej strony nie stawiać przeszkód małżeństwu, jeżeli takowe zaakceptuje Melcia.

— Widzisz, mój kochany — kończył — dziś to jeszcze tak bardzo żenićbyś się nie mógł... Ale gdy zostaniesz dyrektorem, , no!... staraj się tylko pozyskać serce Melci, a nadewszystko nic nie wspominaj o naszej rozmowie, bo to dziewczyna, jak ci wiadomo, strasznie samodzielna i gotowa zgrymasić, jeżeli się dowie o mojem postanowieniu zrobionem bez jej wiedzy.

Rada wydała się Kazimierzowi bardzo rozsądną. Wiedział on, że serce Melci trzeba zdobywać jak fortecę, tymczasem więc był kontent z pozyskania względów ojca, o których zawsze wątpił.

Potem uściskano się jeszcze raz i pogadano w niewielu słowach o interesie finansowym. Gdy następnie obaj panowie wyszli do saloniku, mieli już miny tak niewinne, że Melcia nie podejrzewała nawet aktu oświadczyn, a ciotka była przekonaną, że Kazimierz równie dobrze zląkł się teraz ojca, jak przed pół godziną córki.

Wkrótce konkurent pożegnał rodzinę, a Melcia w swym pokoiku wzięła się do retuszowania. Korzystając z tego, ciotka rzekła:

— Czy szwagier wie, że Kazimierz został wice-dyrektorem fabryki?

— Mówił mi o tem — odparł Hipolit, odwracając się do okna.

— Porządny człowiek! — dodała ciotka.

— E... he... hem! bardzo... bardzo...

— A czy szwagier wie, że on chce oświadczyć się o Melcię?...

— A... a... a... siostra skąd o tem wie? — spytał Hipolit, ciągle nie patrząc na nią.

— Domyślam się.

— Chybaby oszalał!... oszalał!... — odparł ojciec niespokojnie, pocierając kark ręką.

Niedługo potem dał słudze do zmienienia paperek dwudziestoipięciorublowy, upominając ją, aby nie zgubiła. Niewiadomo dlaczego przywidziało się ciotce, że pan Hipolit pieniądze te pożyczył od Kazimierza; prawdopodobnie jednak były to podejrzenia zupełnie nieuzasadnione.

Ku wieczorowi pan Hipolit odzyskał zwykły humor. Był wesół i dumny jak dawniej, opowiadał pocieszne facecje o zarozumiałości dorobkiewiczów i marzył o wygranej na loterji już w tych dniach. Z powyższych objawów podejrzliwa skutkiem starości ciotka, wnioskowała, że jej szwagier musi mieć w portmonecie jeszcze jeden niezmieniony dwudziestopięciorublowy papierek i w duchu upierała się przy zdaniu, że albo Pan Bóg Hipolitowi z nieba spuścił pieniądze, albo je Kazimierz pożyczył.

Uprzedzenia żółciowej damy były tak wielkie, iż w rozumowaniach swoich nie wahała się iść dalej i przypuszczać, że Kazimierz oświadczył się ojcu o Melcię i że został przyjęty.

— Najniezawodniej obiecał mu! — mruzczała staruszka. — Ciekawa tylko jestem, co pierwej odda: czy jemu córkę, czy mnie moje pieniądze?

Zagadkowe pytanie to mogłoby naprowadzić na myśl, że pan Hipolit wiele rzeczy obiecywał, choć nie wszystko dotrzymywał. Ponieważ jednak wypadki podobne trafiają się ludziom najporządniejszym, nie widzimy więc powodu dłużej zastanawiać się nad niemi.

ZROZPACZONY EDZIO CHCE ZACIĄGNAĆ NOWĄ POŻYCZKĘ.

Nie jestem pewny, czy świat dowie się rzeczy nowej, gdy powiem, że ulice wielkich miast przedstawiają dużo różnaitości i ruchu. W zarysach ogólnych podobne one są do strumieni, których podziurawione brzegi odpowiadają kamienicom z ich lokalami do wynajęcia. W dziurach tych niższe piętra zajmują raki, ze względu na drapieżność nie różniące się od gospodarzy domów. Na piętrach wyższych gnieźdzą się żaby, istoty posiadające łydki i nader lekkomyślne, które podczas kwakania w niezwykle sposób wydymają podgardla.

W dnie słoneczne strumień, jak i wielkowiejska ulica, roi się właściwą populacją. Widzisz tam większe i mniejsze rybki, podążające w obu kierunkach za swojemi rybiemi interesami, lub gromadkę kijanek, idących z guwernantką na spacer. Niekiedy na środek tej arterji ruchu wyjeżdża szczupak, niby znakomity pan, przed którym wszyscy uciekają. Niekiedy w tłumie zwykłych przechodniów pojawia się malutki szczupaczek, pierwowzór nowoczesnego liberała, który dlatego tylko nie kąsa, że mu jeszcze zęby nie urosły.

Kilkucalowy szczupaczek taki wobec parucalowych płotek zachowuje się bardzo przyzwoicie. Grzecznie ustępuje innym z drogi i nie zaczepia nikogo, kimby się mógł udławić. Ale otóż zły los napędził mu rybkę o połowę mniejszą od niego. Szczupak nagle staje, rybka uskakuje w bok, chce uciec, lecz nie wie gdzie... Już ją złapał!...

Pewnego dnia na ulicy Senatorskiej można było podziwiać białego i różowego młodzieńca w tyrolskim kapelusiku, z kwiatkiem w dziurce od guzika i z laseczką, w gałce której tokarski kunszt uwięził japońskiego złotwica, drżącego nieustannie jak galareta. Młodzian ten spoglądał na świat przez kryształowe binokle i do przechodzących kobiet wyszczerzał cztery sztuczne zęby perłowego koloru. Był on zresztą wesoły jak człowiek, który po śniadaniu złożonem z lekkiej herbatki, idzie na śniadanie złożone z porteru i mięsa.

Młodzieńcem tym jest kilka razy już wspomniany pan Edmund, kuzyn Hipolita. Zmierza on właśnie do najpierwszej jadłodajni w Warszawie i usiłuje rozwiązać zagadnienie matematyczne: jakimi drogami może dojść do postawienia przyjaciołom kilku butelek wina ten, który ani grosza w kieszeni nie posiada?

Nagle — pięknie zarysowane brwi pana Edmunda ściągają się, a usta otwierają bardziej niż zwykle. Zwraca on spiesznie głowę nabok i poczyną patrzeć na wiszące za oknem stroje damskie, potem cofa się, chce przeskoczyć na drugą stronę ulicy, lecz wkońcu — uśmiecha się i biegnie w objęcia niskiego i grubego jegomości, który od kilku chwil bystro mu się w oczy wpatrywał.

Owym jegomością jest pan Piotr, który uchyla przed młodzieńcem kapelusz i ukazuje Europie parę garści szpakowatych i starannie utrzymanych włosów. Jakiś kupczyk, stojący w szklanych drzwiach sklepu, ze zdziwieniem obserwuje niezwykle ruchy Edmunda i napróżno stara się sobie wytłomaczyć, dlaczego piękny młodzieniec zmieszał się tak na widok poczciwej fizjognomji pana Piotra? Tymczasem był to zwykły pojedynek małego szczupaka, z mniejszą od niego płotką.

— Dzień dobry!... dzień dobry!... — woła Edmund z nerwowym śmiechem, chwytając Piotra za pulchne ręce. — Pewnie myślisz pan, że m zapomniał? Otóż nie! Wybierałem się właśnie do pana w ciągu tego miesiąca ze sześć razy...

— Ależ czcigodny panie! — przerywa Piotr — któż o podobnej bagatelce mówi na ulicy...

— O nie!... to nie bagatelka... — woła Edmund. — Dług dla honorowego człowieka...

Pan Piotr uśmiecha się i przerywa:

— Czy pan wie, że mi zdechł kanarek?...

— Czy podobna?

— Jak pana poważani!

— Ach! jakże ubolewam nad tym wypadkiem! — upewnia Edmund. — I któryż to?

— Ten, któremu samiczka głowę oskubała...

— Pewnie zapalenie mózgu?...

— Nie! Prawdopodobnie niestrawność, bo znalazłem u niego w dzióbku trochę sałaty... Co się zaś tycze naszego interesu...

— Drogi panie! — mówi Edmund — możesz być zupełnie spokojny!... Bądź pan tylko łaskaw za ten miesiąc policzyć sobie procent... no... jaki pan chcesz...

— Aaa... panie! — oburza się Piotr. — Tylko tak pan ze mną nie rozmawiaj, bo odejdę bez pożegnania...

— Jesteś pan zbyt dobrym, ażebyś mógł mi zrobić podobną przykrość — odpowiada Edmund z miną serdecznie przyjacielską. — Co zaś do naszej sumki, to właśnie dziadek ma mi dać po wyścigach tysiąc rubli...

— Oj ten dziadek, zanadto kochanemu panu pobłąża!...

Jakże jego szanowne zdrowie?

Edmund na znak smutku wysuwa naprzód dolną wargę.

— Nogi mu puchną... Jesteśmy zaniepokojeni!

— Dziwna rzecz! — mówi Piotr jakby do siebie — zdaje mi się, że wczoraj jeździł konno po placu Ujazdowskim?

— A tak!... Wczoraj miał się znacznie lepiej! — odpowiada Edmund, a potem chwyta Piotra pod rękę i idąc, szepcze mu do ucha:

— Uważa szanowny pan... Potrzebuję koniecznie, ale to koniecznie... w tej chwili pięćdziesięciu rubli. Idę na śniadanie, gdzie będzie kilku moich przyjaciół, a ponieważ z dziadkiem widzieć się nie mogłem (jest z nim dziśbardzo źle) więc... Pojmujesz pan?

Pan Piotr myśli w tej chwili o zmarłym ptaszku, a potem nagle pyta:

— Przepraszam... która też godzina na pańskim zegarku?

— Wpół do pierwszej! — odpowiada skwapliwie Edmund, patrząc na złoty chronometr.

— Śliczny mebelek!

— Dostałem go przed tygodniem od ciotki, do której dziś właśnie muszę iść na obiad... Więc... Czy nie mógłbyś pan zrealizować tych pięćdziesięciu rubli?...

— Nie mam, jak pana kocham!

— Może choć dwadzieścia...

— Dwieście! panie... gdybym miał. Ale nie mam... Edmund jest zrozpaczony.

— Ach! wiem co zrobię! — woła, zatrzymując się na ulicy. — Mam bilet na loterię, kup go pan... wszakże to dziś ciągnięcie... Namówił mnie Hipolit do wzięcia ćwiartki jego losu, więc wygrana pewna...

— Kiedy nic nie mam przy sobie.

Edmund chwyta go za rękę i z wybuchem uczucia mówi:

— Drogi panie Piotrze! w tej chwili muszę iść do Stępka, więc przyslij mi pan... no, niewiele... z dziesięć rubli! Nad wieczorem oddam panu, choćbym miał zegarek zastawić... Słowo honoru daję!

Poczem opuszcza pana Piotra i odchodzi złamany. Poczciwiec chwilę popatrzył za nim, kiwnął głową i zwolna podreptał ku Podwalowi.

Pan Piotr nie od dziś dnia miał interesa z Edmundem i kontentował się tylko procentami;

kapitaliku bowiem przed śmiercią owego dziadka, który mimo zatrważającej puchliny w nogach jeździł konno, nie mógł, odebrać.

Pewność zatem była niewielka, a termin dość nieokreślony, ale poczciwina nie martwił się tem. Miał on jakąś słabość do Edzia i lubił tolerować nawet jego wybryki. Pewnego razu Edzio tak dalece nadużył sympatji swego przyjaciela, że pożyczył od niego pieniędzy na kwit cudzem opatrzone nazwiskiem, które własnoręcznie podpisał. Piotr, wiedząc o tem, pogroził mu tylko palcem, lecz pieniądze dał, Edzio zaś ślubował sobie w duchu, że kiedyś hojnie wynagrodzi dyskrecją i pobłażliwość jowjalnego kapitalisty.

Był to chłopiec dobry — jak mówili pan Piotr i pan Hipolit — tylko trochę lekkomyślny. Z wiekiem jednak mógł się ustatkować i wyjść na zanego obywatela.

Opinia ta musiała być słuszną, skoro podzielał ją sam Edmund i często powtarzał:

— Ja wiem o tem, że w gruncie rzeczy jestem najuczciwszym facetem i że nie mogę być innym, czując nieprzeparty pociąg do cnoty. Ale urodziłem się na wielkiego pana i muszę wydawać przynajmniej trzy tysiące rubli rocznie. Że zaś po śmierci dziadka i innych członków rodziny mogę mieć dwa razy tyle, więc z sumy tej wydam to, co jest dla moich potrzeb niezbędne, a resztę obrócę na pożytek ogólny i dobroczynne cele. Zobaczycie mnie wtedy!

**O TEM, CZY PAN HIPOLIT ZNAŁ SWOJĄ CÓRKĘ I CO W JEGO DOMU MÓGŁ
USŁYSZEĆ PAN PIOTR, GDYBY PODE DRZWIAMI
PODSŁUCHIWAŁ.**

— Ależ bo panny terazniejsze, to istne dziwowiska! — mówi pan Hipolit do ciotki, podczas gdy Melcia, retuszująca w swoim pokoiku, słuchała wszystkiego przez drzwi otwarte. — Weźmy na przykład Reginę. Dziewczyna bez posagu, zamiast ukształcić się na guwernantkę i osiąść przy jakiej uczciwej rodzinie, jedzie sama jedna do Warszawy i uczy się szewctwa.

— Cóż w tem złego? — pyta Melcia.

— Jakto co?... Szewctwo nie jest właściwe dla kobiety, a tem bardziej dla panny z dobrego tonu. Kobieta, która nie umie szyć bielizny, ani haftować, nie zna się na robotach szydełkowych i drutowych, musi ciągnąć skórę! — mówi ciotka i patrzy w stronę Melci.

Ojciec przypomina sobie teraz, że jego córka nie zna się na wymienionych pracach damskich, szybko więc bierze jej stronę.

— No, cóż tam haft i szydełko! Melcia także się tem nie zajmuje, a jednak... W kobiecie grunt stanowi serce i rozsądek, Regina zaś nie ma serca ani odrobiny. Porzuciła trzech narzeczonych przez pychę i chciwość, ponieważ za każdym razem zdawało się jej, że robi lepszy los. Rozmawiałem przecie z tą dziewczyną i wyznaję, żem się zgorszył, kiedy mi zaczęła tłumaczyć, że życie bez swobody i majątku nic niewarte i że małżeństwo to niewola wynaleziona przez księży dla oglupienia ludzi...

— Teraz wszystkie panny tak mówią! — wtrąca nieśmiało ciotka.

— Przepraszam cię — przerywa Hipolit — żadna dobrze wychowana panna tego nie powie. Ja nawet, biorąc rzeczy sprawiedliwie, nie obwiniam samej Reginy, ale jej rodziców. Matka, choć w domu była bieda, zamiast czuwać nad córką osobiście, wyręczała się, guwernantkami, ojciec znowu nie zapytał nigdy, co robi jego dziecko, jakie ma zasady i sposób myślenia. Nawet więcej powiem: on jej prawie nie zna, patrzy na nią przez jakieś dziwne okulary i cieszy się nią, chociaż ludzie sarkają!

Ciotka opuszcza robotę na kolana i patrzy na mówiącego ze zdziwieniem. Według jej opinii, Melcia nie tak znowu bardzo różni się od Reginy i pan Hipolit również nie zna swej córki, na którą patrzy przez różowe okulary. Ale ciotka boi się trochę szwagra, więc milczy.

— Psuje się społeczeństwo! psuje!... — woła Hipolit. — Już jakbym widział nadchodzący koniec świata...

— A czy Antychrysta z piecem ognistym nie widzi jeszcze papa? — odzywa się Melcia.

— A lokomotywa to nie piec ognisty, ty figlarko? — pyta ojciec.

— Ona właśnie zapowiada koniec starego świata i zbutwiałych przesądów! — twierdzi panna głosem uroczystym.

— 'Tak! tak! — potakuje spiesznie ojciec. — Koniec starego świata! Ja to zawsze mówiłem... Naturalnie...

Do saloniku wchodzi pan Piotr z ukłonem bynajmniej nie odpowiadającym jego przysadkowej grubości. Hipolit aż się wtył wygiął i oczy w słup postawił.

— A do licha! — mówi, ściskając gościa — na śmierć zapomniałem...

— Czcigodny panie! — woła Piotr — pan zawsze mnie posądza... Przecież to dopiero tydzień po terminie... Jakże się miewa pani dobrodziejka? — pyta ciotki, całując ją w rękę z taką energią, że

sobie o mało drutem oka nie skaleczył. — A nasza piękna różyczka czy wesola?

— Jak zawsze, kiedy pana widzi! — odzywa się Melcia ze śmiechem.

— Czy pozwoli pani ucałować sobie paluszki? — pyta Piotr, stając we drzwiach jej pracowni.

— Nie radzę! — odpowiada Melcia — gdyż obie ręce mam powalane tuszem...

Uszczypliwość córki niepokoi Hipolita, który dla świętej zgody prosi gościa do swego gabinetu.

— Przenigdy! — woła Piotr. — Gdy zostaniemy sami, zechcesz pan zaraz mówić o tych nudnych interesach, a człowiek przecie wstępuje do państwa poto tylko, aby skąpać duszę w atmosferze rodzinnego szczęścia, młodości, piękności, uczciwości...

Hipolit aż spotniał.

— Właśnie onegdaj sam wybierałem się do pana...

— Aaa... — przerywa Piotr, wstając z krzesła — kiedy szanowny pan niekontent z mojej wizyty...

— Uchowaj Boże!... — protestuje Hipolit i ściska go za rękę.

— Ja tylko żartuję!... — mówi Piotr z dobrodusznym uśmiechem. — Otóż kiedy pan niekontent, więc powiem, że wstąpiłem do państwa tylko przypadkiem i tylko na pięć minut... Idę bowiem na Piwną ulicę kupić sobie kanarka, ponieważ wczoraj — dodaje z tłumionym westchnieniem — jeden mi zdechł!...

— Jezus! Marja! — wykrzykuje gospodarz.

— Tak, niestety!... Że zaś pozostała samiczka od rana płacze mi nad głową z tęsknoty, a zatem — złożywszy państwu uszanowanie, biegnę na Piwną...

Czuły pan Piotr chwyta kapelusz, całuje w rączkę ciotkę, kłania się z progu lewemu bokowi Melci i pomimo zaklęć gospodarza, aby z nim porozmawiał w gabinecie, wymyka się do przedpokoju.

Na schodach wyminął uczciwego kapitalistę jakiś facet w czapce zepchniętej na tył głowy, z czarną rozdwojoną brodą i rozrzuconemi rękoma. Obywatel ten był dziwnie wzruszony i przebiegając około Piotra, spytał go:

— Czy tu mieszka pan Hipolit?...

Potem wpadł we drzwi i zatrzymał się aż na środku salonu, krzycząc:

— Wygrał pan!... wygrało państwo!... wielki los!... I runął na krzesło.

Usłyszawszy to, ciotka upuściła robotę na ziemię, Melcia ponsowa wybiegła ze swej pracowni, a pan Hipolit, stojąc — skamieniał. .

— Aj! — mówił płaczącym głosem przybyły — jakie ja głupstwo zrobiłem, że temu gałganowi chłopu sprzedałem ostatnią ćwiartkę. Byłbym teraz straszny pan i wynajęłbym na dystrybucję ten wielki sklep za tysiąc rubli...

I zaczął szlochać, spuściwszy głowę na piersi. — Co panu jest? — krzyknął Hipolit, zatrwożony jego bladością.

— Tak mi słabo koło serca!...

— Wody!...

— Octu!... — krzyknęła ciotka.

— Jest wódka kolońska! — dodała Melcia, podsuwając choremu pod nos długą flaszkę.

— Aj! serce mi pęknie!... — biadał gość, a spostrzegłszy przy sobie pana Hipolita, dodał:

— Jeżeli pan chce, ja panu zaraz mogę zapłacić za te trzy ćwiartki... Och!

— Owszem... choćby natychmiast...

— No, ale pan musi coś dać odstępnego... Ach! jak mi serce bije... Czy państwo nic nie słyszą?

— Ileż pan chcesz odstępnego? — spytał Hipolit, siadając, dopiero bowiem w tej chwili uczył brzemień swego szczęścia i osłabł.

Ciotka tymczasem, płacząc, modliła się, Melcia zaś z niekłamanym uczuciem całowała jej chude ręce.

— Ile ja chcę? — mówił gość jękliwie. — Ja dam jaśnie panu za trzy ćwiartki czterdzieści tysięcy rubli.

— Ja mam tylko dwie ćwiartki... Jedną ćwiartkę odstąpiłem memu kuzynowi...

— No, przecież i moja ćwiartka... — wtrąciła ciotka nagle, przestawszy płakać.

— Tak — poprawił się Hipolit — my mamy dwie ćwiartki. — To ja państwu za te dwie ćwiartki dam gotówką dwadzieścia pięć tysięcy rubli...

— Ależ nam się należy trzydzieści dwa tysiące rubli! — zawołał gospodarz,

— To dopiero po wyjściu tabelki! — przerwał kolektor. — A tymczasem może być wojna, może państwu kto bilety ukraść...

— Nigdy!... — krzyknął Hipolit, blednąc i chwytając się za piersi.

— Co nie mają ukraść?... Jeszcze mogą zabić!... Aj!...

— Boże! ulituj się nad nami... — szepnęła ciotka. Hipolit zamyślił się.

— Mój panie kupcze — rzekł po chwili — idź teraz do domu i wypocznij... Jutro pogadamy...

— Dlaczego jutro? Ja już jestem wypoczęty. Jak się nazywa ten pan, co ma trzecią ćwiartkę?

— Nie nazywa się... wcale się nie nazywa! — przerwał już rozgniewany Hipolit. — Przyjdź pan jutro, a wszyscy się tu znajdziemy.

Markotny kolektor, wzdychając, zabierał się do wyjścia.

— No, a za wiadomość ja nic nie dostanę?...

— Jutro!

— Szukałem pana po całym mieście, latałem po schodach, małym ducha z siebie nie wypuścił...

— Dość tego! — krzyknął pan Hipolit, prowadząc gościa ku drzwiom. — Jutro będzie wszystko i za fatygę i procent...

Gdy kolektor wyszedł, pan Hipolit zamknął drzwi od sieni na klucz i głęboko wzruszony zawołał:

— Melciu!... siostró kochana!...

Obie panie wpadły w jego objęcia z płaczem.

— A teraz — ciągnął — w tej szczęśliwej godzinie przebaczymy sobie wszystko... Droga siostró!... ja może niezawsze, z powodu ciągłej irytacji i kłopotów, okazywałem ci moje uczucia... Ale...

— Dajże pokój!... — przerwała ciotka. — Tyś zawsze był dobry, choć trochę prędki, a i Melcia też...

— Zaraz jutro — mówił Hipolit — musimy dać na nabożeństwo...

— Po co? — spytała Melcia.

— Na podziękowanie Bogu — odparł ojciec, nie zwracając na słowa córki zbyt szczególnej uwagi. — Następnie weźmiemy inny lokal, najlepiej w Alejach Ujazdowskich, bo to istna wieś. Potem trzeba kupić kasę ogniotrwałą, spłacić długi...

— Oj! to... to... — szepnęła ciotka.

— Ale najważniejsza rzecz — ciągnął pan Hipolit, niszcząc głos — jest ta, ażeby zabezpieczyć bilety... Szachraj kolektor ma rację... W Warszawie pełno łotrów, a niechby się tylko dowiedzieli...

— Pod Twoją obronę uciekam się Boża rodzicielko!... — mówiła ciotka.

— Ty, moja droga siostró, możesz być zupełnie spokojną, tylko... dajże mi swój bilet.

Ciotka aż cofnęła się i rozkrzyżowała ręce.

— Naco szwagrowi mój bilet?... — spytała, mrugając oczyma.

— Dla bezpieczeństwa... Przecież...

— Ja nie oddam nikomu mego biletu! — odparła stanowczo.

— Jaktó, nie oddasz siostra? — krzyknął Hipolit. — Więc wyłączasz się chyba z rodziny?...

— Ja chcę mieć u siebie moje pieniądze... Szwagier poczerwieniał jak indyk.

— A to się nowych rzeczy dowiaduję! Więc siostra mi nie ufasz?... za ten przytułek i opiekę, jakie miałaś w moim domu...

— Przecież ja darmo nie siedziałam u szwagra... Przecież cały mój kapitałik poszedł na dom...

— Ciociu! ciociu!... — zawołała Melcia, ściskając ją.

— Boże! — jęknął Hipolit, trzęsąc się z gniewu — jakie czasy!... Najbliższym wierzyć nie można!... Gdzie się podziały serca, wdzięczność, uczucia familijne!...

— Papo drogi!... ojczy!... niech się ojciec uspokoi!... — błagała Melcia.

— Do śmierci nie uspokoję się po tym strasznym ciosie, jaki mi... ta pani zadała!... Powiedz — zwrócił się do ciotki — kto ci poradził, abyś wzięła na loterję, czyj to był pomysł, jeżeli nie mój?...

— Prawda, że szwagra pomysł, ale ja za obie ćwiartki płaciłam... Na dobry sąd, toby mi się i druga wygrana należała...

— Cha! cha! cha! — wybuchnął tragicznym śmiechem pan Hipolit. — Bóg na mnie zesłał szczęście, ci ludzie podzielili się niem i jeszcze mi ostatnią częśćkę chcą wydrzeć. Gdzież sumienie?... pytam... Gdzie się sumienie podziało na tym świecie?... O wdzięczności nie mówię już, bo to czcze słowo, ale między tymi ludźmi nawet uczucie przyzwoitości wygasło... Taka to nagroda za moje serce!... za opiekę i pomoc!...

— Szwagrowi także ludzie pomagali!

Pan Hipolit rozkraczył nogi i wyciągając rękę do córki, rzekł głosem uroczystym:

— Melciu! proś tej pani, ażeby do mnie nie mówiła... Każde jej słowo rani mi duszę i zakłóca pokój w grobie twej nieszczęśliwej matki, a jej siostry...

Ciotka na dobre rozplakała się.

— Moja siostra — mówiła, szlochając — moja biedna siostra, nie przeze mnie była nieszczęśliwą, nie przeze mnie zesła ze świata...

Pan Hipolit ciężko odetchnął, rzucił na ciotkę spojrzenie króla pustyń i wyszedł do swego gabinetu, strzelając drzwiami. Po chwili doleciał stamtąd jęk podobny do ryku. Przerazona Melcia pobiegła za ojcem z flaszką wódki kolońskiej.

Drżąca z oburzenia i strachu ciotka stanęła pode drzwiami, wsłuchując się w biadania szwagra, przerywane stękaniem. Dobre pół godziny upłynęło, nim wróciła do saloniku Melcia z twarzą pałającą i nabrzmałymi oczyma.

— Dziękuję cioci za chorobę ojca! — rzekła. — Zapewne nauczyła się ciocia postępować tak z religji i tych czułych romansów... Widzę ja teraz, co znaczy wasza starodawna cnota!

I wyrecytowawszy to głosem podniesionym, zamknęła się w swojej pracowni.

— Boże miłosierny! — szeptała osamotniona ciotka — cóż to z ludzi szczęście wyrabia i za co oni chcą mi wydrzeć już drugi raz majątek?... Czy to ja będę używała razem z nimi i skąd wzięłabym grosik na starość, wówczas gdyby oni i swoje i moje przepuścili?... Nie, nie dam nic!... Niech się gniewają, niech mnie nawet z domu wypędzą!...

Stopniowo ogarniały ją myśli ponure.

— A jeżeli źli ludzie dowiedzą się, że mam pieniądze i zabiją mnie?... Choćby tylko okradli, to i tak dosyć... musiałabym umierać z głodu... O aniele stróżu, weź mnie pod swoje skrzydła... Naucz, daj natchnienie, wskaż, gdzie ja mam schować te pieniądze?...

PAN PIOTR I EDZIO SĄ ZE SIEBIE CHWILOWO ZADOWOLENI.

Widząc obcego człowieka, który wpadł do mieszkania Hipolita, jakby go cała psiarnia szatanów ściagała, pan Piotr zatrzymał się na schodach. Zrobił on to nie przez gminną ciekawość, ale przez dobroć serca.

— Może jaki hultaj? — myślał Piotr i zbliżył się na palcach do uchylonych drzwi przedpokoju. — Nie wypada przecież ludzi zostawiać bez rezerwy z jakimś gwałtownikiem.

Gdy tak słuchał podszeptów swego zacnego serca, doleciały go z saloniku wyrazy gościa:

— Wygrało państwo!... wielki los!...

Skłonny do apopleksji, pan Piotr o mało nie upadł. Począł drżeć na całym ciele... nie wiedział, co mu zrobić wypada... Czy się ma gniewać na Hipolita, że wygrał wielki los, czy ma mu wieszować... Tylko znowu wieszować nie wypada, boby ci ludzie pomyśleli, że ich podsłuchiwał...

Z tem wszystkim zrobiło się panu Piotrowi bardzo ckliwie, nie dlatego, że ktoś wygrał majątek, gdyż zacny kapitalista nie był zazdrosnym, lecz dlatego, że to nie on wygrał. Coby szkodziło Panu Bogu zesłać mu w początkach czerwca sto tysięcy, a choćby i dwakroć, jemu — człowiekowi statecznemu, nie zaś utracjuszowi Hipolitowi, który wiecznie długi zaciąga, a córkę swoją wychował na emancypantkę.

— Ciekawym, ile też ćwiartek trzymał? — szepnął Piotr. Nagle schwycił się ręką za brodę, jakby go zęby zastrzykały, czoło zmarszczył i — chyłkiem a spiesznie zbiegł ze schodów. Dopiero widok stróża w sieni opamiętał go i skłonił do poważniejszego nieco chodu. Począł więc iść powoli, noga za nogą (tak mu się przynajmniej zdawało, gdyż w istocie szedł wyciągniętym kłusem). Miął Podwal i Senatorską. Na placu Teatralnym uczuł, że mu dech zapiera i nogi sztywnieją. Stał tedy koło fontanny, chcąc sił nabrać, lecz po kilku sekundach zerwał się znowu, myśląc, że już Bóg wie ile czasu upłynęło.

Pod teatralnymi filarami usiłował uspokoić się i zapanować nad sobą, zatrzymał się więc przed jednym ze sklepów i niby to oglądał wystawione w oknie cacka. Lecz jakiś cień ukryty kłuł go niemilosiernie, gdyż znowu pobiegł naprzód i zadyszany, dygoczący wszedł do Stępkowskiego.

— Kieliszeczek wódeczki!... — rzekł zmienionym głosem, a potem dodał:

— A... co można mieć na... śniadanie?

Wyliczono mu kilka potraw, a gdy nie myśląc o jedzeniu, jedną wybrał, zapytano, gdzie siądzie.

— Zaraz powiem! — odparł spiesznie i począł zaglądać do gabinetów. W jednym z nich spotkał się oko w oko z Edmundem, już odrobinę podejrzanym, jak mówią.

— Tak to lubię! — krzyknął Edzio, zrywając się od stołu i biegnąc do Piotra. — Proszę!... bardzo proszę! — rzekł, prowadząc go do ustronnego pokoju. — Jeszcze dwie butelki na mój rachunek! — zawołał w przelocie do dyspozytora.

— Pan dobrodziej tu siądzie? — pytał Piotra usłużny subjekt, niosąc w ręku parę arkuszy bibuły, poledwicę, bułki i nakrycie.

— Można i tu! proszę!... — bełkotał kapitalista.

— Ależ ja pana, jak żyję, nie widziałem u Stępka?... — dziwił się Edmund.

— Owszem... Niekiedy pozwalam sobie... Ehem!

— No, więc drogi panie — mówił Edzio, pachnący jak świeżo wypróżniona kufa — ponieważ moi przyjaciele czekają... a zatem... Ileż mi pan przyniósł?... zapewne pięćdziesiąt?

Wyznać trzeba, że nigdy Edmund nie wydał się panu Piotrowi tak miłym i tak rozkosznie

naiwnym. Zaczynając kapitalista rozplątywał się, patrząc na zaczerwienione oblicze młodzieńca, a bardziej jeszcze słuchając jego pytań.

— Ależ kończmy, złoty... kochany panie! — nalegał Edzio. — Teraz już chyba nie zechcesz mnie pan dręczyć... Sama Opatrzność zesłała cię tu dla uratowania mego honoru, gdyż właśnie zamówiłem...

— Przysięgłem sobie — rzekł Piotr — nie pożyczać nikomu pieniędzy w winiarni... Bo to... pan rozumiesz?

— No, więc kup pan ode mnie ten zegarek!

— Cóżto ja jestem Żyd?... lichwiarz?... A zresztą coby powiedziała pańska ciocia, że nie szanujesz jej pamiątek?...

Edmund aż pięścią w stół uderzył.

— Dziwak z pana! oryginał!... Więc kup pan ode mnie bilet na loterię.

Piotrowi usta pobladły.

— Taką rzecz można kupić... — rzekł powoli. — Ale jak przegram?

— To ja panu zwrócę! — krzyknął młodzian niecierpliwie, wydobywając bilet z portmonety.

— Ileż mam dać za niego? — spytał Piotr, biorąc nóż i widelec, które ledwie mógł utrzymać w rękach.

— Och!... ile?... Cena nominalna jest piętnaście rubli z kopiejkami, boć przecie opłaciłem pięć klas. Ale... ponieważ numer może wyjść, wygrać główny los... więc...

Piotr w tej chwili wypełnił zsiniałe usta sporym kawałkiem polędwicy.

— Dasz pan pięćdziesiąt rubli? — pytał Edmund, bacznie patrząc mu w oczy.

— A jeżeli nic nie wygram?

— To przewyżkę zwrócę panu z procentem! — odparł niecierpliwym młodzian.

— Pisz pan skrypcik! — szepnął Piotr.

— Papieru i pióra! — zawołał Edmund.

Gdy subjekt przyniósł żądane przybory do pisania, bilet leżał na stole. Pan Piotr jadł polędwicę, lecz serce w nim zamierało ze strachu, aby subjekt nie spojrzął na numer. Niewiadomo dlaczego zdawało się Piotrowi, że o numerze tym mówi dziś cała Warszawa...

Edmund tymczasem pisał.

„Numer biletu loterii klasycznej sprzedaję panu Piotrowi za rubli srebrem pięćdziesiąt. W razie niewyjścia takowego, obowiązuję się zwrócić rubli srebrem trzydzieści pięć, to jest przewyżkę nad normalną cenę loterii.”

Schowawszy bilet i rewers do przepaścistego pugilaresu, Piotr wyliczył pięćdziesiąt rubli srebrem Edmundowi, który uściskał go, zapewnił o wdzięczności i wielu innych uczuciach i pobiegł do swego towarzystwa.

Interes był skończony. Kapitalista zapłacił za skromne śniadanie i chwiejąc się, wybiegł tylnymi drzwiami na podwórze. Ciekawy łatwo mógłby się tam przekonać, że pan Piotr nie przełknął polędwicy.

Na ulicy Wierzbowej siadł w dorożkę i kazał się wieźć na Krakowskie, lecz już na Saskim Placu zmienił zamiar i skręcił na Marszałkowską. Tam wysiadł, piechotą wstąpił do jakiejś dystrybucji, a zarazem kantoru loterii i przeczytał tabliczkę wygranych.

Robił to napozór tak obojętnie, że dopiero gdy zapalał cygaro, spojrzął w lustro, zobaczył, że jest cenmiertelnie blady.

Jednocześnie uczył zawrót głowy, szum w uszach i — upadł zemdlony.

W kilka minut potem, dystrybutor przy pomocy żony, jej siostry, jej znajomej i paru gości

otrzeźwił go. Usłudni ludziska chcieli pacjenta gwałtem odwieźć do szpitala, a przynajmniej zameldować policji. Ale pan Piotr, nie chcąc kłopotać społeczeństwa drobną swoją indywidualnością, odpocząwszy chwilę, zawołał dorożkę i kazał się wieźć na Pragę. W drodze przesiadł się do innego powozu i ostatecznie, choć osłabiony, wrócił do domu piechotą. Teraz był przynajmniej pewny, że nikt obcy nie dowie się ani o jego mieszkaniu, ani o nim.

Gdy się położył do łóżka, aby wytchnąć po wzruszeniach, pomyślał:

— Niezbadane wyroki boskie!... Moi najgorsi dłużnicy sprawili, że odzyskał wszystkie stracone kiedykolwiek pieniądze — z doskonałym procentem!... No i czy podobna nie robić ludziom dobrze, czy można nie być uczciwym, skoro Opatrzność już za życia zsyła nagrodę cnoty?...

NIESZCZĘŚCIA ZAKOCHANEGO I KŁOPOTY SZCZĘŚLIWYCH.

Dzienniki wieczorne z szybkością błyskawicy rozniosły naprzód po całej Warszawie, następnie po całym kraju, wkońcu zaś po całej kuli ziemskiej, że wielki los dostał się niejakiemu panu X., który niezależnie od tego wygrał na pożyczce premjowej, na losowaniu w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, na papierach rumuńskich i jeszcze na czemś. Osoba pana Hipolita stała się przedmiotem podziwu i zazdrości, a jeden z najznakomitszych fotografów poważnie już rozmyślał nad tem, aby zrobić darmo wizerunek szczęśliwca, wraz z wygranymi przez niego kapitałami.

Ponieważ Kazimierz często słyszał od pana Hipolita, że tenże musi, wygrać, jeżeli nie na wszystkich, to przynajmniej na jednej loterji, tknięty więc przecuciem, pobiegł co żywo na Podwał. Był to chłopak dość trzeźwo patrzący na świat, lecz i on uległ wpływowi szczęścia. Zdawało mu się, że od tej chwili droga panna Amelja stanie się nieocenioną, że jest czerni nadziemskim, do czego tylko na kolanach zbliżyć się wolno, że za jej uśmiech oddałby życie, nie licząc posady w dystylarni, i że raczej wyrzekłby się zbawienia duszy, aniżeli jej ręki.

Na samą myśl, że imponująca Amelja może zostać żoną innego, tracił przytomność i nabierał ochoty do wykonania aktu samobójstwa.

Z drugiej strony miłość własna podszeptowała mu, że bądź co bądź jest on dobrą partją, że jego pensja znaczy więcej, niż możliwy procent od posagu panny, że Melcia wyróżniała go zawsze z pomiędzy znanych jej mężczyzn i że pan Hipolit z powodu jakichś tam stu tysięcy, które w każdym razie nie na długo mu wystarczą, nie zechce łamać słowa danego uczciwemu człowiekowi. Hipolit wprawdzie miał wszystkie instynkta małomiejskich arystokratów, pod wpływem okoliczności często zmieniał poglądy, ależ od dziwactw do złamania wiary jest jeszcze bardzo daleko.

Z tych powodów Kazimierz był pełen otuchy, a chmurki wątpliwości, przesuwał się po jasnym niebie jego marzeń, odgrywały rolę cynamonu w jakiejś słodkiej potrawie. Dzięki tym drażniącym wątpliwościom, Melcia w jego wyobraźni przekształcała się w anioła, a jej ojciec w zacnego i dobrodusznego patrycjusza. Duchowemi uszyna słyszał prawie Kazimierz słowa, które miał mu wypowiedzieć pan Hipolit; brzmiały one mniej więcej tak:

— Ponieważ oświadczyłeś się o moją córkę wówczas, gdy była ubogą retuszerką i chciałeś związać swoją przyszłość z losami podupadłej rodziny, dziś więc oddaję ci Helcię z ładnym posagiem, prosząc tylko dla ciotki i siebie kącik w waszym domu.

Kazimierz, marząc tak, z góry już ocierał oczy na rachunek przyszłych wzruszeń i dziwił się, że dorożka jedzie tak wolno jak furgon z węglami.

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że w końcu dojechałami na Podwał, że serce mu biło, że pytał się w duchu, czy nie wypada ucałować rączek Melci?... Gdy wszedł do mieszkania, zastał pannę samą. Pierwszy raz nie czytała i nie retuszowała, tylko napół leżąc w fotelu, zdawała się marzyć. O czem, czy o kim? A może i o nim!

— Przyszedłem państwu powinszować — zaczął Kazimierz. — Właśnie przed chwilą dowiedziałem się, a raczej domyśliłem, żeście państwo wygrali...

— Ach! tak... — odparła ze słabym uśmiechem Melcia. — Mieliśmy już z tego samego powodu wizyty kilku osób.

Wice-dyrektorowi zrobiło się trochę zimno.

— Czy pan Hipolit wyszedł?

— Bynajmniej! Ojciec jest u siebie, ale trochę cierpiący...

— A ciocia?

— Ciocia wyszła. Wygrawszy sto tysięcy, szuka sobie innego mieszkania — odpowiedziała

Melcia — usiłując uwydatnić ironją w tych słowach.

Chwila milczenia.

— Sądziłem, że na pani wypadek ten większe zrobi wrażenie...

— Mówi pan o wygranej? — spytała Melcia z łagodną melancholją patrząc na niego. — Drobnostka! — dodała. — Gdybyż to choć sto tysięcy rubli... Ale a taką sumą niewiele się nawet zmieni nasze życie. Nie będziemy mogli wziąć ani mieszkania obszerniejszego, ani kupić mebli piękniejszych, ani sukien droższych. O ekwipażu własnym, a nawet o wyjeździe zagranicę marzyć niepodobna... Musimy przecie rachować się, gdyż dary fortuny są mało prawdopodobne, a tem samem nie powtarzają się często.

— Pani żartuje ze mnie! — szepnął struchlały Kazimierz, któremu każdy wyraz tego wykładu ekonomji padał jak kamień na głowę.

— Wcale nie! Właśnie przed godziną zrobiłam rachunek. Będziemy mieli od sześciu do siedmiu tysięcy rocznie, chociaż — dodała z goryczą — gdyby nie dziwactwo ciotki, moglibyśmy mieć dwanaście do czternastu tysięcy.

— O Boże! — myślał Kazimierz — jakże mi ta kobieta serce depcze!...

W tej chwili wszedł Edmund. W jego oczach mgłą zaszytych i na spieczonych ustach widać było ślady dzisiejszego śniadania.

— Witam kuzynkę! — zaczął. — Wróciłem niedawno do siebie, gdzie powiedziano mi, że pan Hipolit dwa razy po mnie przysyłał. Czy jest w domu?

— Natychmiast poproszę ojca! — odparła Melcia i wyszła do następnych pokojów.

W parę minut potem ukazał się rozpromieniony jej ojciec. Choroby nie znać było na nim.

— A, kochany Edku! — zawołał — dobrze, że cię widzę... Panowie się nie znają? — spytał prędko, patrząc na Kazimierza. — Pan dyrektor fabryki, nasz kuzyn Edmund...

— Miałem szczęście widzieć już pana — odparł Edzio z eleganckim ukłonem.

— Mam do ciebie niesłychanie ważny interes, wejdź więc proszę cię do mego pokoju — mówił Hipolit. Następnie, zbliżywszy się do Kazimierza, wziął go pod rękę i dodał półgłosem:

— Wybacz pan, że muszę na chwilę odejść z kuzynem, ale dziś jest dzień wyjątkowy... pan to pojmuje?... Chemik ukłonił się. — Co zaś do naszego rachuneczku, to... w tych dniach...

A więc do przyjemnego widzenia!... Melciu, zabawże pana... Później będę cię prosił na chwilkę...

I wyszedł, kiwając jeszcze raz głową swemu gościowi i uśmiechając się uprzejmie.

Dzisiejszy pan Hipolit nie był już owym zbolałym ojcem, który chciał córkę wydać za szewca, ani zdesperowanym wierzycielem, któremu dłużnik nie płacił rat i który w kwestjach finansowych, zasięgać musiał opinji ludzi niskiego pochodzenia. Był to już panek, eks-właściciel kamienicy, posiadacz stutysięcznego kapitału.

Kazimierz zanadto był wzruszony, aby mógł rozumieć ten odskok między wczorajszym i dzisiejszym człowiekiem, ale czuł wszystko.

Po przyjściu Edzia i panna Amelja ożywiła się.

— Pan wie — rzekła do swego nieszczęśliwego wielbiciela — że nasz kuzyn wygrał także sto tysięcy na ten sam numer?...

Teraz Kazimierzowi przyszło na myśl, że podobnie jak w jego wyobraźni Melcia, tak znowu w oczach Melci — Edmund dużo zyskał na głównej wygranej. Dotychczas uboga retuszerka dość lekceważąco traktowała Edzia, lecz dziś posażna panna znacznie już łaskawiej patrzyła na

zbogaconego kuzyna.

Młody chemik wziął kapelusz do ręki.

— Pan już wychodzi? — spytała go, powstając z fotelu.

— Muszę! — odparł, czując ściskanie w gardle.

— Ale niechże pan o nas nie zapomina, pomimo głównej wygranej! — rzekła wesoło.

Kazimierz wyszedł odurzony. Przez cały ten czas był on jakby igrzyskiem dwóch walczących ze sobą sił. Piękność Amelji i nieostygłe jeszcze własne uczucia przyciągały go do niej, a całe zachowanie się odpychało. Oddawna uważał ją za kobietę niepospolitą, dziś jednak zdawało mu się, że jej twarz, oczy, usta — są kurtyną, poza którą ukrywa się coś niemiłego. W paniencie tej były wprawdzie nerwy czy uzdolnienia, jakich nie posiadały jej rówieśnice, lecz jednocześnie brakło tych nerwów czy uzdolnień, bez których człowiek zwykły staje się złym, a przynajmniej niesmacznym.

W bramie domu spotkał ciotkę.

— Ach! — zawołała — czy wiesz, że oni ze mną nie chcą mieszkać, dlatego, że im nie oddaję mojej wygranej?... Właśnie chodziłam teraz wynająć pokój u mojej dobrej znajomej, ale powiem ci, że się wszystkich boję... Czy ja wiem?... Jeżeli szwagier i siostrzenica wydzierają pieniądze, to może kto obcy zechce mnie zabić?... Dziś jeszcze nie, ale jak odbiorę tę sumę, nie będę miała jej gdzie schować. Już teraz wszyscy mnie szpiegują... Służąca całuje mnie po rękach, czego nigdy nie robiła dawniej, stróż kłania się do samej ziemi, a gospodarz domu pyta, dlaczego po jego ogródku nie spaceruję, jakgdyby zapomniał, że mnie w maju sam z ogródka wypędził... Okropni ludzie!...

Teraz Kazimierz był pewny, że przynajmniej ciotce główna wygrana szczęścia nie przyniosła.

Tymczasem pan Hipolit, który z powodu silnych wzruszeń, połączonego z niemi roztargnienia, a może i z innych przyczyn, ciężko skompromitował się w oczach wice-dyrektora fabryki a konkurenta Melci, z niepohamowaną szybkością urzeczywistniał swoje projekta odnośnie do Edmunda. Naśladował on genialnych strategików, którzy plany, w chwili natchnienia poczęte, wykonywają bez namysłu i zwłoki.

— Więc jeszcze nie domyślasz się poco cię wezwałem? — pytał Hipolit trochę zaniepokojonego Edmunda. — Ej! — dodał — wyglądasz mi dziś, jakby po dobrym obiedzie...

— Istotnie, że piłem trochę... Ale i cóż to za interes?

— O dobroduszny ulubieńcze fortuny! — zawołał gospodarz stylem wyższym, jak przystało na wielkiego pana — o prostaczku!... Wszakże wygraliśmy dziś wielki los...

Edmund w okamgnieniu wytrzeźwiał, ale jednocześnie tak upadł na duchu, że przez chwilę siedział nieruchomy. Potem uderzył się ręką w czoło i szepnął:

— Teraz wszystko rozumiem!

Wprawdzie wykrzyknik ten odnosił się do dzisiejszego śniadania i do niefortunnych układów z panem Piotrem, ale Hipolit wziął go do siebie i mówił dalej, nie ukrywając radości:

— Nie potrzeba proroczego ducha, ażeby zrozumieć to, co ci własną moją pracą przygotowałem. Wiem, że kochasz Melcię i że ona ci również sprzyja. Pobierzcie się więc, a mając dwakroć, łatwiej już doczekacie śmierci... chciałem powiedzieć dziedzictwa po dziadku.

— Dwakroć? — spytał zdziwiony Edmund.

— Tak! tylko dwakroć niestety! — ciągnął Hipolit. — Mogliście mieć trzykroć, ale... — dodał ze smutnym uśmiechem — ludziom się to nie podobało i...

W Edmunda nowe życie wstąpiło. Więc Hipolit już wie o jego nieszczęściu, o oszustwie Piotra i pomimo to daje mu córkę z posagiem od siebie i ciotki. Więc zacny kuzyn nie myśli o wygranej, ceni tylko jego przymioty, nieprzeparty pociąg do dobrego...

Edmundowi zdało się teraz, że jest innym człowiekiem. Najszlachetniejsze instynkta zbiegły mu

się do serca. Kochał ludzkość, uwielbiał kuzyna, ubóstwiał Melcię. To też nie dziw, że ze łzami w oczach rzucił się Hipolitowi na szyję i zawołał:

— Kochany kuzynie!... drogi ojczel!... doprawdy że nie godzien jestem tego szczęścia, ale na honor! czuję, że ono mnie podniesie...

— Naturalnie! naturalnie!... Kto się ożeni, ten się odmieni...

— W życiu mojem — mówił na dobre rozczulony Edmund — popełniłem wiele błędów...

— Zwyczajnie jak każdy młody.

— Ale dziś jest już inaczej. Miłość Melci i twoja szlachetność, ojczel, przerodziły mnie. A gdy raz wejść na drogę cnoty...

— Cudowny chłopak, jak Pana Boga kocham! — dziwił się Hipolit. — Melciu!... Melciu!...

Panna wbiegła, patrząc niespokojnie na ojca i kuzyna.

— Spójrzj-no na tego wisusa — mówił Hipolit do córki. — Zawsze dowodziliście, że to letkiewicz, paliwoda... Oto masz! Ledwie mu powiedział, że zostaniesz jego żoną, a on w płacz i zaczyna mówić jak Demostenes... No, podajże mu rękę, Melciu! Przecież nie zechcesz gubić człowieka, który cię tak kocha...

Edmund ukląkł przed nią, a zarumieniona dziewczica podała mu obie rączki.

— Ale ostrzegam kuzyna — rzekła — że ja chcę być panią w domu...

— Czyż może być inaczej... aniele!

— Niechże was Bóg błogosławi, moje dzieci, za tę chwilę szczęścia, jakąście mi dziś zrobili — mówił Hipolit, wznosząc ręce dogóry. — Niech całe życie spłynie wam bez trosk, we wzajemnej miłości, z szacunkiem ludzi uczciwych...

W tej uroczystej chwili nawet pozytywna Melcia uległa wzruszeniu. Wszakże miała zostać żona...

Uściski, pocałunki, zapewnienia i. wykrzykniki zajęły jeszcze немало czasu. Potem narzeczem poczęli rozmawiać o swej przyszłości i — na wyraźne żądanie połowy piękniejszej, postanowili zaraz po ślubie wyjechać z kraju. Melcia bowiem oddawna pragnęła kształcić się wyżej.

Zapadł zmrok i młoda gosposia wyszła do kuchni upomnieć się o herbatę. Spotkawszy ciotkę, zajęętą układaniem manatków, rzekła do niej w przelocie:

— Edmund się o mnie oświadczył i przyjął go. Widzi więc ciocia, że będę miała dwakroć!...

I trzasnęła drzwiami.

Pan Hipolit, korzystając z nieobecności córki, od poezji przeszedł do prozy i rzekł do Edmunda:

— Jutro przyjedzie tu kolektor z pieniędzmi, dajże mi więc twój bilet...

— Bilet?... — spytał narzeczony, jakby go kto przez wylanie kubła wody ze snu obudził.

— Rozumie się. Jeżeli go nie masz przy sobie, to natychmiast przynieś, a także obrachuj swoje długi, które niezwłocznie wypada spłacić.

— Ja przecie nie mam biletu... — wybełkotał Edmund. Hipolit zerwał się z kanapy.

— Oszalałeś ze swoim przecie?... Ja go także nie mam przecie, gdyż za każdym razem oddawałem ci go do rąk.

— Piotr ode mnie kupił!... — jęknął Edmund.

— Cóżto znowu? Ty chyba gorączkę masz? — krzyczał Hipolit.

— Na honor!...

— Zuchwalcze! — wołał zapamiętały człowiek. — Ty ośmielasz się drwić z nas... targnąłeś się na dobre imię mojej córki... Ja ci w łeb strzelę...

Strach dodał Edmundowi energii.

— Cóżem ja winien?... Czyż ja pierwszy...

— Proszę milczeć!... Człowiek honoru nie wyzyskuje roztargnienia ludzi uczciwych!... Kiedyś

pan wiedział, że nie masz biletu, nie miałaś nawet prawa słuchać tego, co ci mówił kochający ojciec pod wpływem wzruszenia. Idź mi natychmiast do Piotra i odkup... z gardła mu zresztą wydrzej bilet. Ten lichwiarz... nędznik!... zakłócił szczęście całej rodziny, dzięki twojej... głupocie czy przewrotności.

— Przecież państwo i tak macie dwakroć?... — wtrącił Edmund nieśmiało.

— A choćbyśmy mieli miljon, to cóż tobie do tego?... Ale my mamy tylko sto tysięcy, gdyż zacna ciotka zerwała z nami i wraz ze swoją sumą wynosi się gdzie indziej... Nikczemność na nikczemności!...

— Panie! — mówił struchlały Edzio — ja pójdę do ciotki, ja upadnę jej do nóg!... Ona przecież nie zechce sprowadzać mnie z drogi cnoty...

— A idźże sobie do licha hołysz! oszuście!... — krzyczał już do wściekłości doprowadzony Hipolit. — Precz stąd! i ani słowa do nikogo o tem, co między nami zaszło, bo ci kości połamię!... Gdybyś teraz miał nawet majątek Rotszyldów, nie wydałbym nietylko własnej córki, ale jej pokojówki za ciebie. Jesteś nędznik, który wyciąga ludzi na słówka w celach nieuczciwych. Ale ze mną nie tak łatwo, mnie nie oszukasz!...

Smukły Edmund wyleciał jakby wyrzucony z procy, aż się binokle o drzwi zaczepiły.

— Dokąd tak prędko? — zawołała zdziwiona Melcia.

— Nie mów do tego pana! — krzyknął ojciec. — On już nie przestąpi naszego progu.

I kipiący z gniewu, w niewielu wyrazach objaśnił córce przebieg tej dziwnej i przykrej awantury.

Melcia pierwszy raz w życiu dostała serdecznego śmiechu.

— Skompromitował mnie ojciec! — krzyknęła.

Pan Hipolit nie wiedział, co jej ma na to odpowiedzieć. Szczęściem, spostrzegłszy w kącie popielatą z trwogi ciotkę, zwrócił się do niej z pretensją:

— Patrz, pani! — rzekł tonem wielkiej i szlachetnej boleści — oto jest rezultat twojej chciwości!

EDZIO ZOSTAJE WROGIEM PIOTRA, Z KTÓRYM PAN HIPOLIT ZAWIERA DOZGONNĄ PRZYJAŻŃ.

Edmund przez całą noc oka nie zmrużył, pierwszy raz w życiu z pobudek czysto psychicznych. Od dziecinnych lat nie pamiętał takiego natłoku myśli, jakie go obecnie prześladowały; w końcu począł się nawet lękać utraty rozumu. Wstał o siódmej, co go również zdziwiło, i bez śniadania, w nie wyczyszczonym ubraniu, udał się do pana Piotra.

Kapitalista przyjął go w szlafroku, z głową okręconą w mokrą chustkę.

— Panie! — zaczął Edmund — mój bilet wygrał wielki los...

— Więc kochany pan miał i drugą ćwiartkę? — spytał chytrze Piotr. — Jakże mnie to cieszy!

— Miałem tylko ten bilet, który jest u pana i przyszedłem...

Edmund nie umiał powiedzieć, poco przyszedł, mimo to Piotr niespokojnie obejrzał się po swem mieszkaniu, jakby szukając mysiej jamy, w którąby się mógł schować.

— Panie Piotrze — rzekł znowu, już błagalnym tonem młodzieniec — niechże pan ze mną nie robi żartów. Pan przecie rozumie, że to mój bilet...

— Kochany panie — przerwał kapitalista — pan mi chce dziwne rzeczy opowiadać. Bilet ten jest moim, ja go mam w ręku, pan zmusiłeś mnie do nabycia go, pan zresztą wystawiłeś skrypcik...

Edmund począł ręce łamać.

— Prawda — odpowiedział — że pozory przemawiają za panem, ależ... sumienie!... Ja za ten bilet płaciłem przez pięć klas...

— A kolektorowie czy nie płacą przez pięć klas?... A czy ja nie mogłem wykupić tego samego biletu w ostatnim dniu?... Zresztą — dodał Piotr, zapalając się — niech sąd rozstrzyga... cywilny, kryminalny czy polubowny... zgadzam się na każdy! Widzę, że masz pan jakieś niesłuszne pretensje do mnie... poco więc swarzyć się i jadem gniewu własne serce zatruwać? Ja pana lubię, ja mam do pana słabość, więc nie chcę, aby taka drobnostka poróżniła nas...

Edmund gotów był znowu rozplakać się podobnie jak wczoraj.

— Słusznie pan mówi, że to drobnostka, ale tylko dla pana. Dla mnie stanowi ona szczęście całego życia... O gdybyś pan wiedział, jak kocham Amelję!... Wczoraj dopiero przekonałem się o tem... Pan nie zechcesz dzielić i druzgotać dwu istnień!... Szanowny panie Piotrze!... ja nawet więcej panu powiem, wyspowiadam się jak przed własnym ojcem... Panie! ten bilet... ten bilet... on może mnie wprowadzić na drogę cnoty!... Wiem, że żyłem lekkomyślnie, że długie zaciągałem, że przestawałem z ludźmi wątpliwej moralności, ale gdybym się ożenił...

— Więc się pan żeń.

— Kiedy bez tych pieniędzy nie mogę...

— Panie Edmundzie! — zaczął z kolei Piotr głosem tklwym. — Człowiek pańskiego rozumu, pańskiej szlachetności, musi wiedzieć o tem, że cnota polega na walce i zaczyna się dopiero wśród nieprzychylnych warunków.

— Ja ich i tak znajdę dosyć...

— Słuchaj pan! — przerwał Piotr jakby w natchnieniu. — To, co powiem, przyszło mi dopiero w tej chwili na myśl...

Edmund nadstawił oba uszy, myśląc o ustępstwach.

— Oto jestem przekonany... widzę... w całej tej naszej sprawie rękę Opatrzności. Byłeś pan lekkomyślny, przez lekkomyślność wyrzekłeś się... a raczej straciłeś prawo do majątku, ale gdy się z

tej wady uleczysz, Bóg zeszele ci jeszcze większy. Może pański dziadek umrze?... może zrobi to za tydzień, jutro...

— Drwiesz pan ze mnie! — krzyknął Edmund.

— Przeciwnie!... ja oświecam pana...

— Odstąpię panu trzy tysiące rubli z mojej wygranej... połowę... No, dziesięć tysięcy rubli, ale oddaj mi pan mój bilet!

— Pan mi impertynencje mówisz!

— Ja się na własne życie targnę!... pan mnie szczęścia pozbawiłeś!...

— Proces panu wytoczę za napaść w mieszkaniu! — wołał Piotr.

— Zepchnąłeś mnie pan z drogi cnoty, zgubiłeś pan człowieka!... Bóg pana za mnie skarże...

— Co mnie pan tu będziesz straszył karą boską? — wykrzyknął Piotr z gniewem. — Ja jestem uczciwy człowiek... Ja robię interesa w sposób honorowy i prawny, nie fałszuję cudzych podpisów!... Wynos się pan, pókim grzeczny, bo policji zawołam i wszystkie pańskie sprawy sądowi przedstawię... Za moją pobłażliwość... moją uczynność... moją... wyrozumiałość — napada mnie ten oto młodzieniec... grozi mi!...

Oszołomiony Edmund zapomniał na chwilę o posiadaniu języka w jamie ustnej. Potem schwycił swój tyrolski kapelusz, cofnął się ku drzwiom i wskazując na Piotra cieniutką laseczką, zawołał:

— Szatanie!...

I wyszedł krokiem, oznaczającym wzburzenie wszystkich władz duszy.

Piotr zamknął drzwi na klucz, przysłuchiwał się stapaniu odchodzącego i stanąwszy na środku pokoju, rzekł z wielką pewnością siebie i energią:

— A to... zdrajca!...

Miesiąc upłynął od wizyty Edmunda u pana Piotra. Osoby uszczęśliwione przez los odebrały pieniądze, ciotka nie pożegnana przez nikogo wyprowadziła się do swej przyjaciółki, a i pan Hipolit nietyle słuchając rad przeczności, ile głosu ambicji, wynajął eleganckie mieszkanie, zakupił sprzęty, zgodził lokaja i pokojówkę, słowem — używał. Melcia też, pomimo znajomości buchalterji, robiła wydateczki na własną rękę, skutkiem czego ojciec jej ze zdziwieniem przekonał się, że w ciągu kilku tygodni wypłynęło z kasy ogniotrwałej blisko cztery tysiące rubli.

W domu wszczął się rwetes. Ojciec i córka, podejrzewając, że ich ktoś chyba okrada, poczęli przypominać sobie wydatki, sumować je... Szczęściem wszystko się znalazło, ale nieszczęściem tylko w debecie.

— Wiesz, moje dziecko — rzekł pan Hipolit — że jeżeli tak dalej pójdzie, to wydamy nasze pieniądze jeszcze przed Nowym Rokiem...

— Bo też nigdy nie należy wydawać kapitału, tylko żyć z procentów.

— Bah! Ale skąd ich wziąć?...

— Niech ojciec kupi papiery. Mamy kursa w gazetach i możemy obliczyć, ile to będzie.

— A potrafisz?...

Melcia, zamiast odpowiedzi, wzięła do ręki kursa giełdy, narzędzia piśmiennicze i zaczęła rachować. Na wszelki sposób wypadał dochód roczny siedemset do siedmiuset dwudziestu rubli.

Obliczono jeszcze raz, sprawdzono...

Nie ufając pióru Melci, ojciec wziął się do kredy, lecz zawsze okazywało się jedno i to samo, a mianowicie — dochód zbyt mały.

Z kolei przyszły im na myśl banki, ale i najhojniejsze z nich nie obiecywały zbyt wielkiej różnicy w procentach, każdy bowiem brał duże, ale płacił skromne.

— O źle! — szepnął pan Hipolit. — Sześćset rubli płacimy za samo mieszkanie, więc na życie,

służbę i przyjemności zostanie nam niecałe dwieście. Ha! — dodał — czekajmy!... — Jakoś to będzie.

Stara ta jak świat maksyma oburzyła Melcię. Poczęła ona tłumaczyć ojcu, że samo czekanie procentów nie powiększy, lecz zniszczy kapitał i że wypada raczej coś zrobić.

— Wiesz co — zawołał Hipolit — mam pomysł! Wezmę się do jakiego przedsięwzięcia.

— A do jakiego?

— Rozumie się, że do takiego, które nam od kapitału przynajmniej dwudziesty procent przyniesie, nie licząc mojej pensji.

Istotnie, myśl w zasadzie była znakomitą, lecz gdy przyszło do szczegółów, przekonał się pan Hipolit ze zdziwieniem, że jakoś trudno znaleźć tak zyskowne przedsięwzięcie. Na jednych bankrutowali ludzie, na inne brakło kapitału, jeszcze na innych nie znał się pan Hipolit. Wiedział on (dawał nawet na to słowo honoru), że są interesa bardzo korzystne i do prowadzenia łatwe, nieszczęściem jednak zapomniał w tej chwili, jak się nazywają i na czym polegają.

— Ha! trudno — zakonkludował — musimy czekać! Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył!...

Melcia aż w stół ręką uderzyła, usłyszawszy taką teorię. Szczęściem przyszło jej natchnienie i zaproponowała ojcu, aby się z Piotrem naradził.

— Jesteś genialna! — zawołał pełen otuchy. — Ten Piotr, człowiek zręczny... Interesa robi grube wcale małymi pieniędzmi... Przytem uczciwy... Pamiętasz, jak mi trzy ruble odniósł, akurat we dwadzieścia cztery godzin?

Wykonywając zamiar powzięty, obliczył przedewszystkiem pan Hipolit należności Piotra, które z procentami wynosiły kilkaset rubli, a potem dla przyszłego wspólnika kupił u jubilera drogocenny podarunek. Ułatwiwszy się z tem, zaprosił kapitalistę na konferencję wieczorną.

Gdy punktualny Piotr przyszedł (spóźniwszy się o półtorej minuty), obaj panowie ukryli się w najbardziej odległym gabinecie i rozpoczęli naradę w obecności pięciu świadków: dwu kieliszków i trzech buteleczek.

Otoczenie to zaniepokoiło nieco Piotra, który wyżej cenił papiery, aniżeli szkło, choćby najpiękniej rżnięte. Ale pan Hipolit w okamgnieniu rozproszył jego obawy, kładąc na stole odpowiednią ilość wizerunków tęczowych i rachunek, z którego okazało się, że ludzie dobrze urodzeni umieją płacić procenta nie tylko za miesiące, lecz i za doby.

— Czcigodny panie Hipolicie! — rzekł Piotr, zgarnawszy do pugilaresu te wymowne dowody pamięci dłużnika. — Zawsze domyślałem się w panu człowieka honoro... chciałem powiedzieć: szlachetnego. Dziś jednak widzę, że pan umie być i sumien... chciałem powiedzieć punktualnym.

Kieliszki zostały napełnione.

— Twoje zdrowie!... słyszysz, panie Piotrze? Twoje zdrowie!... Z przyjaciółmi moimi zawsze się tykam... Czy akceptujesz?

— Z rozkosznem uniesieniem! — odpowiedział Piotr, przyciskając ręką kieszeń z pugilaresem.

Wypito i znowu nalano.

— Jako zaś dowód, że istotnie jestem twoim przyjacielem, opowiem ci, iż wymówiłem dom mój Edmundowi, dowiedziawszy się o awanturze, jaką ci śmiał wyrządzić.

Piotr zrobił grymas, jakby go chinową miksturą uczęstowano, i odparł:

— Lekki to chłopiec!...

— Powiedz: łotr!

— Łotrzyk, łotrzyk!...

— Nazwij go infamisem!

— Właśnie z ust wyjął mi pan ten wyraz.

— No! tylko bez panów, kochany Piotrze!... Za trwaz.

— Miljon kroć sto tysięcy wieków! — krzyknął już zarumieniony kapitalista.

Szedł czwarty kieliszek, nieco większy od naparsteczka.

— Wiesz co, kochany! — zaczął po namyśle Hipolit. — My, to jest ja i Melcia, która... która cię wysoce szanuje, żebym nie powiedział: uwielbia...

— Anioł! — przerwał Piotr.

— Masz racją!... zdrowie tej dziewczyny, jedynej naszej pociechy!...

— Niech ją Bóg błogosławi! — zawtórował Piotr i wypił tak, że aż się zachwiał na krześle.

— Otóż umyśliliśmy, powierzyć... tobie... naszemu przyjacielowi... nasze kapitały! Przyjmujesz?

Kapitalista spoważniał.

— A co ja z niemi zrobię?

— Będziesz nam procent płacił.

— Jakieżbyś pan... to jest ty, mój przyjacielu!... jakieżbyś mieć pragnął?

— Dwudziesty... — odparł Hipolit, bystro patrząc mu w oczy.

— Tymczasem... niepodobna. Dziś wszystkie interesa w zastoju... Ale — dodał po chwili — za twoją ufność... przyjaźń... szlachetność... dam ci dwunasty! — Rzekłem.

Obaj panowie milcząc, na znak zakończenia targu uderzyli się w dłonie.

— Tylko uważasz — zaczął Hipolit — kapitalik mój jest niewielki... Dziesięć do dwunastu tysięcy rubli.

— Co, to niewielki? — przerwał Piotr. — Ja, kiedym był w Krakowie, bo ja z Krakowa pochodzę... Tak!

— Znać to! znać!...

— Kiedym tam był, z desperacji zacząłem sprzedawać drobiazgi po hotelach. I patrzaj. Przychodzędo jednego, gdzie stał książę... Rwę zatem do samego pana i mówię: Niech jaśnie oświecony książę kupi co... Przeciem ja katolik, wart wsparcia!... On mi w oczy popatrzył (już z Bogiem spoczywa!) i mówi: — „Kiedy tak, to masz, durniu!...” — i dał mi nowego węgierskiego dukata. Z tym dukatem zacząłem, jak zdrowia pragnę!... nie z dwunastoma tysiącami rubli. Ale przy tem miałem wielki, nadzwyczajny skarb: uczciwość!...

— No, i przemysł — dodał Hipolit.

— Taak!... i przemysł...

— Rządność, oszczędność...

— Rozumie się!... Bez tego na nic majątek.

— Przeworność, punktualność... Należę ci?

— Ehem!... proszę... proszę... Tak! punktualność, to fundament.

— Kiedy tak — mówił pan Hipolit — więc, wiesz co?... Oto ażeby także zacząć z małym, dam ci... sześć tysięcy rubli.

— Siedemset dwadzieścia rubli procentu rocznie — rachował Piotr.

— Tam do licha! Ja za samo mieszkanie sześćset płacę. — To weź lokal mniejszy!

— Nie wypada! przecież córkę muszę wydać za mąż... Piotr zadumał się.

— Czciogodny panie!... chciałem powiedzieć: drogi Hipolicie — rzekł — małżeństwo to jest taka rzecz święta, że dla niej — jeden nawet pokój wystarczy. Zresztą, zostaje ci przecie kilka tysięcy rubli gotowizną w rękach.

Pan Hipolit potarł czoło, jakby go natłok myśli niepokoił, potem spytał nagle:

— A możebyś ty się z Melcią ożenił? Człowiek szlachetny, rozumny...

— Co mnie po tem!... — odparł z dobrodusznym śmiechem kapitalista.

Pan Hipolit postrzegł, że zrobił głupstwo, poprawił się więc:

— No, ja tylko żartowałem... tak po przyjacielsku... Rozumiesz przecie?... W twoim wieku!...

Ale i uprzejmy pan Piotr również zapragnął osłodzić swoją gorzką odmowę, odpowiedział zatem:

— Naturalnie, że rozumiem!... Bah!... gdyby podobna rzecz mogła się stać naprawdę, pojmujesz jakiby to był zaszczyt dla mnie...

— Kochany przyjacielu! — odparł Hipolit, badawczo patrząc na Piotra — tylko no zechciej!... Najtrwalsza to spółka, która gruntuje się na małżeństwie... Pojmujesz?... No, a widzisz, stary filucie?... Melciu!... Melciu!... Piotr otrząświał.

— Dajże pokój, serdeczny Hipolicie! — przerwał współnikowi. — W moim wieku...

— Głupstwo wiek!... Melciu!...

— Ależ kochany... Powiem ci nawet otwarcie, że ja bym się nigdy nie ożenił. Mnie, powiem ci (ale niech to między nami zostanie), małżeństwo nie robi żadnej przyjemności... Jak zdrowia życzę!...

Kwestja była postawiona tak wyraźnie, że pan Hipolit uznał za stosowne przejść do innego tematu.

— A teraz — rzekł — przyjmij ode mnie ten oto drobiazg...

I wydobył z szuflady małe safjanowe pudełeczko.

— Pierścień? — zawołał Piotr. — Złoty pierścień z brylantem?... Czyż to warto?... Taka sztuka ze sto rubli kosztuje. No, ja przecież obdzierać cię nie mogę... To jest rzecz, którą spieniężywszy, można mieć kilkanaście rubli procentu rocznie. Ja tego nie wezmę.

— Spójrzyjże na napis! — zawołał zmieszany Hipolit.

— Napis?... Od przyjaciela roku 18.. Aaa! kiedy od przyjaciela — to biorę. Pozwolisz jednak, że ofiaruję ci dwie spinki osobliwe: mozaika w srebrnej oprawie. Na jednej jest szachownica, na drugiej... także szachownica z mozaiki! Każę na jednej napisać: Na pamiątkę, a pod spodem dzień i miesiąc, a na drugiej: przyjaźni roku 18..

— Zaczny człowieku! — wykrzyknął pan Hipolit, ocierając załzawione oczy.

Pan Piotr zapalił się i rozrzewnił.

— O gdyby ludzie mogli zajrzeć w głąb serca mojego!... Jakie tam skarby... jakie klejnoty!...

— Uczciwość...

— Poblężliwość...

— Szlachetność...

— Punk... punktualność...

— Kochajmy się! — ryknął Hipolit, wpadając w objęcia współnika.

— Na wieki wieków!... — zawtórował Piotr. — O jakżem niezdrów!...

Gdy na odgłos łoskotu nadbiegła Melcia ze służącym, z początku nie mogli otworzyć drzwi przyciśniętych czworgiem nóg. Gdy zaś po pewnych wysileniach zdołano się dostać do gabinetu narady, znaleziono na dywanie w zobopólnym uścisku dwóch przyjaciół i obok nich kilka pustych butelek.

O TEM, JAK DŁUGO TRWA DOZGONNA PRZYJAŹŃ I O ZAUFANIU, JAKIEM CIOTKA PRAGNĘŁA OBDARZYĆ KAZIMIERZA.

Na drugi dzień po owej konferencji, pan Hipolit był cierpiący i o wspólniku swoim myślał z wielką goryczą:

— Oto obraz przewrotnego filuta! — mówił do siebie. — Za tyle dowodów życzliwości, on mi śmie płacić dwanaście procentów, choć wszystkim wiadomo, że sam bierze sto za sto!... Infamis! Niby to nie chciał Melci i nie przyjmował pierścienia, a nie wstydzi się na moich pieniądzach zarabiać osiemdziesiąt osiem na sto...

Przytem najhaniebniej oszukał tego biednego hultaja Edmunda, zagrabił mu majątek... I nietylko jemu, ale nam: mnie i Melci... Nie, tak nie może pozostać. Ja wprawdzie jestem w tej pozycji, że muszę mu powierzyć majątek, gdyż inaczej grozi mi bankructwo, ale sumienie i honor nakazują mi przypomnieć Edmundowi, aby on nie darowywał swego. Ten lichwiarz musi zwrócić sto tysięcy... Wyprocesujemy!... z wnętrzości mu wydrzemy!...

Pan Piotr ze swej strony pił do południa herbatę z cytryną, stękał, jęczał i rozmyślał:

— Uuu! mój przyjaciel Hipolit to figlarz! Chciał mnie ożenić ze swoją córką i strwonić uczciwie zapracowany kapitał. A przytem: w jakim on celu podarował mi pierścień?... kosztowny pierścień... Lękam się zdrady!... Kto wie, czy nie lepiej zrobię, wyjechawszy zupełnie z tego kraju, gdzie każdy czyha na to, aby wyzyskiwać ludzi uczciwych... Dwanaście procentów!... skąd ja będę brał takie procenta?

Trzeba jechać. Wycofam, co się da, a z zagranicy każdemu odeszłą jego należność, po strąceniu naturalnie tych lichwiarskich procentów, jakie obecnie płacę. Rozumie się, że odeszłą, złamany grosik nikomu nie przypadnie!... Dopiero przekonają się, co to jest człowiek z charakterem.

Tak więc każdy z obu wspólników, w kilkanaście godzin po zawarciu dozgonnej przyjaźni, rozmyślał o tem, aby swego kompana oszukać. Pan Piotr (był to nie dzisiejszy projekt) chciał ze swemi i nieswemi pieniędzmi umykać zagranicę, „gdzie nie wyzyskują takich jak on ludzi uczciwych,” pan Hipolit zaś układał plan wydobycia od Piotra owych stu tysięcy, które mógł być wygrać Edmund, gdyby biletu nie sprzedał.

Tymczasem pieniądze płynęły jak woda. Wieść o wygranej napędziła panu Hipolitowi mnóstwo nowych przyjaciół, odświeżyła stosunki z dawnymi i ściągnęła wcale pokaźną cyfrę konkurentów do Melci, którzy mieli nazwiska, ogładę, dobre serca i widoki na przyszłość, lecz tymczasem cierpieli na chroniczną goliznę.

Wszystko to trzeba było karmić i poić znakomicie, gdyż każdy wybornie znał się na kuchni i smak miał przewybredny. W domu Hipolita dzień w dzień odbywały się uczyty, pochłaniające dziesiątki i setki rubli. Nadomiar bowiem złego, wypadało często grać w karty z panami poważniejszymi i pożyczać pieniędzy młodzieńcom dystyngowanym.

Naturalnie, że im więcej kosztowali konkurenci, tem bardziej rosły wymagania panny i ojca. W pierwszym dniu po głównej wygranej każde z nich gotowe było przyjąć nawet Edmunda z jego stu tysiącami i prawdopodobnym zapisem dziadka, zczasem jednak pragnienia wzmogły się, a dziś pan Hipolit żądał (najtaniej licząc) krociowego zięcia, panna Amelja zaś przynajmniej hrabiego, chociaż liberalne jej uczucia zadowolnićby mógł jaki młody lecz znakomity filozof.

W początkach jesieni pan Hipolit zobaczył bardzo wyraźnie dno kasy, przekonał się dotykalnie, że procent wypłacany mu przez Piotra wobec jego wydatków, jest drobiazgiem, a pomimo to —

bogatego zięcia nie znalazł. Wówczas troskliwy ojciec wpadł w zwykły pesymizm i dając za wygrane marzeniom, wymyślił powrócić do wypędzonego Edmunda.

Pewnego dnia złożył mu wizytę. Młodzian, widząc w rękach niedoszłego teścia giętką trzinę, zaniepokoił się tak, że chciał z własnego mieszkania uciekać.

— No, no!... — zaczął pan Hipolit dobrotliwie. — Puśćmy w niepamięć rzeczy minione i pogadajmy o interesach.

— Ja żadnych interesów nie robię... słowo honoru!... — odparł ciągle wystraszony Edzio.

Pan Hipolit usiadł na wytartej nieco kawalerskiej kozetce i mówił dalej:

— Zbadałem już dokładnie twoją sprawę z biletem, który sprzedałeś Piotrowi. Było to z jego strony bezwstydnie oszustwo; tego darować nie można. Trzeba ci wiedzieć, że Piotr wychodził z naszego mieszkania prawie w tej samej chwili, kiedy wbiegł kolektor z doniesieniem o wygranej... Widocznie stary filut podsłuchał go i kupił od ciebie bilet wówczas, gdyś był pijany...

— Istotnie, trochę piłem tego dnia... Przypominam sobie...

— Otóż — ciągnął Hipolit — musisz energicznie wystąpić przeciw temu łotrowi. Znam ja go dobrze i wiem, że się łatwo ulęknie. Zagroź mu więc czem chcesz: ogłoszeniem w dziennikach, pojedynkiem... procesem wreszcie... Edzio zakręcił się, usłyszawszy o procesie.

— Widzi szanowny kuzyn — odparł — jestem w fatalnej pozycji, gdyż Piotr ma pewien kwit...

— Na którym podpisałeś hrabiego?... — przerwał Hipolit.

— Ale tylko żartem!... słowo honoru, że żartem! — upewniał Edzio. — Chodziło o nędzne trzydzieści rubli, był więc oczywisty żart, chociaż... gdyby się dziadek dowiedział...

Pan Hipolit wydobył z pugilaresu jakiś papier i rzekł: — Oto jest ów kwit. Wykupiłem za dwa razy większą sumę, aby tylko ocalić twoje nazwisko.

— Drogi kuzynie! — krzyknął Edzio, wyciągając do papieru obie ręce. — O! teraz czuję, że mogę wejść na drogę cnoty...

— Za pozwoleniem! — odparł kuzyn — kwit ten oddam, ale mężowi mojej córki. A teraz dowidzenia!... Duś Piotra, wydobądź pieniądze, lecz o mojej dzisiejszej wizycie ani słowa!...

Po jego odejściu, Edmund począł obiegać pokój jak szalony, myśląc o odebraniu pieniędzy, o zemście nad Piotrem i małżeństwie z Amelją. Życie wydało mu się znowu bardzo ponętne.

Poszedł natychmiast do Piotra, lecz w drodze opuściła go energia. Zawahał się więc i wysłał kartkę do Hipolita z prośbą o chwilę rozmowy. Przy powtórnym widzeniu się z nim, rzekł:

— Kochany kuzynie! czy nie lepiej byłoby tego hultaja Piotra zostawić w spokoju i raczej oddziaływać na ciotkę? Wszakże ona ma sto tysięcy, jest stara, uczciwa i nie zechce przecież zniweczyć szczęścia dwu istot: mego i kuzynki Amelji... Gdy jej powiem, że pragnę wejść na drogę cnoty...

— Szaleńcze! — zawołał rozgniewany Hipolit — rób, co ci każe, a ciotkę mnie zostaw. Baba ta codziennie umiera ze strachu, lękając się o pieniądze, wkońcu więc umrze naprawdę, a my naszą należność odbierzemy. Ty zaś kończ z Piotrem... W sprawie z nim nie chodzi mi bynajmniej o marny grosz, ale o sprawiedliwość! Niepodobna przecież pozwalać oszustom na bezkarne korzystanie z owoców nikczemnej intrygi... Oto mój cel: stanąć w obronie pogwałconej moralności!... Tak mi każe sumienie i od tego na włos nie ustąpię.

Edmund podziwiał wprawdzie nieugiętą zacność swego kuzyna, niemniej jednak postanowił ciągnąć wodę dwoma wiadrami. Jeżeli nie uda się z Piotrem, może udać się z ciotką, a jeżeli ciotka okaże się niezachwianą, wówczas Edzio, zbrojny w ideę sprawiedliwości, z niepokonaną siłą wystąpi przeciw Piotrowi. Nie będzie go już wtedy prosił, lecz pocznie rozkazywać i grozić. On przecież nie pragnie cudzego, lecz chce odebrać swoją własność, w tak niegodny sposób wydartą!

Rezultat tych zabiegów wywołał dość osobliwe następstwa, w kilka tygodni bowiem po wizycie pana Hipolita u Edmunda, zapomniany przez wszystkich Kazimierz, wice-dyrektor dystylarni, odebrał karteczkę tej treści:

W srogiej niepewności pozostając, czy list mój dojdzie pana, bom przez zgryzoty zapomniała, w której pan jest dystylarni, wszelako piszę. Odwiedź pan nieszczęśliwą kobietę, której zdrowiu i życiu z powodu pieniędzy nieustannie zagrażają niebezpieczeństwa. Mój szwagier i ten niepoczciwy Edmund widocznie coś uknuli, a że się ich strasznie boję, więc chciałabym z panem porozmawiać.

Modląc się, aby listu tego kto cudzy nie złapał i wrogom moim nie oddał, czekam bytności pańskiej z trwogą i przerażeniem. Jeżeli adres jest zły, to niech mi pan doniesie, gdzie pan mieszka, abym czem prędzej drugi list napisała.

Strapiona ciotka

Jakkolwiek w tajemniczym tyra dokumencie żadnych innych nie podano wskazówek, Kazimierz łatwo odgadł, że autorką jego jest ciotka Melci. W ciągu kilku godzin dowiedział się o adresie staruszki i tego samego dnia do niej pojechał.

Puka we drzwi — zamknięte. Puka drugi raz — słychać lekki szmer, po którym nastąpiło pytanie cichym i drżącym wypowiedziane głosem:

— Kto tam?

— Ja.

— Kiedy nie wiem kto?

— Ja... Kazimierz!...

W zamkniętym pokoju rozległ się szelest kroków, poczem nastąpił dalszy ciąg badań:

— A czy tylko pewnie Kazimierz?

— Przecież chyba pani poznaje mój głos.

— Iii!... — mruknęła staruszka — ludzie teraz umieją wszystko udać!...

Potem dodała:

— Jeżeli pan jesteś Kazimierz, to poco pan przychodzisz do mnie?

— Odebrałem dzisiaj list pani — odparł badany.

— Aha! więc adres był dobry.

Teraz chemik usłyszał otwieranie zamku, zatrzasku i klamki. Uchyliły się drzwi, lecz gdy Kazimierz chciał wejść, przekonał się, że go nie puszcza krótki stalowy łańcuszek. Jednocześnie w otworze ukazała się zielona umbrelka, żółta twarz i zaczerwienione skutkiem płaczu oczy ciotki. Biedna kobiecina w ciągu kilku miesięcy zmieniła się i zestarzała do niepoznania.

Sprawdziwszy tożsamość osoby, ciotka Melci uściskała Kazimierza i szpitalnym głosem zaczęła mu opowiadać swoje przygody. Długa ta historia, pełna obaw, przywidzeń i nudów, da się streścić w następujących punktach:

Od chwili przeprowadzenia się na nowe mieszkanie, ani Melcia, ani pan Hipolit nie odwiedzali ciotki, ona zaś od dobrych ludzi słyszała tyle tylko, że krewni jej żyją hucznie, że są zdrowi i bankructwa bliscy. Mimo jednak zerwania z rodziną, ciotka nie ma spokoju, zawsze bowiem lęka się złodziei i zbójców, w czym utwierdziły ją nadsyłane od kilku tygodni listy bezimienne. W pismach tych (w których Kazimierz poznał rękę pana Hipolita), jakaś nieznana przyjaciółka upomina ciotkę, aby wróciła pod opiekę swego szwagra, gdyż inaczej może ją spotkać nieszczęście.

Nadomiar złego, począł staruszkę odwiedzać Edmund, który za każdą bytnością zaklina ją, aby pieniądze swoje zapisała jemu i Melci. W przeciwnym bowiem razie — mówił Edmund — ciotka zdruzgotuje dwa kochające się serca, a jego, to jest Edmunda, zepchnie gwałtem z drogi cnoty, na którą wszedł obecnie i gdzie mu się bardzo dobrze powodzi. Wkońcu nadmieniła ciotka o tem, że się

Edmund oświadczał i został przyjęty, choć w kwadrans potem wypędzono go z domu.

— Przykre to są wprawdzie rzeczy, ale... cóż ja szanownej pani poradzę? — rzekł Kazimierz.

— Ty jeden możesz mi poradzić! — zawołała staruszka. — Ja ci oddam moje pieniądze do przechowania...

— A to z jakiej racji? — spytał zdziwiony chemik. — Niech pani złoży je lepiej w banku.

— Nie chcę! nie chcę! — odparła, trzęsąc rękoma. — Bank może zbankrutować, a ludziom nie wierzę, tylko tobie jednemu, bo mi się wydajesz uczciwym.

Po wielu sporach, wyjaśnieniach i łzach staruszki, Kazimierz zgodził się wreszcie na przechowanie pieniędzy, od których miał co pół roku odcinać kupony i odnosić je ciotce.

Interes był zatem w połowie ukończony. Dobra kobiecina nie żądała nawet kwitu od Kazimierza, tylko zakłęła go na honor, sumienie, Boga i pamięć rodziców, aby jej nie zdradził.

Pozostała jednak do wykonania druga część tej oryginalnej umowy, a mianowicie: doręczenie pieniędzy. Już staruszka sięgnęła pod materac, już wydobyła paczkę, już poczęła liczyć zawarte w niej listy zastawne, gdy nagle obudził się w niej jakiś niepokój.

— Patrzące... To są pięciusetrublowe... Jeden, dwa, trzy!... Ale... nie gniewaj się, nie zdradzisz ty mnie?

— Moja łaskawa pani — odparł zakłopotany wice-dyrektor — cóż ja pani na to odpowiem? Hipoteki nie mam żadnej, no, a nie mogę żądać od pani większej wiary w moje obietnice, niż ją pani sama posiada.

— Ależ ja ci wierzę!... tylko tobie!... — odparła uspokojona nieco staruszka. — Patrząc: to są pięciusetrublowe... jeden, dwa... Przepraszam cię, moje dziecko — dodała, patrząc mu w oczy — a nie masz ty czasem jakich szkodliwych nałogów? Może karty, hulanki?...

Kazimierz lekko się skrzywił.

— No, no! — zawołała — tylko się nie obrażaj!... Ja ci przecież ufam... dość spojrzeć na ciebie... Patrząc: to są pięciusetrublowe... Jeden, dwa, trzy...

Znowu przestała liczyć i zalawszy się rzewnemi łzami, krzyknęła:

— Boże mój! natchnij mnie łaską swoją, co ja mam robić nieszczęśliwa!...

— Moja droga pani! — rzekł Kazimierz — odłóżmy tę rzecz na kiedy indziej. Ja dziś tych pieniędzy nie wezmę...

— Więc chyba chcesz, żebym umarła? Czy ty Boga nie masz w sercu... czy nie czujesz litości dla nieszczęśliwej kobiety?

— Dobrze, biorę! — odparł zniecierpliwiony. — Niechże pani liczy...

Wobec takiej stanowczości, ciotce poczęły drzeć ręce i nogi. Kilka minut upłynęło, nim uspokoiła się i odpowiedziała:

— Dziś jakoś nie mam pamięci do rachowania... Możeby już kiedy indziej?...

— Wybornie!... Napisze pani do mnie bilet i ja przyjdę. — Tak! tak!... — odparła szybko, zawijając papiery i obwiązując je sznurkiem. — Napiszę... napiszę!...

I zatrzymała paczkę na kolanach, widocznie nie chcąc jej chować przy Kazimierzu.

Teraz młody człowiek wstał i pożegnawszy stroskaną ciotkę, począł zabierać się do wyjścia. Gdy już był we drzwiach, dama krzyknęła:

— Panie Kazimierzu!... wróć się, wróć... jeżeli Boga kochasz!

— Co pani każe? — spytał, stojąc w progu. — Chodź tu... Oddam ci pieniądze!

Ale gdy Kazimierz chciał zdjąć palety, znowu rozmyśliła się i rzekła:

— Albo — wiesz co?... Idź już lepiej do domu! Napiszę do ciebie...

Tym razem wice-dyrektor wyszedł naprawdę, staruszka zaś poczęła zakładać łańcuszek, zamykać

zatrząsk i obracać kluczem. Robiąc to z podwójną ostrożnością, mruczała:

— Nikomu wierzyć nie można... Muszę zakopać, o muszę!... Jeżeli mnie zabiją, nic przynajmniej nie zabiorą!

Kazimierz zaś, idąc ku domowi, myślał: — A to im się udało! Niech djabli raczą wziąć takie wesołe szczęście...

PAN PIOTR ZACZYNA WYKONYWAĆ SWÓJ PROJEKT, KTÓRY KOŃCZY PAN EDMUND W SPOSÓB DOŚĆ NIESPODZIEWANY.

Hipolit nie na żarty bliskim był powtórnej ruiny. Nabywcę jego kamienicy zlicytowano, a pozostała suma spadła z hipoteki. Skutkiem tego dawniejsi wierzyciele Hipolita, wiedząc, że wygrał na loterji i że z nieruchomości nic już nie odbiorą, przyparli go tak energicznie, iż dla uniknięcia skandalu, oddać im musiał tysiąc kilkaset rubli gotówką.

Teraz Hipolit, dzięki wygranej, pozbył się kompletnie starych długów, ale i nowych pieniędzy. Jego kolacje były już mniej obfite, a goście mniej wykwinłi. Najpierwej przestali odwiedzać go poważni panowie, zajeżdżający własnymi karetami, później przeredziły się zastępy ślicznie wychowanych konkurentów Melci. Potem trzeba było oddalić służącego, a wkońcu — zanieść do „Kurjera” anons, że w domu tym a tym, są do odstąpienia dwa umeblowane pokoje, po co jednak nikt się nie zgłaszał.

Napróżno zmartwiony Hipolit błagał Piotra o podwyższenie stopy procentu, lub o zwrot części kapitału. Punktualny Piotr narzekał na ciężkie czasy i przysięgał, że przed terminem ani grosza z powierzonych mu pieniędzy nie zwróci. Ufny w szczęście ojciec panny Melanji trzymał w dalszym ciągu loterję, na której ledwie wygrał stawkę: nabył też kilka pożyczek premjowych, lecz jakoś w połowie grudnia sprzedać je musiał na pokrycie niezbędnych wydatków. W rezultacie — pozostało mu tylko eleganckie mieszkanie, zapłacone do lipca, — sześć tysięcy rubli srebrem u Piotra, od których procent pobrał także do lipca i słaba nadzieja na wyciśnięcie piętnastu tysięcy rubli srebrem niby to należących do Edzia, czego zresztą żaden rozsądny człowiek nie mógł brać w poważną rachubę.

Spacerując po swem ładnem mieszkaniu i paląc z ostatniego pudła hawańskie cygara, pan Hipolit zachodził w głowę, jakim sposobem mógł wydać dziewięć tysięcy rubli w ciągu pięciu miesięcy? Nic tak znowu osobliwego nie użył, spłacił niewielki dług, a kosztowało go to około sześćdziesięciu rubli dziennie! Melcia również dziwiła się, nie odgadując naturalnie, że pan Hipolit przez pewien czas prowadził dwa domy, z których drugi, ludziom mniej znany, pochłonał sumkę wcale nieszeptną. Dziś jednak i ten drugi domeczek należał już do legendy.

Przecięciowo raz na tydzień widywał się pan Hipolit z Edmundem. Zwykle rozmowa ich zaczynała się od pytania:

— No i cóż?...

— Jeszcze nic — odpowiadał Edzio.

— Niedołęga jesteś! — wykrzykiwał wtedy pan Hipolit. — O własny honor nie dbasz! Jakto, więc pozwolewszy się obedrzeć nędznikowi, nie masz teraz odwagi odebrać swego, upomnieć się nawet? Ja, gdybym był na twojem miejscu, poszedłbym do niego wprost — i...

— I co? — spytał Edmund ciekawie.

— Idź do licha! — odparł Hipolit w gruncie rzeczy niebardzo wiedząc, coby sam zrobić, poszedłszy wprost do Piotra. Prawdopodobnie nicby nie zrobił, ale dziś odgrażał się niezmiernie.

Jeżeli jednak Edzio głuchym był na odezwy kuzyna, to z drugiej strony umiał się zapalać wówczas, gdy mu potrzeba dokuczyła. Młodzian ten od pewnego czasu, za różne sprawki, a między innymi za nieumiarkowany pociąg do spirytualjów, utracił względy dziadka i wszystkich ciotek, że zaś i o pożyczki było trudno, niekiedy więc znajdował się w tem położeniu, iż nie wystarczało mu nawet na skromny obiadek. Wtedy zaspakajał apetyt paroma kieliszkami demokratycznej piołunówki i

myślał o odebraniu swoich stu tysięcy od Piotra.

Tymczasem pan Piotr, z wolna lecz systematycznie, przygotowywał się do wykonania ulubionego planu, czyli innymi słowy: do wyjazdu zagranicę, gdzie to nie wyzyskują ludzi uczciwych.

Aby przyzwyczaić znajomych do swej nieobecności, Piotr wychodził z domu rzadko. W połowie grudnia miał już paszport. Kapitały ostrożnie wycofywał, chętnie przyjmował depozyta od ludzi goniących za wysokim procentem i wszystko wymieniał na zagraniczne papiery. Wkońcu miał jeszcze u swych dłużników parę tysięcy rubli, lecz nierównie więcej pieniędzy cudzych. Zresztą, mająteczku tego nie trzymał ani w kasie, ani w szkatułce, lecz zrobiwszy niewielką paczkę, nosił ją na własnych piersiach. Było to i cieplej i bezpieczniej.

Pewnego ranka, kiedy czerwone promienie zimowego słońca napróżno usiłowały przekształcić wyrosłe w ciągu nocy kwiaty szronu na oknach, pan Piotr, umywszy się i odziewszy w watowany szlafrok, grzał się przed piecem, w którym dogorywało wielkie brzemie twardego drzewa. Już to ciepło lubił kapitalista, nie dlatego, ażeby mu wiek krew ostudził, lecz — ot tak sobie, dla niczego! Lubiał też patrzeć, jak powoli płomień ogarnia polano, które dymi się, syczy, strzela, a wkońcu staje słupem ognistym, prawie przeświecającym. Ustawione obok siebie, słupy takie przypominały Piotrowi jeszcze w dzieciństwie widziany pożar chaty. W tej chwili jeden z nich, strawiony przez ogień, pochyła się i łamie, dwa inne, oparłszy się o siebie, tworzą rodzaj krokwi... Potem skutkiem dziwnego skombinowania się mocy płomieni z siłą przyciągania, bezkształtny z początku stos drewna formuje coś podobnego do kolumnady pałacu, złotego, zaczarowanego... Tylko patrzeć jak w długiej sieni stanie zaklęta księżniczka, w sukni perłami i brylantami obsypanej. Wogóle ogień na kominku, a nawet w zwykłym piecu, budzi w duszy wspomnienia legend, któremi nas usypiano w kolebce.

Z wysokości tych poetycznych dumań przy ognisku, na rzeczywisty grunt sprowadziło kapitalistę pukanie do drzwi. Rozmarzony jeszcze, zapomniał o zwykłych środkach ostrożności i myśląc, że to służący wraca z miasta — otworzył.

Aż go coś „w wątrobę kolnęło,” — gdy zamiast oczekiwanego famulusa, zobaczył Edmunda. Młody człowiek był już widocznie po piołunówce, miał ubranie zmiętoszone i zarost wcale nie budzący ufności.

— Eee... A co pan każe? — spytał Piotr, czując lekkie darcie w łydkach.

— Przyszedłem upomnieć się o swoje! — odparł Edzio głosem, zdradzającym częste przebywanie w źle dobranych towarzystwach.

Pan Piotr cofnął się na środek pokoju, gdzie stanął oparty krzyżem o biurko, na którym jakaś płaska paczka leżała, zawinięta w ceratę.

— Cóż, nie namyśliłeś się pan jeszcze zwrócić mi wyszachrowanych pieniędzy? — pytał dalej Edzio.

Piotr, widząc nader cienką laseczkę w rękach swego antagonisty, odzyskał kropelkę zimnej krwi i pomyślał o przewleczeniu układów aż do nadejścia służącego. Byle tym razem udało się!... Już dziś w południe kapitalista siądzie na pociąg i wyjedzie zagranicę. W tym dzikim kraju, gdzie uczciwych ludzi mianują oszustami, pan Piotr dłużej bawić nie może!

Idee te przemknęły mu jak błyskawica, rzekł więc: — Czego się kochany pan bez powodu unosi?... Pogadajmy rozsądnie, spokojnie...

— Nie wdaję się w gawędy! — krzyknął uzuchwalony tą łagodnością Edmund. — Minał czas dysput!... Zdruzgotałeś pan dwa kochające się serca, zepchnąłeś mnie z drogi cnoty, zniechęciłeś do siebie mego kuzyna Hipolita...

— Więc i mój przyjaciel Hipolit maczał rękę w tej sprawie? — pomyślał kapitalista i gwałtownie zapragnał, aby już południe nadeszło.

— Mimo to — ciągnął Edmund — nie chcę ja pańskiej krzywdy. Wprawdzie majątek, zebrany z pomocą lichwy, nie zasługuje na opiekę prawa, ale pal go licho! Oddaj mi moje sto tysięcy, a resztę ci zostawię...

Piotr zsiniał i gwałtownym ruchem schwycił w ceratę paczkę, przycisnął ją do piersi. Dałby tysiąc rubli na ubogich, gdyby w tej chwili mógł już siedzieć w wagonie.

Ruch ten był nadto znaczącym, a paczka zbyt podejrzaną, aby Edmund nie zwrócił na nią uwagi.

— Co to znaczy? — wykrzyknął, zbliżając się do Piotra.

— Gwałtu!... Złodziej!... Ratunku!... — począł wrzeszczeć kapitalista, chowając paczkę pod szlafrok.

— Moje pieniądze! — zawołał Edzio i wyrwawszy kapitaliście jego mały pakunek, chciał uciekać.

— Morderca! — wył Piotr, chwytając za skraj paletota. Edzio raz i drugi kopnął finansistę, ale na próżno. Piotr

upadł wprawdzie, lecz paletota nie puszczał i włókł się za swym napastnikiem jak raniony pies, który wpił zęby w szczwanego dzika.

Na schodach rozległo się szybkie stąpanie.

— Ratunku! — krzyczał Piotr.

W uchylonych drzwiach ukazała się twarz jakiejś dziewczyny.

— Stróża zawołaj! policji!... — błagał leżący na ziemi kapitalista.

Dziewczyna znikła.

— Ha! podła duszo!... — zaklął Edmund. — Nie chcesz oddać mego, więc masz...

I rzucił paczkę w otwarty piec. Płomień w jednej chwili objął ceratę.

Teraz pan Piotr uwolnił Edmunda i skoczywszy do pieca, bez wahania wsunął obnażone ręce w ogień. Ale młodzian chwycił kapitalistę za kark i odepchnął go na środek pokoju.

Kilkadziesiąt tysięcy rubli gotówką i weksle dłużników płonęły tak szybko i wesoło jak stos zużytych rękopismów, albo miłosne listy od kochanki, która się już zestarzała.

— Złodziej! — jęczał Piotr, dmuchając na poparzone ręce.

— Nie oszukuj ludzi uczciwych, łotrze! — odparł Edzio i niezatrzymywany opuścił pokój.

Ale w sieni zastąpili mu drogę stróż, milicjant i kilku lokatorów.

W kwadrans potem był już w cyrkule, gdzie bez ceremonji opowiedział wszystko.

— Dlaczegoż pan to zrobił? — zapytał zdziwiony urzędnik.

— Honor i uczucie sprawiedliwości nakazały mi tak uczynić! — odparł z wielką pewnością siebie pan Edmund.

Dobry humor i przekonanie o wzniosłości spełnionego czynu nie opuściły go przez cały dzień. Lecz gdy wieczorem znalazł się na więziennym sienniku, począł płakać, prosić, aby go uwolniono, tudzież składać tysiące innych dowodów przerażenia i skruchy.

— Dajcie tylko znać dziadkowi, a on zwróci pieniądze! Zrobi to dla honoru familji... Sprowadźcie — błagał dalej — pana Piotra, a on sam wstawi się za mną... On przecież wie, że ja zrobiłem to po pijanemu!... przez prędkość!... O Boże, wyratuj mnie ostatni raz, a już wejdę na drogę cnoty...

Wieczorem całe miasto wiedziało, że Piotr stracił ogromne pieniądze. Kapitalista skutkiem wzburzenia był tyle nieostrożny, że wspomniał coś o swym projekcie wyjazdu zagranicę. Jego zaś wierzyciele, zmiarkowawszy o co chodzi, niezwłocznie rozpoczęli przeciw niemu dochodzenie sądowe.

Pocziwiec jednak nie miał czasu myśleć o następstwach tej awantury: płakał on bowiem, kłął

Edmunda, lub opatrywał sobie silnie pokaleczone ręce.

DALSZE OWOCE WIELKIEGO LOSU.

I otóż nadeszły dla pana Hipolita godziny tak złe, jakich w najgorszych czasach nie pamiętał. Złożone u Piotra sześć tysięcy rubli srebrem przepadły do ostatniego szeląga, bez nadziei zwrotu. Nazwisko jego figurowało w kilku protokółach sądowych, w sposób bardzo dwuznaczny: Edmund bowiem powoływał się na niego jako na świadka, a Piotr wprost oskarżał go o podmawianie do napadu. Najmniej wymagający, najskromniejsi znajomi zerwali z nim stosunki, a resztkę pieniędzy rozchodziła się tak szybko, że z całą ścisłością obrachować można było, w którym dniu nie wystarczy na obiad.

Pan Hipolit chciał sprzedać meble i wynająć opłacone do świętego Jana mieszkanie; ale tuzinkowi kupcy za sprzęty dawali bajecznie małą sumę, a do mieszkania nikt się nie zgłaszał. Trzeba było stąpać po dywanach, siadać na aksamitnych fotelach, potrącać głową o kosztowne portjery i przy tem wszystkiem — myśleć o głodzie!

A było ich znowu troje: pan Hipolit, Melcia i... zgadnijcie kto trzeci?... Może sługa?... Nie! gdyż zubożeli państwo musieli poprzestać na najemnicy. Więc któż? Oto ciotka, ta sama, która współcześnie z nimi wygrała na loterji, lękała się o swoje pieniądze, opuściła ich dom, a dziś znalazła się zpowrotem, ale biedniejsza od najbiedniejszych nędzarzowi

Historja pogodzenia się członków jednej rodziny, których szczęście zwaśniło, jest bardzo zajmującą. Opowiem ją w kilku wyrazach.

Na drugi dzień po spaleniu przez Edzia pieniędzy panu Piotrowi, Melcia i jej ojciec udali się do ciotki z prośbą o pomoc. Wszyscy podejrzewali, iż Piotr musi mieć jeszcze ukryte fundusze, pan Hipolit więc, łącznie z innymi wierzycielami kapitalisty, postanowili go procesować i bodaj na Lesznie zamknąć, jeżeliby nie zaspokoił ich dobrowolnie. Lecz na proces potrzebne są pieniądze; Hipolit ich nie miał, musiał zatem prosić o nie ciotki.

Gdy przez zamknięte drzwi Melcia zarekomendowała się staruszce, ciotkę opanowało tak silne wzruszenie, że ledwie mogła poodsuwać zatraski i poodczepiać łańcuszki. Zobaczywszy zaś szwagra i siostrzenicę w ich naturalnym kształcie i wielkości, zaniósła się od płaczu, że ją ledwie utulono!

Nie wiedziała ona wprawdzie, poco przyszli, niemniej jednak cieszyła się i mówiła, szlochając:

— Potrzebaż nam było rozchodzić się, mój szwagrze, moja Melciu? Żylibyśmy razem, wy ze swoim, ja z moim groszem, bez smutku i strachu. Ja się tak bałam przez te pół roku, że wkońcu zakopała pieniądze. Ale teraz wydobędę je, oddam wam i... niech się dzieje wola boska! Na starość miłszy spokój, niż majątek przy ciągłej obawie...

Ale cóż u was słyhać? — spytała, ocierając oczy.

— Jesteśmy zrujnowani! — odparł Hipolit. — Ja dałem moje pieniądze Piotrowi... Ale co siostrze?

— Nic! nic!... — szepnęła staruszka, chwytając się za głowę.

— Otóż — mówił Hipolit — trzeba nieszczęścia, że Piotr oszukał Edmunda, wytumanił od niego sto tysięcy...

— Cioci jest niedobrze? — spytała zaniepokojona Melcia.

— Nic! nic!... trochę mnie głowa zaboląła, ale to przejdzie.

— Edmund — ciągnął Hipolit — kilka razy nachodził Piotra i upominał się o swój fundusz...

— On i mnie nachodził... To niedobry chłopiec!... — szeptała ciotka.

— Skończony łotr! — rzekł z westchnieniem szwagier. — Wyobraź sobie siostra, że niegodziwiec ten napadł Piotra, schwycił mu ogromną pakę pieniędzy i rzucił ją w piec!... Kilkadziesiąt tysięcy rubli przepadło, a między nimi i mój cały fundusz!...

— Edmund!... Edmund!... — jęknęła ciotka, podnosząc obie ręce do góry. W tej samej chwili pochyliła się na bok i zemdląła.

Omdlenie trwało dobre pół godziny. Sprowadzono paru lekarzy, felczera i po wielu wysiłkach otrzeźwiono staruszkę. Zaczęła oddychać, oglądać się, poruszać i od czasu do czasu wypowiadać nie mające związku wyrazy, między którymi najczęściej powtarzał się: „Edmund!”

Przewieziono ją ostrożnie do mieszkania pana Hipolita, pielęgnowano, leczono... Po paru dniach już wstała i poczęła wykonywać jakieś ruchy palcami, a gdy na domysł lekarza podano jej bawełnę i druty — wzięła się do robienia pończochy i zrobiła coś bardzo podobnego do tej części odzieży.

Po upływie tygodnia dano jej włóczkę, a wtedy robiła kaftanik na drutach. Powrócił jej sen i apetyt, lecz doktorzy zaopiniowali, że straciła pamięć.

Był to ostatni cios dla pana Hipolita, wypadek ten bowiem odbierał wszelką nadzieję znalezienia zakopanych pieniędzy. Staruszka jednak musiała sobie coś przypominać o nich, każde bowiem pytanie, skierowane do tego przedmiotu, budziło w niej straszny niepokój. Zdawało się, że rozumie, o co chodzi; czerwieniła się, zrywała z krzesła, wskazywała gdzieś rękoma, lecz wysiłki te szybko ją wyczerpywały. Wtedy ulegała senności i apatii tak, że dla utrzymania jej przy życiu zarówno pan Hipolit, jak i Melcia postanowili nie dowiadywać się już o ukrytym majątku.

— Dajmy spokój! — mawiał Hipolit. — Przekłète to są pieniądze!

Melcia nie odpowiadała nic, lecz niedługo potem ojciec zobaczył w pokoju jej pędzelki, miseczki z farbami i stopy fotografij. Po raz drugi zubożała panna wzięła się do retuszowania, tym razem z podwójną gorliwością, chociaż z nieosobliwym powodzeniem. Źle opalane mieszkanie było chłodne, w kątach pokojów zaczęły ukazywać się wilgotne plamy, w kuchni woda marzła, a biednej Melci siniąły paznokcie i sztywniały delikatne paluszki. W podobnych okolicznościach trudno być artystą.

Kłęski mają tę dobrą stronę, że uczą ludzi tego, o czym w chwilach powodzenia nie myśleli nawet. To też i pan Hipolit i jego córka poczęli kształcić się moralnie. Usługiwali sobie po większej części sami, żyli z zarobku Melci (a drobny był to zarobek!), długów nie zaciągali i chorą ciotkę, chociaż była dla nich tylko ciężarem, otaczali opieką, jakiej przedtem nie doświadczała nigdy.

Bieda zrobiła ich miłosiernymi i przezorniejszymi niż dotychczas, choć jeszcze nie uleczyła ze wszystkich wad. Głęboka przemiana charakterów ludzkich dokonywa się bardzo powoli, że zaś fakta i okoliczności zewnętrzne idą właściwym sobie trybem, — więc bez względu na nowe cnoty, dzięki starym grzechom, zdarzył się Melci w owym czasie wypadek, podobno najgorszy w życiu.

Kazimierz, ów zwiedziony konkurent jedynaczki pana Hipolita, kochał ją ciągle i nawet bardzo często rozmawiał o niej i o niefortunnej miłości ze swoją przyjaciółką panną Wandą Schmupfke, z którą go wciąż bezskutecznie swatano. Nareszcie gdy od Nowego Roku został naczelnikiem dystylarni i gdy wieść o wypadkach Hipolita rozeszła się po całej Warszawie, miał raz z Wandą taką rozmowę:

— Słyszałem dziś, że pan Hipolit znajduje się w wielkiej biedzie, tak że nie ma nawet na opał.

— A cóż się dzieje z ciotką?... Czy nie odzyskała pamięci?... Nie powiedziała, gdzie leżą pieniądze?

— Stracone to są rzeczy! — odparł Kazimierz, zamyślając się.

— Pana widzę bardzo obchodzą ci ludzie, nawet obecnie... — rzekła panna Wanda i zarumieniła się z powodów bliżej nam nieznanym.

A potem dodała ze złośliwym uśmiechem:

— Może im pan łatwo i skutecznie dopomóc, jeżeli wspomnienia pańskie są zawsze jednakowo świeże.

— Zdaje się, że usłucham rady pani — odpowiedział z naiwną powagą dyrektor, sądząc w prostocie ducha, że jego młoda przyjaciółka myśli tylko o tem, aby go z Melcią wyswatać.

Poglądy jednak panny Wandy na sprawę tę musiały być nieco odmienne, ponieważ pożegnała go trochę smutna, a trochę rozgniewana, życząc ironicznie, aby się spieszył z weselem i ją zaprosił na druchnę.

Kazimierz udał się wprost do mieszkania pana Hipolita, niemniej wzruszony jak i wówczas, kiedy się po raz pierwszy miał oświadczyć. Jak wygląda Melcia? czy istotnie jest tak biedną, jak mówią ludzie? czy go pamięta? jak go przyjmie? — pytał samego siebie, zbliżając się do celu.

Pan Hipolit spacerował po sali i ćmił fajeczkę, z której wychodzący dym niedość zdawał się pasować do aksamitnych mebli. Ujrzawszy Kazimierza, rzucił fajkę w kąt i zawołał:

— To pan jesteś, panie dyrektorze?... Pan, w domu niewdzięcznego bankruta?... O! jakaż to święta prawda, że przyjaciół poznaje się dopiero w nieszczęściu! Wszyscy ci, którzy objadali mnie wówczas, gdy był bogaty, stronią ode mnie, a ty jeden dziś przyszedłeś!...

Pozwól odtąd nazywać się po imieniu — dodał, całując Kazimierza. — Ja zawsze mam zwyczaj tykać się z prawdziwymi przyjaciółmi.

Kordjalność Hipolita, który zapomniał o afronie i zawodzie zrobionym Kazimierzowi przed pół rokiem, była niespodzianką bardzo niemiłą. Młody człowiek opanował jednak budzące się uczucie niesmaku, zobaczywszy Melcię, która w tej chwili weszła ze swej pracowni do salonu.

Panna przywitała, się z nim nader przyzwoicie, opowiedziała mu o chorobie ciotki i własnych zajęciach, lecz ani jednym słówkiem nie dotknęła przeszłości. Ale gdy pan Hipolit, chcąc ufetować gościa, wymknął się po papierosy, Kazimierz skorzystał z czasu i oświadczył się o jej rękę.

Przy tej okazji przekształcający się charakter panny Amelji zajaśniał dziwnym blaskiem. Dziewica bowiem wysłuchiwała Kazimierza spokojnie, nawet z wyrazem zadowolenia na twarzy, ale... odpowiedziała, że żoną jego nie zostanie.

Kazimierz, który nigdy uczuć swoich nie krępował prawidłami etykiety towarzyskiej, usłyszawszy tak stanowczą odprawę, zerwał się z krzesła i opuścił salon. Była to ostatnia jego wizyta w tym dziwnym domu.

Pan Hipolit aż ręce załamał, nie zastawszy Kazimierza.

— Gdzie on jest?... Co się to stało?... — pytał.

— Oświadczył mi się, nie przyjąłem go i wyszedł — odpowiedziała sucho Amelja.

— Odrzuciłaś go! — krzyknął ojciec — odrzuciłaś człowieka, mającego przeszło trzy tysiące rubli rocznie!... Tyś chyba szalona, kobieto! Wszakże to był los, o jakim ledwie marzyć mogła panna bez posagu, utrzymująca cały dom ciężką i mało popłatną pracą... Gdzież ten twój rozum filozoficzny, twoje teorie, twoja duma wkońcu?... I cóż cię czeka?... Oto staropanieństwo i łaskawy chleb u krewnych, jeżeli ci raczą sobie nas przypomnieć!

Teraz Amelja straciła już władzę nad sobą.

— Jakto ojciec — zawołała z płaczem — więc dlatego, że nie mam posagu, muszę przyjmować oświadczyzny pierwszego lepszego konkurenta jak łaskę i decydować się w ciągu pięciu minut? Ależ o rękę najuboższej dziewczyny dobijają się długimi staraniami...

— To przesąd!... Sama mi przecież nieraz mówiłaś... Cóżto, więc miał ci do nóg padać?

— A cóżby w tem było złego?...

— Co?... Więc miał może i kwiatki przynosić?... Pisywać wiersze o księżycu?...

— Jeżeli robi się to dla innych, dlaczegóż nie miałyby się robić dla mnie?

— Ależ ty jesteś kobietą wyjątkową! — zawołał ojciec, tupnąwszy nogą. — Sama wiecznie żartowałaś z tych rzeczy... sama!... sama!...

— Kiedyś — ale nie dzisiaj.

— Chryste Panie! — mówił nieszczęśliwy Hipolit, chwytając się oburącz za głowę — dla takich głupstw, nieustannie przez siebie wyśmiewanych, poświęcić szczęście całego życia!... I cóż ci dziś pozostanie?... Nędza!... O pocóżem ja z domu wyszedł!... sama powiedz, czy już w tej chwili nie żałujesz tego nierozważnego kroku?

— Nie żałuję! — odpowiedziała Amelja tonem zaciętej stanowczości. — Skompromitowana przez zaręczyny z tym niegodziwcem Edmundem, mam dziś przynajmniej to zadowolenie, że własnowolnie odrzuciłam świetną partja. Nie mnie odepchnięto, ale ja odepchnęłam!... Oto moja pociecha.

— Więc tym sposobem nigdy nie wyjdiesz za mąż.

— Wyjdę, ale tylko za takiego, który będzie się o mnie starał.

— Tamten się także starał!

— Ale nie tak jak inni o inne kobiety.

Ojciec stanął przed nią i patrząc w oczy, zapytał:

— Powiedz, czy nie ty sama zrobiłaś go takim, czy nie ośmielałaś go, czyś nie przedrwiwała owych starodawnych zalotów, o które ci dziś tak chodzi?

Amelja nie odpowiedziała już nic. Naprzód nie chciała przypominać ojcu, że on sam nierównie cięższy zawód zrobił Kazimierzowi, że sam zaręczył ją z Edmundem w okolicznościach śmiesznych i wstręt budzących i że w ogóle dużo zawinił w tej sprawie. Powtóre, mimo żalu i wzburzenia, zastanawiała się nad sobą, nie mogąc pojąć, co się z nią dzieje w tej chwili. Obok dawnych zimnych teoryj o postępowem małżeństwie, obudziło się w niej gorące serce kobiety. Czując, że odmawiając swej ręki Kazimierzowi, chciała bezświadomie wywołać w nim jakiś żywszy objaw miłości, że wolałaby widzieć rozmarzonego kochanka, aniżeli majątnego dyrektora fabryki. Dziś mniej dbała o dochody, o wyjazdy zagranicę, a nawet o filozofję, lecz tem bardziej pragnęła być kochaną.

Na nieszczęście, uczucia i refleksje te ocknęły się w niej zbyt późno i przybrały nieodpowiednie formy. Kazimierzowi przedstawiała się jako zimna grymaśnica, która sama nie wie, czego chce, ojcu zaś jako osoba, która z niezrozumiałego powodu postępuje wbrew własnym zasadom. Żaden z nich nie rozumiał, że panna Amelja zmieniła się, że uczucia wzięły w niej górę nad doktrynami, lecz że okoliczności i nałogi w sposób bardzo niefortunny zamaskowały tę zmianę!

EPILOG.

W końcu karnawału los znowu uśmiechnął się do pana Hipolita. Odstąpił on swoje wykwintne mieszkanie za cenę stosunkowo dość dobrą i sprzedał meble. Zebrana tym sposobem gotówka pozwoliła mu wynająć parę szczupłych lecz ciepłych pokojów i rodzinę jego przynajmniej na jakiś czas zabezpieczyła od niedostatku.

W okresie tym dzieje osób, należących do niniejszego opowiadania, posunęły się naprzód. Wzdychający do cnoty Edzio siedział w więzieniu za napad, a cnotliwy Piotr bawił na Lesznie za długi. Ciotka doreszty straciła pamięć i robiła kaftaniki i pończochy coraz mniej mające sensu.

Melcia tymczasem pracowała jak wyrobница, retuszując po kilkanaście godzin na dobę, a jedyną jej rozrywkę stanowiły... Może książki? Nie! Musiała przecież biedaczka wzrok oszczędzać, nie czytywała zatem, lecz marzyła. A marzyła o tem, że Kazimierz odgadnie nowy stan jej duszy, że wróci i że się oświadczy.

Z jaką radością przyjęłaby go wówczas, jaką byłaby dobrą żoną!... Za to wyparcie się swych dawniejszych przekonań pragnęła jednej tylko nagrody, oto: żeby ją kochał!

Pan Hipolit, widząc niezmierną pracę córki, gryzł się, mizerniał, a wreszcie — począł szukać zajęcia. Lecz gdziekolwiek zwrócił się, zbywano go nieokreślonymi obietnicami, lub cierpką odmową. Wszędzie był nadmiar kandydatów na posady, nadto zaś do objęcia większej ich części pan Hipolit nie był uzdolniony. Chęci miał jak najszczersze, umiejętności żadnej.

Smutniał też coraz bardziej i coraz częściej wymykał się do miasta. Z wycieczek tych zawsze jednak wracał niepocieszony i zniechęcony do ludzi, z których najmniej skorymi do usług okazali się rzekomi przyjaciele. Ci, którzy pomagali mu do strwonienia fortuny, byli najniemiłosierniejsi.

Do zwiększenia goryczy obecnych zawodów, niemało przyczyniły się fakta, będące niby reminiscencją przeszłości.

Pewnego dnia do mieszkania pana Hipolita wszedł jakiś włościanin i już w progu zapytał:

— A czy tu mieszkają te państwo, co na święty Jan wygrali na loterję?

— Tu — odparł obecny temu pan Hipolit. — A co powiecie?

— Bo to widzi pan — mówił wieśniak — ja razem z wami wygrałem. Okpiły mnie Żydy coprawda, ale i tak dość jeszcze zostało z łaski Boga.

Zaciekawiony gospodarz prosił go, aby usiadł i zapytał, czy przyniósł mu szczęście tak łatwo nabyty majątek.

— Bogu dziękować, niczego! — odpowiedział gość. — Tylkom odebrał pieniądze, wnet dałem pięćset rubli na odnowienie naszego kościoła i dwieście rubli Wojciechowi Wiewiórcie, co to mu się jak raz wtedy chata z dobytkiem spaliła. Pobudował się chłop i przez trzy msze święte krzyżem leżał na moją intencję. To też wiedzie mi się nieźle. Kupiłem folwark wcale duży, a do moich chłopców najałem profesora, żeby ich do szkół oddać. Taj tylo! — zakończył o sobie, a potem dodał:

Gadali mi, że u państwa po onem wygraniu zaległa się straszna bieda. Ale widzę, że dzięki Bogu tak nie jest. Macie izby ładne i statki porządne, więc ludzie musieli zełgać.

Ja bo nawet chciałem wam dać parę rubli na zapomogę, ale kiedy tego nie potrzeba, to jeszcze lepiej.

Pan Hipolit zapewnił poczciwego wieśniaka, że się ma dobrze, że nic nie potrzebuje i że wdzięczny mu jest za chęć udzielenia pomocy. W duchu jednak zrobił gorzką uwagę, że to, co jego gościowi wydaje się ładnem i porządnem, w gruncie rzeczy jest tylko ruinę i ubóstwem.

Gdy włościanin wyszedł, Amelja rzekła do ojca:

— Ten przynajmniej jest szczęśliwy.

— To jakaś zająca dusza! — odparł ojciec.

Jednocześnie pomyśleli oboje, że dziwnym zbiegiem wypadków, szczęście w tym człowieku zetknęło się z uczciwością. Czyżby istotnie cnota była owym talizmanem, który utrwała dary losu?

I znowu zostali sami i opuszczeni jak dawniej. Znowu pan Hipolit w niewatowanym paletocie biegał za zajęciem, a jego córka marzyła.

— Wróci, niezawodnie wróci! — myślała, przypominając sobie każde słówko i każde spojrzenie Kazimierza. Była pewna stałości swego wielbiciela i tylko niecierpliwiła się tem, że zwłóczy. Niekiedy nawet zdawało jej się, że gdyby nagle wszedł Kazimierz, wówczas kto wie, czyby potrafiła odegrać dobrze rolę osoby obrażonej.

Zajęta pracą lub swemi medytacjami, ledwie zdołała spostrzec, że ojciec od kilku dni wychodzi z domu dość rano, wpada na obiad na pół godziny i wraca późnym wieczorem zmęczony. Nietyle dziwiła ją ciągła nieobecność ojca, do której miała czas przywyknąć, ile raczej systematyczność w wychodzeniu i tajemniczość, jaką się okrywał.

Dopiero na drugi dzień po świętym Józefie, gdy ojciec wcale nie przyszedł na obiad, postanowiła zapytać go o znaczenie tych wycieczek.

— Kto wie — mówiła do siebie — a może ojciec u Kazimierza bywa, może z nim jakie układy prowadzi, chcąc mi zrobić niespodziankę?

Przypuszczenie to, na niczem zresztą nieoparte, było wymownem świadectwem uczuć Amelji dla Kazimierza. Występował on w każdej nieomal kombinacji, potrzebny czy niepotrzebny, ale często!

Z niepokojem czekając powrotu ojca, wzięła się do odczytania w tej chwili przyniesionego „Kurjera.” I otóż między doniesieniami o weselach, znalazła artykuł następujący:

„W dniu wczorajszym liczne grono rodziny i przyjaciół uczestniczyło przy obrzędzie zaślubin pana Kazimierza dyrektora dystylarni, z panną Wandą Schmupfkówną, córką właściciela browaru. Do ołtarza prowadzili pannę młodą stryjeczni bracia: Mieczysław i Bolesław Schmupfkowie, od ołtarza zaś pan Fryderyk Schultz i Gotlieb Müller. Pana młodego i t. d.

„Wesele odbyło się w domu czcigodnych rodziców panny młodej, którzy dobrane kółko osób podejmowali ze staropolską gościnnością.”

Na Melci wiadomość ta straszne zrobiła wrażenie. Biedna dziewczyna nie myślała już ani o swoich projektach, ani o zawodzie, jaki ją spotkał. Serce jej ścisnęło się i uczuła w głowie taki zamęt, że chcąc gwałtem odepchnąć od siebie obraz Kazimierza i jego żony, poczęła zastanawiać się nad tem, jaki związek istnieć może między rodziną Schmupfke i staropolską gościnnością, — i dlaczego synowie ojców nazywających się Fryderykami lub Gotliebami, noszą już imiona: Bolesław i Mieczysław.

Cierpienia ludzkie rozmaite przybierają formy! Około dziesiątej wrócił ojciec, jakiś pomieszany — i ze smutnym uśmiechem rzekł:

— Ciesz się, Melciu! Dostałem nareszcie posiadłość... Mam aż dwanaście rubli na miesiąc!

— Gdzie?

— W składzie węgla... Jestem tam pisarzem!

Melcia podała mu „Kurjera.” Przeczytał ogłoszenie o ślubie Kazimierza i pobladł.

— Ostatnia nadzieja naszej lepszej przyszłości! — szepnął.

Córka zarzuciła mu ręce na szyję i oparła głowę na jego piersiach. Stali tak przez chwilę z zasłoniętymi twarzami, wśród głębokiej ciszy, które tylko przerywał ciężki i jednostajny oddech śpiącej ciotki.

— Zawiódł nas wielki los! — rzekł pan Hipolit, ocierając oczy.

Z opowiadania niniejszego nie wypływa bynajmniej ten sens, aby osoby, obdarzone główną wygraną, dla ocalenia swej duszy i ciała miały wyrzucać łatwo nabyty grosz za okno. Bynajmniej! Autor nie zakładał sobie takiego celu.

Chciał on tylko wypowiedzieć to przekonanie, że nawet hojny posiew losu złe wydaje owoce, jeżeli trafi na niedobre charaktery i że ludzie w gonitwie za szczęściem nietylko powinni zwracać uwagę na okoliczności zewnętrzne, ile raczej na własną duszę.

Chciał też autor wskazać wszystkim „usiłującym wejść na drogę cnoty” — szczeble, po których schodzi się do występku, — a także nadmienić, iż teorie nieprzetrawione i z instynktami serca niezgodne, skrzywiają niekiedy i zatrują życie.

Następuje to wcześniej lub później, ale zawsze wporę.

SZKATUŁKA BABKI.

Zapaliwszy ofiarny knotek w lampce szafirowej, siadła babunia na starym skórzanym fotelu i zaczęła odmawiać poranny pacierz, wzniosłszy oczy do zczerniałego, ale cudownego obrazu Matki Boskiej. Drżącym szeptem, myląc się i zapominając niekiedy, dziękowała Królowej nieba za ugaszenie przed dwudziestoma laty pożaru w stodołach i odpędzenie (dawniej jeszcze) od pól chmury gradowej. Potem modliła się za syna, synowę i wnuka, za sąsiadów, służbę i dobytek, wkońcu zaś wspomniała długi szereg zmarłych krewnych, przyjaciół i znajomych.

Promienie słońca, ucałowawszy kwiaty, stojące w oknie, ślizgały się po białej ścianie pokoiku, a odbite od stóp świętego obrazu, nagrzewały kota, który się przy fotelu wyciągał, i otaczały jasnością brunatną twarz babuni, tudzież suche jej ręce, pokornie do modlitwy złożone. A ile razy staruszka podniesionym nieco głosem mruknęła: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie...” i milkła, tyle razy knotek, już dotykający wody w lampce, cieniutko odskwierczał: „A światłość wiekuista, niechaj im świeci...”

Nie dziwiło to babuni, która dobrze wiedziała, że światłość z knotka pochodzi, i że jemu zatem mówić o niej przedewszystkiem wypada.

Po ogólnym następował szczególny pacierz za jasnowłosą duszę Kazia nieboszczyka, najukochańszego wnuka, który zmarł, mając lat cztery, a dziś miałby już osiem!... Prawie zawsze przy wspomnieniu tem, łzy z oczu płynęły niebodze. Ach! czemuż dano go przeżyć jej, która od tak dawna ma gotową nad łóżkiem żółtą gromnicę, w kądziel spowitą? W jakim celu trzyma ją Bóg na tej ziemi, gdzie słońce z każdym dniem blask traci, drzewa i kwiaty bledsze są i mizerniejsze niż kiedyś, gdzie lato od pewnego czasu jest tak zimne, że w lipcu watanego kaftana zrzucić nie można? Nie lepiej byłoby jej — tam, w niebieskim pokoiku, z Kaziem mieszkać i przez uchylone okno słuchać anielskich chórów, aniżeli tu, bolejąc za wnukiem, dziwić się, że jedne ptaki jakoś schrypiły, a inne nawet zupełnie głos straciły?...

Człowiek stary tak tęskni do śmierci, jak spracowany robotnik do snu twardego. Świat go nie bawi, otaczający nie rozumieją, a żal ciągnie na drugą krawędź tej jamy ciemnej, którą już przekroczyli najbliżsi. Może w ich gronie szczęśliwym znajdziemy tę młodość, która nas zdradziecko w początkach życia odbiegła, i ukojenie tęsknoty, której całun wszystkie jego blaski zasłania. Może na końcu łańcucha półsennych dni i nocy bezsennych zajaśnieje nareszcie brzask wiekuistego słońca, w którego promieniach dusza znajduje nieśmiertelność, a serce zaspokojenie pragnień?...

Babunia wyjrzała oknem, i przyszło jej na myśl pytanie, dlaczego dziedziniec ten, wielki za dni dziecinnych, w młodzieńczym wieku wydawał jej się zbyt małym, a dziś znowu urósł tak, żeby go i za godzinę nie przeszła?... Ale wnet zapomniała poprzedniej myśli i poczęła się troszczyć o to, że Kazio od samego rana wyszedł z pokoju i jeszcze się zaziębi na rosie. Przez chwilę nie mogła sobie wyobrazić, że Kazia niema na dziedzińcu. Przecież dopiero co dawał cukier swej klaczce, dopiero co wszedł za lipy między krzaki bzu, które chwieją się jeszcze... Przetarła oczy, chciała zawołać: „Kaziu! Kaziu! a chodź-no do babci...” — lecz znowu zapomniała się. Widzenia znikły, nawet zmęczona myśl pierzchła, jak ten oto cień, umykający z trawnika, i tylko gdzieś na samem dnie duszy pozostał okruch smutku niejasnego, napozór bezprzytomnego, a jednak bardzo gorzkiego.

W tej chwili wbiegła do pokoju mała dziewczyna wiejska, bosy trzpiot z rozpiętą na piersiach koszulą, i krzyknęła babci nad uchem, że państwo ze śniadaniem czekają. Staruszka popatrzyła na nią gniewnie i opierając się na krawędzi fotelu i na ramieniu dziewczyny, mruknęła:

— Oh! ty... ty warjatko jakaś!... Miałam coś bardzo ważnego na myśli, a ta mi przeszkodziła. Zawsze wpada do pokoju jak sowizdrzał, jeszcze się kiedy uderzy o co i rozsypie!...

Wzięła dziewczynę pod rękę i drżąca, pochylona, szła, wciąż gderając:

— Czego ty tak wyskakujesz?

— Ja nie wyskakuję, proszę pani.

— To czego się tak trzęsiesz, pewnie za lataniem, co? — Ja się nie trzęsę...

— Słyszycie ją?... Ona mi będzie kłamstwo w żywe oczy zadawała!... Przecież ja po mojej ręce widzę, że cała dygoczesz.

— O, jak to pani od samego rana dokucza! — ofuknęła dziewczyna i ze złości odwróciła głowę od lokaja, który, stojąc w sieni, śmiał się i zęby wyszczerzał.

— Nie narzekaj, głupia! — rzekł lokaj, robiąc miny zuchwałe. — Starsza pani nabeszta, ale zato da ci kolędę taką, co ha!...

I wnet dodał półgłosem: — Na bezrok! jak psu piąta noga urośnie.

Dziewczyna parsknęła śmiechem i zatkała pięścią usta.

— Co ty katar masz, że tak kichasz? — spytała już łagodniej starowina. — Zawsze mówiłam, że na złe ci wyjdzie latanie.

Lokaj taki był kontent, że aż się położył na stole. Co to za radość dla niego, że skąpa starsza pani, od której grosza nigdy nie widział, nie umie odróżnić kichania od śmiechu!

Ciągle opierając się na rękę dziewczyny, strudzona i zadyszana babunia weszła wkońcu do jadalnego pokoju. Syn i synowa ucałowali jej ręce, lecz gdy chciała usiąść na krześle obok młodej gospodyni przy samowarze kipiącym, synowa rzekła:

— Niech mameczka usiądzie na drugim krześle, tu jest miejsce dla niańki i Władzia.

— Chciałam się trochę rozgrzać...

— Jakże się dziś miewa mameczka? — spytał syn.

— Wcale dobrze! — odparła staruszka. — Mam jakoś więcej sił, i gdyby nie te chłody na dworze...

— Co też mama mówi!... Na dworze jest gorąco jak w piecu.

Babunia, zajęta maczaniem bułki w kawie, której część już wylała się na spodek, nie słyszała ostatnich słów syna i poczęła mówić, jakby do siebie:

— Był u mnie dziś Kazio...

Syn i synowa zamienili spojrzenia.

— Był taki jakiś mizerny, że boję się, czy nie jest słaby...

— Tam, moja mameczko, nikt nie choruje! — wtrąciła synowa.

— On i tu nie chorował robaczek... Tylko w ostatnim miesiącu coś mu się takiego zrobiło, że codziennie siły tracił, w oczach nikł... Przynieś-no mi chustkę, Kachna, z mego pokoju! — mówiła staruszka, czując, że ma oczy łez pełne.

Com ja się doktorowi napłaciła — ciągnęła dalej — ażeby mu zdrowie wrócił, com ja się Boga nie naprosiła, ażeby mnie zabrał, a jego zostawił, wszystko napróżno!...

— Może mameczce śmietanki dolać? — zapytała synowa, którą opowiadanie babki, aczkolwiek codziennie powtarzające się, bardzo drażniło. Syn tymczasem zwiesił głowę, oparł lewą rękę na stole, a palcami prawej kręcił machinalnie gałki z chleba.

— Może mameczce dolać? — powtórzyła synowa.

— Śmietanki?... — spytała babunia. — Go ja miałam mówić, czy o Kaziu?... Nie, prawda!... Chciałam powiedzieć, że śmietanka z mego kamiennego garnuszka była lepsza. Ale i on się stłukł... Czy to kto jedzie?...

— Nie, to samowar syczy.

— Jakieś dziwne samowary sprzedają teraz...

Synowa spojrzała na męża i pokręciła głową, jakby chcąc powiedzieć, że babunia robi się coraz bardziej niedołączna. On tylko westchnął i zapewne na znak smutku przykrył spodkiem rój much, które do szklanki powłaziły.

Weszła do jadalni niańka z tłustym, świeżo umyтым chłopcem na ręku. Matka wybiegła naprzeciw nich, pochwyciła synka i po raz może dwudziesty, choć był dopiero ranek, uściskała go i ucałowała namiętnie. Tłusty chłopak tymczasem zwrócił szafirowe oczy na siedzącą już przy stole niańkę, potem na szklankę leciutkiej kawy, dla niego przeznaczonych, potem, nie spuszczać oka ze szklanki, poślinił rękę, którą mu ojciec dał do pocałowania, a wreszcie zaczął wydzierać się i krzyczeć. Posadzono go na kolanach piastunki, uporządkowano różowe, pofałdowane nogi w taki sposób, aby ich nie opierał na stole, i obtarto mu rączki, które przed chwilą w szklankę włożył.

Babunia, zatrzymawszy w połowie drogi łyżeczkę, którą niosła do ust, smutnie patrzyła na kręcącego się wnuka i znowu poczęła mówić głosem wątłym i jednostajnym:

— Tak właśnie Kazio siedział u mnie na kolanach. Była może trzecia po południu. Otworzyłam okno, ażeby powietrza ciepłego trochę naszło, myśląc, że go to orzeźwi. Wtedy akurat Wawrzek wypuścił klaczkę Kazia na dziedziniec. On biedak patrzył na nią, pokazywał paluszkami, a nareszcie powiedział: „Babciu!... widzisz, jak moja klaczka bryka” — i zsunął mi się na ręce martwy... O dla czegoż mi serce do reszty nie pękło!...

Skończywszy, połknęła łyżeczkę rozmoczonej bułki, a potem zaczęła jęczeć i szlochać. Po jej twarzy, brózdami okrytej, z zaczerwienionych oczu płynęły łzy; żuła bułkę i płakała, myśląc o Kaziu, który ją tak wcześniej porzucił.

— Może się teraz mama herbaty napije? — zapytała synowa.

— Dobrze, choć nic już nie mam apetytu... A połóż mi kawałek cukru na spodeczku, to dam klacze, jak ją zobaczę.

Synowa była dobrą kobietą, lecz biadania staruszki usposobiły ją tak dziwnie, że kładąc cukier na spodku, ze złośliwą intencją rzekła:

— Niech jej mama da dwa kawałki, i to zaraz, bo już po południu klaczki nie będzie.

— Klaczki?... Kaziowej? — spytała babunia.

— A tak. Mąż sprzedaje ją i siwka Wesołowskiemu, który potrzebuje białej czwórki na wesele.

Syn znowu zaczął bębnić palcami po stole, patrząc na strumień pary, który z gwizdem wydobywał się z samowara.

Babka z początku zdawała się nie rozumieć słów synowej, stopniowo jednak poczęła ożywiać się. Na wypukłym, ogołoconym a włosów czole nabrzmiały jej żyły, oczy zaiskrzyły się, usta przycięły. Spojrzała ostro w twarz synowi i zapytała głosem silnym i bardziej niż kiedy stanowczym:

— Jakto, Jasiu, więc prawda, że sprzedajesz klaczkę Kazia?

— Jeżeli dają mi trzysta rubli za parę, dla czegożbym nie miał sprzedać? — spytał pan Jan, zatrzymując wzrok na dębowym kredensie.

— Boże miłosierny, czego ja dożyłam! — zawołała staruszka, łamiąc ręce. — Ależ ta klaczka to prawie ostatnia pamiątka po Kaziu!...

— Moja mamó — przerwała synowa — przecież ja byłam matką, a Jaś ojcem nieboszczyka Kazia, kochamy go więc i pamiętamy o nim równie dobrze jak ktokolwiek bądź...

W tym jednak wypadku nie widzimy racji, dla której nie mielibyśmy sprzedać koni za. tak dobre pieniądze...

— Oj, te pieniądze! — mruknęła babka. — Ludzie dzisiejsi za pieniądze oddaliby własne dzieci.

— Afektuje mameczka! — wtrącił syn.

— Och! jakżeście wy łatwo zapomnieli o tym biedaku! — mówiła wzburzona staruszka. — Jakiem tylko miała zabawki po nim, oddaliście Władziowi, który je tego samego dnia popsuł. Jego łóżeczko darowaliście ekonomowi, a wózek gnije w szopie, choć ze łzami błagałam was, abyście go zostawili w moim pokoju. Teraz przyszła kolej na klaczkę, którą własną ręką karmił, woził się na niej, całował ją...

— Jeżeli mama rzeczywiście tak ceni pamiątki po Kaziu — rzekł już zniecierpliwiony syn — to któż mamie broni kupić ode mnie oba konie? Tym sposobem ja nie zostanę skrzywdzony, i klacz nie opuści domu. Trzysta rubli toć przecie nie tak znowu wielki kapitał, a mnie się przyda.

— Właśnie chciałam to samo powiedzieć... Z ust mi wyjąłeś! — wtrąciła bardzo ożywionym głosem synowa.

Rozdrażnienie babki było tak wielkie, że bez trudności napozór sama powstała z krzesła.

— Ja mam dać trzysta rubli? — spytała. — Ja?...

Nadbiegła dziewczyna i podała rękę staruszce, która z nieopisanym żalem spojrzawszy na syna, wyszła do siebie jakaś wyprostowana i żwawsza. Dopiero w pokoiku upadła ciężko na fotel, zapłakała i wkrótce potem zasnęła.

— Dziwna to ta starość — rzekł po chwili milczenia pan Jan do swej małżonki. — Roztkliwia się nad byle drobiazgiem, codzień roni łzy nad wspomnieniami, ale okazuje dużo hartu wówczas, gdy mowa o pieniądzach.

Milczenie.

— Mama istotnie od kilku lat bardzo się zmieniła — dorzuciła synowa. — Dawniej hojna dla służby i dla nas, dziś nikomu grosza dać nie chce...

— Jużci to jaśnie pani ma świętą racją! — wtrąciła niańka. — Jak żył Kazio nieboszczyk, nie było miesiąca, żeby człowiek czego nie oberwał, i nie tyło ja, ale lokaj, furman i dziewczuchy. A teraz to starsza pani strasznie się trzęsie za groszem, nawet i sobie nic nie kupi.

— Wada wieku! — mruknął pan Jan.

Znowu nastąpiła cisza, którą przerywał tylko brzęk much i bełkotanie małego Władzia.

— Ciekawam, jaki też matka może mieć kapitał? — spytała zamyślona synowa.

— Trudno odgadnąć — odparł mąż. — Wiem tylko, że matka od śmierci swego brata wydała na nasz dom, na rozmaite nabożeństwa i podarunki około dziesięciu lub piętnastu tysięcy rubli, ale nie wiem tego, ile jej wuj ciepłą ręką zostawił. Może już nie ma nic?...

— Daj spokój! ty wiesz, że nie jest tak źle — odparła z uśmiechem pani.

— Oj! oj! — odezwiała się niańka. — Naco tu jaśnie pana, kiej we dworze wszyscy wiedzą, że pani starsza ma kupę pieniędzy.

— Skądże wiedzą? — spytał pan, podnosząc nagle głowę.

— Albo to ja, proszę jaśnie pana, nie widziałam, jak starsza pani zamyka się w pokoju, roletę zapuści, dobywa szkatułkę ze skrzynki i liczy cosik nieraz przez całe pół dnia. Tak rychtyczek jak nieboszczyk dziekan z Pałąk, co to nie dojadł, nie dopijał, mieszkał i ubierał się jak dziad, a po nocach ruble i dukaty kwaterką mierzył. Służyłam wtedy za dziewczuchę u organisty, tośmy się bywało nieraz zakradli pod okno i przez szpary w okiennicy podpatrywali jegomości. Już ja chyba do śmierci nie ujrzę takich strasznych pieniędzy!....

Umilkła niańka, zajęta utulaniem płaczącego Władzia, który się uderzył rączką o stół. Przestraszona matka zapomniiała! o wszystkim, całując i chuchając na tłuste paluszki jedynaka, a pan Jan wciąż bębnił w ceratę i myślał o dziwactwach starości. Ktoby przypuścił kiedy, że jego matka, ta hojna, wspaniałomyślna i wesoła pani, znajdzie dziś jedyną przyjemność w chowaniu i rachowaniu

pieniędzy i w oplakiwaniu zmarłego wnuka, około którego krótkiej mogiłki już gaj drzew gęstych wyrósł!

W godzinę potem grzecznemu Władziowi wsadzono na główkę muślinowy czepeczek i słomiany kapelus, ubrano go w białą, długą sukienkę, jakiej używają panny do jazdy wierzchem, i wysłano z niańką na spacer. Piastunka obeszła z nim dziedziniec dokoła, a gdy zasnął, siadła pod cieniem lip, naprzeciw stajni. Spłoszone z drzew wróble stanęły rzędem na sąsiednim płocie i świergocząc, pilnie przypatrywały się dziecku, nad którego głową kilka pszczoł nuciło pieśń jękliwą, a ciepły wiatr południowy, to rozchylając, to zamykając szeleszczące gałązki, dmuchał mu w pyzată buzię i wywoływał zmarszczki na czole, nie zaćmionem jeszcze chmurą myśli.

W tym samym czasie stangret Wawrzyniec wiązał u płotu konie, skazane na sprzedaż. Wysoki ten, barczysty człowiek z rzadkimi włosami, którym nie obcą była woń powozowego smarowidła, przeklinał szczotkę i zgrzebło, narzekał na ciężkie obowiązki i okrutnie popychał Bogu ducha winne konie, które co chwilę odwracały łby i spoglądały na niego z podziwieniem.

— Noga! złodziejski synie — wołał stangret na siwka, wycierając mu kopyto. — Teraz będziesz pamiętał, co znaczy służba u panów... Nie pchaj się, ty wścicka sobako! — mówił do klaczki — bo jak cię huknę drągiem po krzyżu, to wyplujesz parę i pójdziesz do rymarza... Póki cię potrzebowali, to dawali ci cukierki, a teraz sprzedają cię jak wieprzka... I hi! pójdę chyba i ja za wami, psie wiary, bo jak was nie stanie, to nie będzie nawet do kogo porządnego w stajni pyska otworzyć.

— Brum! — parsknął siwek.

— Zdrowo! — odpowiedział Wawrzyniec. — Nie bój się! odejdzie ci z połowa ochoty, jak pójdziesz w cudze ręce. Nie będą dla ciebie kradli owsa fornalskim koniom, i jeszcze daj Boże, żeby cię samego nie krzywdzili! Jakie to karczysko u niego, jaki zad, jakby u jakiej hrabiny!

Niańka, którą okrutnie język świerzbiał, ile razy słyszała gadanie, zachwyciwszy rozmowę Wawrzyńca z końmi, otworzyła parasolkę i ze śpiącym dzieckiem zbliżyła się do płotu.

— To ci dopiero Wawrzyniec dostanie od Wesołowskiego uzdowe! — rzekła z uśmiechem.

Markotny Wawrzyniec spojrział z podełba na babę, plunął przez zęby i posądzając ją widocznie o chęć naigrawania się nad nim, wrzasnął:

— Myśl lepiej o tem, żebyś za rok mamką została, a do koni mi się nie wścibiaj!... Nie bój się! oddałbym ci i te uzdowe i jeszcze co batem z łaski swojej dołożył, żeby ino nie sprzedawać tych konisków, a ona mi tam iuzdowe wymawia!...

— Ola Boga, a cóżto wy myślitą, że mi tak pilno konie sprzedać?

— No, to czego trajkoczesz?

— A bo mi ich żal — odparła niańka, a czując, że się mały budzi, poczęła śpiewać:

— Aa — aa! lu! lu! lu!... Aa — aa!...

— Takie to tam babskie żale! Choćby i największy był, wycieknie z niej jak woda z dachu... Tylko tyle, że sobie oczy przepłócze, a żeby lepiej za chłopami zerkać mogła.

— Myślicie, że mi ich nie żal?... Albo to i mnie nie lepiej było jeździć z panią do kościoła we czwórkę? Bywało, jak człowiek wysiadł z dzieckiem z powozu i obejrzał się, co tyle koni przed nim wierzga, to tak jakby mu kto...

— Soli nasypał! — wtrącił stangret, szczotkując białą klaczkę.

— Gdzie zaś! — odparła niezmiészana tem niańka. — Ale teraz — zakończyła z westchnieniem — jak siądziemy w tyle osób na parę koni, to jeszcze nas kto policzy niby Żydów, kiedy z jarmarku wracają.

Wawrzyniec podrapał się zgrzebłem w kolano, potem przewiesił rękę przez łukowaty kark klaczki i z litością patrząc na niańkę, rzekł:

— Babski żal i tyle! Jej chodzi o to, żeby się czwórką do kościoła dryndała, a nie może pomiarkować sobie, że koń to nieraz lepszy od innego człowieka, i że kto konia sprzedaje, to tak jakby rodzzonego brata sprzedał.

Wiesz ty — mówił dalej — że kiedym ja zaraz po Wielkiej Nocy na krzyż chorował, to mnie ten oto hycel siwek dopóty pyskiem tarł, dopóki mnie nie odeszło?... Rodzona matkaby mi lepiej nie dogodziła, aż mi koszulę podarł!... Oj, ty! — ciągnął, klepiąc konia po szyi — żebym ja był tak jak nasz pan, tobyś ty u mnie w sali stał i z fortepianu jadał... Ale u naszego pana rubel więcej wart niż przyjaciel!

— Jeszcze on nietyle winien co stara — rzekła niańka. — Sama przecie słyszałam, jak gadał do niej, żeby mu za konie trzysta rubli dała, toby już u nas zostały.

— Może? — spytał furman.

— Sprawiedliwie, że tak!... Ale stara skąpa, choć ma grosze.

— O ma! — potwierdził Wawrzyniec. — Pamiętam, że kiedy to miał Kazio konać, to mi dała srebrnego rubla, żebym doktora prędko przywiózł. A teraz, choć i sama jeździ i choć się boi, aż z niej kości wyłażą, żeby nie wyrzucić na zły drodze, nie da ci nawet, człowieku, i grosika powąchać.

— Chytra starucha, ale też jej okrutnie żal klaczki!... Poczekaјta-no, Wawrzyńcze, tutaj, a ja pójdę do niej do okna, to może ją sumienie ruszy i nie odda konisków w cudze ręce.

To powiedziawszy, pobiegła niańka klusem do okna babuni i podtrzymując jedną ręką senne dziecko, drugą zaczęła pukać.

— Pani! — wołała — a ot klaczka Kaziowa stoi u płota i chce się z panią pożegnać.

Babcia zwolna posunęła się ku szybom i zrobiwszy z ręki daszek nad przygasłemi oczyma, spojrzała W stronę koni, które były kopytami i wyrzucały łby w górę. Chwilę zatrzymała się w tej postawie, a potem nagle spuściła zieloną roletę.

Niedługo niańka plotkarka, która przez szczelinę między oknem i roletą zaglądała do pokoju, pobiegła do pani młodszej z wielkim krzykiem.

— Proszę jaśnie pani — mówiła prędko — pewnie już konie w domu zostaną, bo pani starsza dobywa pieniądze ze szkatułki.

— Głupstwa gadasz! — zgromiła ją synowa.

— No, niechże jaśnie pani pójdzie i sama się przekona.

I poszły razem sługa i pani pode drzwi babki zaglądać przez dziurkę od klucza.

Istotnie przy stoliku w głębi pokoju siedziała tyłem do nich odwrócona staruszka, zajęta przepatrywaniem wnętrza sporej szkatułki, obitej skórą dzika i ujętej w mosiężne klamry. Z pokoju dolatywało je ciche szlochanie, oczywisty dowód tego, jak trudno było babce rozstawać się z pieniędzmi.

— Mateczko! — zawołała w tej chwili synowa — konie już wyprowadzają.

Krzesło poruszyło się, szkatułka stuknęła, lecz po chwili dopiero odpowiedziała babunia:

— A niech wyprowadzają, cóż ja na to poradzę?

— Więc mateczka nie da Jasiowi trzystu rubli?

Na to pytanie babka nie odpowiedziała nic, tylko szepnęła jakby do siebie:

— Boże mój! com ja im winna, że mnie tak dręcą?... Synowa trochę już obrażona odeszła z pode drzwi i rzekła półgłosem:

— Jakaż to straszna choroba skąpstwo i co ona z ludźmi wyrabia!...

Niańka w te pędy dała znać furmanowi, że starsza pani już liczyła pieniądze, ale zobaczywszy tyle srebra i złota, pożałowała go i koni się wyrzekła.

— Kiepski to już widać rozum u niej, u starej — rzekł furman. — Ona i tak niedługo popasie, a

zawszeby choć i jej ładniej było na cmentarz cugiem paradować aniżeli fornalką!...

Kończył się już wrzesień. Z pól znikło chwiejące się zboże, a na jego miejsce tu i ówdzie wyrosły ogromne, do chat podobne sterty, w których stada wesołych myszy zasiadły. Wszystkie psy, biegające po łąkach i trawnikach, miały nosy omotane nićmi babiego lata, ukośne promienie słońca coraz częściej barwiły purpurą ciemne obłoki, a nad bagnami wieczorem coraz głośniejsze kwakały dzikie kaczki, lub narzekały gęsi, zabierające się do odlotu.

Na krzakach róży dzikiej czerwieniały wielkie jagody głogu, na dziedzińcu miejsce kwiatów letnich zajęły georginie piękne, różnobarwne, lecz smutne, a każdy silniejszy powiew wiatru strząsał po kilka i kilkanaście żółtych, brunatnych, albo czerwonych liści. Spadały one, głucho szeleszcząc i zatrzymując się na każdym pięttrze gałęzi, jakby im żal było macierzystego drzewa, ze szczytów którego nigdy już patrzeć nie będą na falistą ziemię, ani od niebios żądać tęczy kropel rosy!

Staruszka babcia coraz rzadziej wychodziła z pokoju. Męczył ją kaszel, siły rozpraszały się, i tylko paroksyzmy gorączki od czasu do czasu podniecały energią życia. Pewnego dnia, ludzie, kopiący kartofle w polu, usłyszeli na drodze z kościoła do dworu drobny dźwięk dzwonka; zdjawszy więc słomiane kapelusze, pokłękali w brózdach i modlili się za duszę starszej pani, do której ksiądz z Panem Bogiem pojechał.

Tego dnia było z babunią bardzo źle, tak źle, że posłano nawet do miasteczka po stolarza, aby wziął miarę na trumnę. Ale akurat gdy stolarz przyjechał z długą czworograniastą linją, która mu wystawała daleko za wasązkę, babuni zrobiło się lepiej. Zjadła nawet rosołu z kury i usiadła na łóżku, otoczona poduszkami.

Odtąd czas jej włókł się bardzo smutno. Była senna, choć zasnąć nie mogła; gdy chciała skupić myśli, zapominała o wszystkim, a gdy rada była zapomnieć o świecie całym, w duszy jej snuły się mroczne marzenia, jak rój pajaków w walącym się budynku. Chwilami nie czuła rąk, ani ciepła napełnionych wrzątkiem kamionek, które ogrzewano jej sztywniejące nogi. Niekiedy, gdy ktoś drzwi otworzył, oglądała się po pokoju jak człowiek, który nagle z piwnicy wyszedł na światło. Zdawało się, że czeka ukazania się śmierci, aby przemówić do niej: „Oto jestem!” Podobna była do liścia, który, postradawszy wrażliwość na promienie słoneczne, zwija się apatycznie i usycha. Na wiecznie kwitnącem drzewie ludzkości wyrosły już nowe pączki, gwałtownie rwące się do życia, którym ona zkolei obowiązana była ustąpić, jak i jej niegdyś ustąpiono.

Śmierć, która dla jednych jest cierpieniem i niebezpieczeństwem, dla drugich bramą, wiodącą do szczęścia, dla innych ucieczką od złego, dla niej była ostatnim aktem znużenia. Dziś nawet nie pragnęła jej, ponieważ umieranie jest jeszcze objawem życia, które jej ciążyło, — raczej gasła. Tylko gdy kilka kropel starego wina podsyciło jej energią, gdy we wspomnieniach jak odległy krajobraz zarysowały się jej lata młodości i siły, gdy niewyraźne te, a tak piękne widziadła porównała z obecnym mrokiem, jaki ją nieustannie otaczał, spoglądała na obecnych i z bolesnym uśmiechem pytała: kiedyż to się nareszcie skończy?

Każde dogorywające światło miewa chwile, w których rzuca silniejsze blaski; chwila taka i dla babuni nadeszła. Jakieś niezrozumiałe dla zdrowych i młodych symptomata ostrzegły ją, że wkrótce w istnieniu jej zajdzie ważna zmiana. Chciała jeszcze zaczerpnąć świeżego powietrza, rozejrzeć się po drzewach choć zdaleka i prosiła, aby jej okno otworzono. Potem wezwała syna i synowę. Przyszła nianka z Władziem, który trzymał w rękach grzechotkę i trząsał nią co chwilę, przybiegła blada jak ściana Kachna, lokaj, który, ten raz zapomniawszy o śmiechu, nie mógł tchu złapać, i kucharz, który już za drzwiami ukląkł i tylko wystraszoną twarz w szczelinie ukazał.

W pokoju babki zrobiło się tak cicho, że było słychać szmer chwiejących się krzaków georginij, trajkotanie dalekiego młyna i gdzieś tam, pod lasem, dźwięki myśliwskiej trąbki. Nawet Władziowi

przeszkadzano grzechotać.

— Moje dzieci! — rzekła babunia — i wy wszyscy ludzie

kochani, przebaczcie mi złe, jakie wyrządziłam komu w ostatnich czasach. Starość to moja więcej winna niż ja, choć i nade mną niech Bóg ma miłosierdzie!...

Syn i synowa uklękli przy łóżku starowiny, kobiety zalały się łzami, lokaj chciałby uciec na koniec świata, gdyby go tylko puszczono, a kucharzowi niewiadomo skąd przyszło na myśl, że mu pewnie starsza pani dwieście złotych zapisała w testamencie. W tej chwili pocziwiec ślubował naprzód dać na mszę za duszę nieboszczki, a potem wziąć od pana szynk w arendę.

Babunia odpoczęła trochę i zwróciwszy się do syna, mówiła:

— Jasiu! ty wiesz, że dla ciebie dobrą matką. Wychowałam cię, jak mnie stać było, majątek po śmierci ojca z długów oczyściłam, wszystko, com miała, wam oddałam i oddaję... Zato zrób ty mi jedną łaskę... Przrzeknij, że zrobisz...

— Przysięgam! — szepnął syn.

— Oto gdy umrę, wydobądź z mego kufra szkatułkę i włóż mi ją do trumny... To ostatnia moja prośba, największa... Bo widzisz, strasznie umierającemu pomyśleć, że przyjdzie chwila, w której on sam nic już sobie nie poradzi, a najdroższe jego życzenia zależeć będą od ludzi obojętnych... Zróbże mi to!

— Zrobię! — powtórzył syn. — Niech was Bóg błogosławi!

Nagle podniosła się i spojrzała wokół niespokojnie, jak człowiek, który w gęstwinie drogę stracił. Oczy jej zatrzymały się na synu, z wyrazem najgorętszej prośby...

— Szkatułkę!... — jęknęła i potem kilka razy poruszyła ustami, ale już bez wydania dźwięku.

W myśli jej obudziły się wszystkie wspomnienia dzieciństwa, wieku młodego i starości, widziała jakąś małą dziewczynkę, zrywającą kwiaty w ogrodzie... jakiś ślub... jasnowłosego Kazia... jego klaczkę... Ogarnęło ją zdumienie, chciała zapytać, czy wszystko to było snem i kto marzył o tych rzeczach?... Oczy jej zamykały się gwałtem, a gdy je otworzyła, ujrzała gromnicę, owiniętą w kądziel, i czerwony, drgający płomień, który coraz to większe koła otaczały. Ale to już widzenie było czystym snem...

Za oknem trzepotało się kilka wesołych wróbli, szeleściły żółte, Kijowe i ponsowe georginje, zdaleka trajkotał młynek, przygotowujący mąkę dla ludzi, ale odgłosów tych już nie chwyciło ucho babuni.

Tym razem stolarz nie napróżno przybył do dworu ze swą linją, a na drugi dzień przywiózł czarną lakierowaną trumnę ze srebrnym krzyżem na wieku.

W kilka godzin po śmierci staruszki przyjechało paru najbliższych sąsiadów. Jeden chciał zająć się pogrzebem i na jaki tydzień zastąpić w gospodarstwie pana Jana, drugi ofiarował pani Janowej swój dom na czas najprzykrzejszy. Oboje państwo podziękowali za dobre chęci, lecz korzystać z nich nie chcieli.

— Zawsze to jednak smutno wam będzie nocować w jednym domu z nieboszczką — zauważył sąsiad.

— Smutno... a to dlaczego? — spytała pani. — Przecież nie będę się obawiała pocziwej matki mego męża!

Nad wieczorem zwłoki przeniesiono do salonu, a pan Jan w części dla rozerwania znękaney myśli, w części dla porządku, w towarzystwie żony, przejrzał szuflady nieboszczki. W stoliku znalazło się parę sznurków pereł, kolczyki, broszka i pierścionki z drogiemi kamieniami. W toalecie było kilka starych holenderskich dukatów razem z poświęcanem kadzidłem i kredą. Ale większych sum nie znaleziono nigdzie.

— Zapewne matka wszystko wydała, co jej brat zostawił — rzekł pan Jan.

Pani spuściła oczy i milczała.

— Trzebaby jednak — rzekła po chwili stłumionym nieco głosem — przenieść tę szkatułkę do salonu. Nieboszczka chciała ją mieć przy sobie.

— Zrobimy to, jak trumna będzie — odparł sucho mąż.

— Ciekawam jednak, ile tam może być?

— Wszystko jedno; przecież nic nie weźmiemy.

— Tak... ale zawsze wartoby zobaczyć. Dla mnie ostatnia wola matki jest tak świętą, że choćby nawet było jakieś kilka tysięcy, nie pozwoliłabym ich dotknąć. Był to kaprys, dziwactwo ze strony nieboszczki, ale szanować je wypada...

— Nie mówmy już o tem! — przerwał pan Jan. — Oto masz, oddaję ci te klejnoty...

— Wolałabym je do kościoła oddać na intencją zmarłej; chociaż ona była tak świętą kobietą, pomimo niektórych dziwactw, że niezawodnie jest już w niebie — rzekła pani.

— Jaki ten pokój smutny! — mówił mąż. — W nim straciliśmy Kazia, teraz matkę...

— Co się zaś tyczy szkatułki — wtrąciła żona — to najlepiej jej nie otwierać. Człowiek jest słaby, a rozumiem, jakby mi było przykro, gdyby nasz Władzio nie spełnił mojej ostatniej prośby. Chociaż... łatwobym mu przebaczyła, gdyby mu to było do szczęścia potrzebne.

— Zmów pacierz, i idźmy spać.

— Trzeba dobrze okno zamknąć. Czy masz klucz od tego kufra, w którym leży szkatułka? — zapytała pani.

— Nacóż te ostrożności?

— Są konieczne, gdyż, jeżeli pamiętasz, mama przy całej służbie o szkatułce mówiła. Ludzie ci wiedzieli o tem, że nieboszczka miała pieniądze, trafić się więc może, że ktoś łakomy...

— Nie lękaj się! Jeszcze dla ludu naszego świętą jest własność zmarłych. No, idźmy!...

I wyszedł pan Jan, a za nim żona, która, obejrzawszy troskliwie okno, zapuściła roletę i drzwi zamknęła na klucz. Już kładąc się spać, pani zapytała męża: — Czy to prawda, że twego wujka liczono na pół miliona?

— Coś około tego.

— Wiesz sama była warta trzykroć, a gdzież reszta?...

— Osiemdziesiąt tysięcy gotówki poszło do podziału.

— Gdzież więc sto dwadzieścia?...

— Śpij spokojnie! — rzekł pan Jan.

— Dobranoc ci! — odparła żona. Bo chwili odezwała się znowu:

— Wszakże matka u nas wydała najwyżej dwadzieścia tysięcy?

— Daj spokój!... co nas to już dziś obchodzi?...

Umilkli oboje, ale żadne z nich do rana zasnąć nie mogło. Wstali wczesnie, strudzeni, zamyśleni i wzajemnie unikający swoich spojrzeń, choć każde było pewne, że zna myśli, jakie trapiły drugie z nich.

Po południu, na środku sali ustawiono katafalk. Przyjechał proboszcz, kilku sąsiadów, zebrali się domownicy. W chwili, gdy ciało nieboszczki, w czarne szaty przybrane, miano złożyć do ostatniego schronienia, ukazał się pan Jan z małą szkatułką w rękach.

— Matka moja — rzekł do obecnych — nie chciała się rozłączać z tą pamiątką, którą tu składam, czyniąc zadość jej woli.

Powiedziawszy to, umieścił szkatułkę na dnie trumny i przykrył ją poduszką, wiórami wypchaną, na której niebawem spoczęła martwa głowa babuni.

Panią Janowe tak wzruszył prosty ten obrzęd, że dostała spazmów i przez pół godziny leżała jak drzewo sztywne.

Tymczasem dwaj silni fornale ustawili trumnę na katafalku, kobiety otoczyły ją wazonami kwiatów, a organista zapalił sześć białych świec woskowych. Otworzono drzwi, i odtąd dobrzy ludzie bez przeszkody wchodzić tu mogli, w celu odmówienia pacierza za duszę zmarłej i przypatrzenia się najparadniejszej pańskiej komnacie.

Po modlitwie obdarty pastuszek od świń powiedział do żony parobka:

— To ci dopiero izba: rychtyczek jak kościół. Ino że kropielnicy przy drzwiach zdybać nie mogłem.

I podrapał się rzęsiście, może z podziwu, a może z innych powodów.

— Jaki to tam kościół zaś! — odparła parobczycha — kiej w nim świętych niema.

— Niema teraz, bo ich wynieśli, ale zato w sieni widziałem takiego ci świętego, że i w kościele nie zdybie. Mówię wam... ruchał się, klękał, żegnał się, wstawał, aż mnie ciarki przechodziły.

Parobczycha w ręce klasnęła:

— Co ty gadasz, chłopak?... toś ty cud widział!...

— Oj! nie mówcie tak, bo mi strach!... — prosił pastuch, okrutnie zmieszany.

— Ma się wiedzieć, że cud, oj la Boga!... Niańko! — zwróciła się parobczycha do piastunki — wiecie wy, że przy Walku święty ruchał się na hańtym obrazie, co w sieniach stoi...

— Na jakim obrazie?... W sieniach żaden obraz nie stoi — odparła wystraszona niańka. — Chyba, że go teraz wynieśli... Gadaj, chłopak, jak obraz wyglądał, może to nieboszczyk ojciec pana, a mąż nieboszczki, po jej duszę zstępował z portretu?...

— Powiedźże, Walku, jak wyglądał święty! — nacierała parobczycha chłopca, któremu zimny pot ciała oblał.

— No, jak!... czy ja ta wiem jak?...

— Jakże był ubrany? — spytała niańka.

— A tak... był w parciance...

— Głupi! to nie parcianka... A buty miał czerwone?... — indagowała niańka.

— Nie!... boso był...

— A na głowie miał aksamitną czapkę z barankiem?

— Nie!... ino trzymał w garści kapelusz... — odpowiadał chłopak, któremu się już na płacz zbierało.

Niańka odstąpiła parę kroków i z pogardą zmierzyła go od stóp do głów.

— Oj, ty ryfo — rzekła. — Tożes ty samego siebie w lustrze widział, a gadasz o świętym!... Żeby wszyscy tacy święci byli, toby człowiek pacierza zapomniał!

— Może to i lustro!... Pewniakiem, że lustro! bo przecie żeby cud miał być, toby się prędzej jegomości i panom pokazał, a nie pastuchowi od świń — zakonkludowała parobczycha.

I poszli oboje z chłopakiem, który był jakiś nieswój. Jeżeli nie widział cudu, to go ludzie wyśmieją, a jeżeli widział, to jeszcze gorzej — bo strach! Słowem, przytrafił się pastuchowi wypadek na oba końce zły!

Z tem wszystkim, ku wieczorowi, między dworskimi ludźmi poczęła krążyć pogłoska, jako po ustawieniu zmarłej w trumnie, nieboszczyk mąż jej, co wisiał na portrecie, wyniesionym do drugiego pokoju, zdjął czapkę, ukląkł i mówił pacierz za duszę. Wieść ta wyszła od niańki, obiegła kredens i dostała się na folwark. W kuchni o niej tylko mówiono a żadna dziewucha za skarby świata po zachodzie słońca nie wytknęłaby nosa na dwór.

Gdy zapadł zmrok, przy trumnie nieboszczki została tylko babina z pod kościoła. Słyszała już i

ona o cudownym portrecie, i było jej markotno. Dostrzegła to widać synowa zmarłej (niech jej Bóg da wszystko dobre na świecie!), i nie chcąc dręczyć babiny, poczęstowała ją wódką i pozwoliła iść spać do kuchni.

Starucha przez ceremonią wzdragała się, mówiła, że się zmarłych nie boi, lecz pani Janowa dla zwalczenia jej skrupułów wydała rozkaz stanowczy, którego trzeba było usłuchać. Poszła tedy baba, błogosławiąc dziedziczkę i myśląc o wygodnym spoczynku między żywymi na świeżej słomie.

Dziewuchy ucieszyły się bardzo z jej przybycia. Dzień jutrzejszy, w którym miano pochować nieboszczkę, był jak święto, wolały zatem nie kłaść się spać wcześniej, ale zato dłużej gadać o strachach. Ponieważ spodziewano się gości, więc lokaj z pokojówką ładowali talerze i nakrycia, a kucharz przygotowywał statki. Z tych powodów ludzi w kuchni było dużo, a gadania jeszcze więcej.

Kiedy babka weszła, dziewczuchy posadziły ją jako szanownego gościa przy piecu na ławie, i przysunęły do niej śliczny wytarty pieńek, na którym gospodyni wnet postawiła misę zacierek, mlekiem zabielenych, i drugą kartofli ze skwarkami, molestując, aby wszystko to zjadła za dusze zmarłych. Pobożność staruszki nie zwykła była cofać się przed podobnymi intencjami, lecz siły już nie dopisywały. Po zacierkach zaczęła dyszeć, a pod koniec kartofli tak ją sparło, że z wielkim utrapieniem ducha musiała łyżkę odłożyć.

— Oj, chyba nie wydażę już, moiście wy! — jęknęła do gospodyni.

Gospodyni, pomiarkowawszy widać, że objętość misek nie pasuje do wzrostu babiny, odparła:

— Iii! nie frasujta się!... Bóg miłosierny i to przyjmie na chwałę swoją, byle ofiarować sercem szczerem.

— Oj! szczerem... oj! szczerem... aż mnie zatchnęło!... Sprzątnięto miski i odsunięto pieńek, aby staruszka mogła lepiej tchu złapać. Jakoż we dwa pacierze przyszła do siebie, a nawet zrobiło się jej rażno.

Na kominie dogorywał już ogień, oblewając część sufitu, ścianę i półki z garnkami żółto-czerwonem światłem. W przeciwnym rogu wielkiej kuchni, obok tapczana i wiszącej nad nim galeryjki do spania, tlił się naftowy kaganek, przy którym lokaj przecierał talerze i ustawiał je w kolumny. Dziewuchy, ukończywszy robotę i gadanie, ziewały po kątach, w sieni stękał chory parobek, a w grabie świerszcz świergotał.

Wówczas Magda odezwała się do Franki:

— Widziałaś tę skrzynkę, co ją dziedzic nieboszczce pani włożył do trumny?

— Com nie miała widzieć? — odparła ponura Franka, opierając brodę na rękach.

— Tam ponoć jest kupa pieniędzy?

— Oho! i jeszcze jaka!... Lokaj położył ścierkę i słuchał.

— A wyjęłabyś teraz pieniądze z pod głowy nieboszczce?... Lokaj zatrzęsł się.

— Tfy! pokusa!... — mruknęła Franka. — Ażeby tam były wszystkie skarby, jakie ino są na świecie, tobym nawet na progu nie stanęła w tej izbie...

— Cha! cha! cha! — roześmiał się lokaj i przybiegł do dziewczuch z zaiskrzonymi oczyma. — Głupie wy!... ot, chamska krew... umarłego się boi!... A wiesz ty, że taki, co w trumnie leży, znaczy tyle, co zdechły pies, albo koń?... Wrony, robaki go jedzą, szczury na nim odzienie szarpią, a jabym miał go się bać?... Starą, jeszcze kiedy żyła, zmógłbym jednym palcem, a dziś cóż ona mi robi?... Z trumnybym ją wyrzucił, nietylko skrzynkę wydobył!...

Przestraszone dzikim wyrazem jego twarzy dziewczuchy poczęły się tulić do siebie. Lokaj zmiarkował się widać i nagle dodał:

— Ale gdzie tam są jakie pieniądze w tej skrzynce!... Wszystko to głupie gadanie ludzkie!...

Odwrócił się i szybko poszedł do stołu, ale robota już mu się nie wiodła.

Baba, słuchając tej rozmowy, kiwała głową.

— Prawda temu — zapytała jej ciekawa Magda — że umarłych niema się co bać?... W imię Ojca i Syna... żeby nie wymówić w złą godzinę...

— Bać się niema czego, ale i wojować z nimi niedobrze! — odparła starucha.

— Słuchajta, dziewczki!... słuchajta! — rzekła gospodyni, siadając.

Lokaj z gorączkową energią już po raz drugi z kolei zaczął wycierać i rachować talerze.

— Był sobie jednego razu szynkarz — mówiła babka — co założył się z kumem swoim o kwartę wódki, że pójdzie do trupiarni, gdzie stał chłop, na cholere zmarły, i onemu trumnę otworzy...

— Nie szczypajże mnie, ty paro, Magda! — ofuknęła Franka.

— Kiej się strasznie boję!...

— Cichojsza, dziewczuchy! — odezwała się gospodyni.

— Jak rzekł, mówię woma — ciągnęła babka — tak zrobił...

— Oj! nie gadajta już, moja serdeczna babulu!... — prosiła Magda, dygocząc.

— No, to nie będę...

— Eh!... to już chyba gadajta...

— I szedł se zatem on szynkarz, co się założył z kumem, do trupiarni, do chłopca na cholere zmarłego, ale że drzwi były zamknięte, więc, patrzajta się, wlaźł oknem, wlaźł wybitem...

— Boga w sercu nie miał, czy co, żeby aż wybitem oknem łązić?... — szepnęła gospodyni.

— Jak, mówię wam, wlaźł pociemku, tak se ognia skrzesał, żeby chłopca ujrzeć. Ale zobaczył tylo trumnę jego, w kącie na marach stojącą...

— O, Jezuniu!... Jezuniu! — wrzasnęła nagle Magda, zrywając się. — A dyć tu cosik siedzi pod ławą i łapie mnie za nogi!...

— Cicho bądź, głupia! — zgromiła ją Franka. — To ja chciałam się podrapać, a ona już krzyczy, jakby w nią złe wlaźło.

— Dmuchaający sobie zatem on szynkarz na hubkę, podeszedł do trumny i zdjął wieko. Aż ci tu raptem podnosi się nieboszczyk, ten chłop, co niby na cholere zmarł, i pyta się: „Gdzie ja jestem?... wszelki duch Pana Boga chwali!” — „A gdzie masz być? — mówi szynkarz — jużci że w trupiarni, boś umarł.” — „Co miałem umrzeć?” — mówi chłop, ale jak się pomiarkował, że siedzi w trumnie, tak dalejze molestować szynkarza: „Bracie kochany! wyprowadźże mnie z tego nieszczęścia, widzisz przecie, jako nie jestem nieboszczyk.” A szynkarz mu na to (bo miał już dobrze we łbie): „Żebyś ty nie był nieboszczyk, umarły jak się należy, toby cię nie opisali i tu nie postawili.” I zamknął wieko, aż z chłopca naprawdę duszę wycisnął.

— Oj! dla Boga, już chyba nie wytrzymam! — jęczała Magda.

— Ej, cicho... bo jak złapę na cię drewna! — upomniała ją Franka.

— Takim sposobem, mówię wam — ciągnęła starucha — szynkarz zrobił swoje jak prawdziwy chwatał, ale wkońcu i jemu śmiałości zabrakło. Bo kiedy przez okno, moiście wy, wracał napowrót do kuma, zaczepił się kapotą o gwóźdź... Jedną razą, zmiarkujta sobie, jak nie krzyknie: „Kumie, ratuj! bo mnie nieboszczyk złapał!...” — i bęc przez futrynę.

Kum-ci, jeszcze z jednym chłopem, jak nie pójdą w nogi, nie oglądający się!... Wrócili dopiero o świtanu, ale już ze szynkarza był ino trupeczek, zawieszony kapotą o gwóźdź...

Lokaj w tej chwili upuścił na ziemię talerz, który się w drobne kawałki rozbił.

— Babskie plotki! — krzyknął zmienionym głosem. — Taki szynkarz, co już z umarłym gadał, gwoździaby się nie zląkł!... Zwłóczą się tu tylko z pod kościoła i rozpowiadają bajki, żeby ludzie po nich zasnąć nie mogli.

W tej chwili skrzypnęły drzwi od sieni, dziewczuchy krzyknęły strwożone, a w progu ukazała się

dziedziczka.

— Nie bójta się, to przecież jaśnie pani! — uspakajała je gospodyni.

Gdy na panią Janowe upadł blask ognia, zdawało się obecnym, że twarz jej jest żółta jak wosk, a usta sine.

— Czy jest tu babka? — zapytała dziedziczka.

— Jestem, jaśnie pani!

— Czy dali wam jeść, wygodną pościel? — mówiła prędko i głosem urywanym.

— I jeść dalim, i posłanie będzie — odparła gospodyni.

— No, to dobrze, zostańcie tu z Bogiem. Dlaczego Józef jeszcze nie śpi?...

Lokaj drgnął i ledwie zdążył wymówić:

— Ja?...

— Kładź się i ty, kładź, bo jutro rano musisz wstać. Dobranoc wam!...

Powiedziawszy to, dziedziczka wyszła. W kilka minut później zdawało się obecnym, że jeszcze zagląda przez okno. Ale to pewnie zdawało im się tylko.

W pół godziny lokaj wrócił do kredensu, dziewuchy i babka układały się pokotem na tapczanie i ławach. Ogień na kominie ledwie tlił się, ale zato coraz głośniejsz świerkały świerszcze i bzykały muchy po kątach, borykające się z pajakami. Zaległa cisza, którą mąciły tylko oddechy śpiących i urywane wykrzykniki bojaźliwej Magdy, trapionej widać przez jakieś przykre marzenia.

Dobrze już po północy w pokoju państwa Janów rozległ się szmer, jakby kto ostrożnie bosą nogą po skrzypiącej trochę podłodze stąpał; stuknęło krzesło, zgrzytnęła klamka, i w sieni, która do sali wiodła, słabe promienie gwiazd przez szklane drzwi oświetliły postać pani Janowej, ubranej w bieliznę.

Kobieta szła tak powoli i cicho, że zdawało się, iż stoi w miejscu jak posąg. Kosmyk ciemnych włosów wysunął się jej z pod czepka na szyję. Jedną rękę wyciągnęła drżąca naprzód, jakby lękając się potknąć o niewidzialną przeszkodę, drugą przyciskała serce, które biło rzadko i nieregularnie, z jakimś wewnętrznym odgłosem, przypominającym dźwięk dzwonu. Sekundy wydłużały się w jej wyobraźni, najmniejsze skrzypnięcie w podrażnionym słuchu robiło się łoskotem. Myślała, że w tej chwili dotknie ręką drzwi salonu, a gdy przez jedno mgnienie nie uczuła ich pod palcami, ogarnął ją niezmierny przestach.

Jeszcze krok i stanęła na progu.

W salonie panował zmrok, wśród którego rozpływało się jakieś mdłe, drgające światło. Sufit był szary, podłoga tak ciemna, że wydawała się być głębią przepaści. Na ścianach bladej, nieokreślonej barwy rysowały się wielkie, czarne cienie. Ten jeden — to cień krzyża, który stał w głowach zmarłej, ten drugi...

Pani Janowa zdrewniała: zdało jej się bowiem, że drugi cień zmienił miejsce i odsłonił lampkę... Przetarła oczy — lampka znowu zasłonięta i — znowu ją widać!...

Nagle przy trumnie gwałtownie zaszeleściły kwiaty, z głuchym łoskotem posunął się ciężki cynowy świecznik, lampka zgasła, i w sali rozległy się dwa okrzyki. Na podłogę upadł jakiś przedmiot, i ktoś, stojący przy katafalku, uciekł w stronę kredensu.

— Ratunku! — jęknęła pani Janowa.

Porwał się ze snu pan Jan i zapaliwszy świecę, wybiegł do sieni. Tam spotkał żonę, prawie obłąkaną ze strachu.

Dużo czasu upłynęło, nim ją zdołał otrzeźwić, bo we dworze nie było nikogo ze służby. Wreszcie przemówiła:

— Ktoś chciał ukraść szkatułkę, ale ją rzucił na ziemię... — Więc byłaś tam?...

— Byłam!... Przynies ją, leży niedaleko kredensu...

— Więc byłaś?... I jeszcze o niej myślisz?...

— Myślę o niej — mówiła gwałtownie — bo to majątek naszych dzieci: Władzia i tego, które przyjdzie na świat...

— Więc ty nie lękasz się swego czynu strasznego, tylko tego, że ktoś mógł ukraść szkatułkę?... W takiej chwili, kiedy mogłaś życie utracić? — pytał przerażony mąż.

— Twoje to niedołęstwo doprowadziło mnie do tego! — mówiła, dygocząc ze wzburzenia. — Uległeś kaprysowi starości, skąpstwu...

— Milczże przynajmniej wobec śmierci!

— Nie będę milczeć!... Całemu światu powiem, jaki jesteś ojciec i mąż!... Uległość dla zmarłych, którzy już niczego nie potrzebują, zrobiła cię głazem dla żyjących... Doprowadziłeś mnie do tego, że musiałam postawić na kartę życie, aby uratować majątek, który skąpstwo oddało na pastwę złodziejom!... Przynies szkatułkę, albo sama drugi raz pójdę po nią i będziesz miał od razu dwa... trzy pogrzeby... Słyszysz?... Trzy!...

Zaciekłość kobiety miała taką siłę, że pan Jan nie mógł już się jej oprzeć. Zgnębiony wyszedł i po chwili powrócił ze szkatułką.

— Masz! — rzekł, kładąc ją na łóżku. — Sama otwórz i zabierz wszystko, co tam jest, dla siebie. Ani ja, ani dzieci korzystać...

— Podaj mi klucz! — przerwała rozgorączkowana. — Gdy zobaczysz sto tysięcy, przemówisz inaczej...

Pan Jan wyszukał klucz w biurku, oddał go żonie i usiadł na krześle, ukrywając twarz w dłoniach. Flegmatyczny z natury pocziwiec ten upadał pod nawałem wzruszeń, jakich nie przeczuwał nigdy.

Szczękniętą zamek, odskoczyło wieko szkatułki... Pan Jan machinalnie podniósł głowę i zobaczył w rękach żony niebieską wypłowiałą sukienkę dziecienną, tudzież pukiel jasnych włosów...

— To pamiątki po Kaziu! — szepnęła pani Janowa i zemdlona pochyliła się na otwartą szkatułkę.

Sukienka, w której umarł wnuk ukochany, i promień jego włosów były to jedyne skarby, jakie babka chciała zabrać ze sobą do grobu!

Tej samej nocy znikł ze dworu lokaj Józef. Tułał się on jakiś czas po okolicy, a wkońcu dostał się do więzienia za kradzież.

Z panią Janową było jeszcze gorzej. Po owej nieszczęsnej nocy musiała położyć się do łóżka, a rozdrażnienie nerwowe nie opuściło jej już nigdy.

— Tyś winien wszystkiemu! — mówiła nieraz do męża. — Tyś znał swoją matkę i nie powinieneś być dopuścić, ażebym ją, tę świętą kobietę, posadzała o skąpstwo, o chęć ukrycia pieniędzy z krzywdą wnuków!...

A kiedy indziej znowu lamentowała w inny sposób:

— Zresztą, czy były, czy nie były pieniądze w tej szkatułce, co mnie do nich? Skoro nieboszczka nie darowała nam ich, więc tem samem nie były naszą własnością. Pocom ja chodziła, nieszczęśliwa, do jej trumny jak złodziej?... Oj, gdybym miała innego męża, nie pozwoliłby na to!...

I odtąd nie było już szczęścia we dworze.

Do pewnych występków zaszczepiono w naturze ludzkiej tak głęboki i ogólny wstręt, że nie można popełniać ich choćby najtajemniej bez ściągnięcia na siebie natychmiastowej kary. Należy pragnąć, aby, podobnie jak dziś świętokradztwo, tak kiedyś wszelka niesprawiedliwość, nie wyłączając samowoli i ucisków, wszelkie złe, nie wyłączając utracjuszostwa i próżniactwa, w opinii powszechnej i sumieniu jednostki znajdowały potężne hamulce.

Stróża we wrześniu 1878 r.

STRASZNA NOC.

I

LIST DO PRZYJACIELA.

Pan Euzebjusz, młodzian szczupły, cichy i dziwnie rozważny, był rachmistrzem w jednym z biur prywatnych. Pracował w pokoiku niebieskim, przy jesionowem biurku, co stało pod oknem; przy innem zaś jesionowem biurku, co stało obok ściany, męczył się inny młody człowiek, usposobień bardzo zmiennych, niejaki pan January.

Panowie ci żyli ze sobą w przyjaźni. Schodzili się w niebieskim pokoju codziennie o jedynastej, podawali sobie ręce i wieszali paletoty na dwu sąsiednich hakach. Potem Euzebjusz kładł kapelusz na swoim biurku, a January — gdzie się zdarzyło. Euzebjusz stawiał laskę w kącie pod oknem, a January w miejscu, którego nikt zgóry nie był w stanie oznaczyć. Euzebjusz wciągał na prawą rękę czarny kamlotowy rękawek i siadał do roboty, January zaś zapalał papierosa, wymyślał woźnemu, że podłoga nie zamieciona, ziewał, albo opowiadał historję swoich konkurów.

— Wiesz pan, żenię się!

— Wiem! — odparł Euzebjusz, pisząc.

— Ma pięćdziesiąt tysięcy rubli posagu.

— Skąd zaś?... Przecież miesiąc temu miała czterdzieści tysięcy rubli...

— Bo to już nie ta, tylko inna — kończył January.

— Aha!...

Stosunki obu przyjaciół były ściśle i odznaczały się wielką prawidłowością. Pierwszego — January płacił Euzebjuszowi długi, a przy obiedzie stawiał pół butelki białego wina. Lecz od połowy miesiąca, codziennie, stale pożyczzał od Euzebjusza kwoty, wahające się między piętnastu kopiejkami i trzema rublami. Prócz tego, bez względu na datę, panowie schodzili się każdego wieczora w jednej cukierni przy bilardzie, dla użycia ruchu. Ruch ten wywoływał pewne finansowe następstwa, przyczem, jeżeli wygrywał January, brał gotówkę natychmiast, jeżeli zaś Euzebjusz, to musiał poprzestawać na rewersie tej formy: „Masz u mnie.”

Rzecz, którą opowiemy, działa się w zimie.

Od niejakiego czasu Euzebjusz w przyjacielu swoim dostrzegł wielkie zmiany. January robił mniej niż zwykle, to jest tak mało, że rezultatów jego pracy śmiertelne oko bez trudu dopatrzeć nie mogło. Na obiady spóźniał się, bilard zaniedbywał, konkurami nie chwalił się, a o kobietach mówił z wielką goryczą, on, w którym, życzliwość dla tej płci górowała nad pozostałymi fizycznymi i duchowymi przymiotami, a nawet niekiedy (ku niepokojowi oględnego Euzebjusza) przybierała formy bardzo ostre, że nie powiemy gwałtowne.

Pewnego dnia January nie przyszedł do biura, nie przyszedł na obiad, nie przyszedł na bilard. Trzy tak wyraźne dowody jego nieobecności sprawiły na Euzebjuszu wrażenie, jak gdyby on sam, najpункtualniejszy urzędnik w biurze, nie włożył swego kamlotowego zarękawka, albo nie przytłoczył bibułą zapisanej stronicy referatu. Bez przyjaciela, a co gorsze, bez wiadomości o przyjacielu, Euzebjuszowi działo się tak jakoś dziwnie, jakby ktoś zamienił mu futro na letni paletot i w tym ubiorze na wpływ mrozu wystawił. Nadomiar niepokoju, Euzebjusz przypomniał sobie, że jest

już prawie koniec miesiąca, a więc termin, do którego January powinien był pożyczyć przynajmniej ze dwadzieścia rubli... Co to znaczy?...

Rozważny młodzieniec sposepniał i pierwszy raz w życiu grał w bilard z osobą, której mu nikt nie zarekomendował. Przegrał w preferansa dwa ruble kopiejek sześćdziesiąt i o jedynastej w nocy wrócił do domu.

Wchodząc na schody, zapalił kieszonkową latarkę, przydeptał zapałkę jak człowiek, dbający o bezpieczeństwo publiczne, i — sięgnąwszy, jak zwykle, pod słomiankę — znalazł „Kurjer” i — list...

List od Januarego!...

Ognie uderzyły na twarz Euzebjustowi. Tysiące myśli zakołatało mu w głowie. Czy się wypadkiem ekscentryczny January nie obraził i nie zechce wyzwać go na pojedynek listownie?...

Euzebjust, jak wszyscy flegmatycy, był mężnym i sądził nawet, nie reklamując się zresztą przed światem, że niewielu posiada cenny ów przymiot w tym, co on stopniu. A jednak, gdyby w tej chwili łóżko, biurko i inne sprzęty stały na jego nogach, niewątpliwie musiałyby przysiąść na ziemi. Istotnie, Euzebjustowi, gdy pomyślał o pojedynku, nogi dziwnie zwałtały. Szczęściem, nie zważał na to, skoncentrował wszystkie siły duszy w rękach, pomimo niejakiego skostnienia palców dość szybko rozerwał list i — odczytawszy parę wierszy od góry, szepnął, głęboko oddychając: — „Chwała Bogu!...”

Pomimo to nie opuściły go myśli ponure, lecz tylko zmieniły kierunek;

Bo oto co znalazł:

Przyjacielu!

Gdy list niniejszy odbierzesz, mnie już nie będzie na świecie. Czuję, że w życiu zasługiwałem na coś lepszego, niż zawody i udręczenia. Długi moje, wzrastając z każdym rokiem, przekonały mnie, że już nigdy nie odzyskam niezależności, która jest warunkiem mego bytu. Panna Melanja, której pięćdziesiąt tysięcy rubli mogło mnie postawić na nogi, w haniebny sposób zawiodła moje zaufanie. Zofja, którą nawet z czterdziestoma tysiącami rubli decydowałem się pojąć za żonę, już ma innego konkurenta, a Amelja nie ma owych sześciu tysięcy rubli, o których ciotka jej opowiada, i wogóle nie zasługuje na to, abym mógł na niej nadzieje oprzeć.

Stało się!... Mając do wyboru nędzę i niewolę u lichwiarzy; pracę bez jutra i czarne myśli lub — śmierć, łatwo odgadniesz, com wybrał. Sen bez marzeń... o! jakże on uśmiecha się do mojej niegdyś wulkanicznej, a dziś — zlodowaciałej wyobraźni. Gdy maj zajaśnieje, przyjdź do mej samotnej, kłątwą obciążonej mogiły, i zazdrość mi!... Jakże słodko pomyśleć, że w chwili, kiedy ta czytać będziesz, dla mnie już skończą się nadzieje, cierpienia i... wspomnienia!... Na wieki!...

Gdy odczytasz, spojrzysz w lustro, te same, w którym nieraz przeglądałem się, myśląc o niej. (Euzebjust nie wiedział o której.) Może wedle słów legendy ukaże ci się tam duch twego

Januarego.

— A niechże cię sto tysięcy! — mruknął, zimnym potem oblany Euzebjust, myśląc, że nigdy podobno mniej niż dziś nie miał chęci do przeglądania się w lustrze. Gdyby opinie stanowcze o usposobieniu ludzkim były na miejscu, to powiedzielibyśmy, że jak w obecnej chwili, Euzebjust czuł nawet pewną odrazę do lustra i odwrócił się do niego tyłem.

— Go tu robić?!... — myślał. — Bo ja wiem, może jeszcze ten warjat żyje?... Gdybym pobiegł i wyperswadował mu?... Tak, ale jeżeli już zastanę trupa?...

Uwaga ta o tyle mocny wpływ wywarła na niezachwianie logiczny umysł Euzebjusta, że gdyby od decyzji jego zależało nie tylko życie, ale nawet nieśmiertelność przyjaciela, jeszczeby nie poszedł

sam, w nocy, do mieszkania samobójcy.

January był miłym w biurze, przy obiedzie, przy bilardzie wkońcu, ale jako trup, zalany krwią, ciepły jeszcze — musiał być straszny, wstrętny!...

W tej chwili zdało się Euzebjuszowi, że w kierunku lustra słyszy jakiś lekki szmer. Nie było to podobne nawet do szelestu myszy, było to raczej — powiewne stąpanie. Gdyby firanki mogły chodzić, nie wydawałyby innego szmeru.

— Złudzenie! — szepnął Euzebjusz, lecz w tej chwili uczuł, że jakaś siła niepojęta, nieziemska, chce zmusić go do obejrzenia się wtył. Euzebjusz miał tyle odwagi, że gdyby chciał, sto razy obejrzałby się za siebie. Ale robić to pod przymusem, pod naciskiem, wywieranym niewiadomo przez kogo, ulegać kaprysowi byle jakiejś istoty nieujętej — na to nie pozwalała mu godność.

Z drugiej strony jednak, jeżeli się nie odwróci, nie będzie mógł rozebrać się, pójść spać...

Spać?...

W pokoju było jakieś surowe powietrze, chłodne nawet, tak dalece że Euzebjusz szczęknął parę razy zębami. Co u licha!... (właściwie młody człowiek nie miał zamiaru wymówić tego wyrazu: licha) co u... u... stu bizunów!... (jaki to komiczny wyraz: bizun!) pewnie służący dziś w piecu nie napalił?... A gdyby też tak zawołać chłopaka od stróża i kazać mu, ażeby narobił ciepła, ale doskonale! i czuwał — dopóki ogień nie zgaśnie?...

Towarzystwo chłopca, niepospolitego brudasa, wydawało się Euzebjuszowi w tych wstrząsających okolicznościach bardzo pojętne. Domyślać się należy, że w chłopcu tym pod powłoką, tak niezgodną z zasadniczymi własnościami mydła, tkwi dużo przymiotów cennych. Gdyby tak Euzebjusz przyjął malca do siebie, otoczył go pieczołowitością, rozwinął jego drzemiący umysł i serce? Dokonałby czynu dobrego, i sam nie czułby się tak strasznie, tak nieznośnie osamotnionym jak w tej chwili.

Świeczka w latarce dopalała się, i przy jej migotaniu pan Euzebjusz spostrzegł, obok pieca, jakiś tuman formy niby ludzkiej, podobny nawet trochę do Januarygo. Gdy pod wpływem właściwej mu energii szerzej niż zwykle otworzył oczy, tuman znikł. Euzebjusz; przypuszczał, że widma nigdy nie było, że przecież ludzie, nawet z winy własnej nieostrożności ginący, nie mogą tułać się po śmierci... Z tem wszystkim czuł, że jego wygodne mieszkanie obmierzło mu!...

Wyszedł szybko, nieledwie wybiegł na korytarz i zamknął drzwi. Maszerował omackiem, głośno tupiąc i pogwizdując i w kilka minut rozmówił się ze stróżem, który na jego przedstawienia bardzo kategorycznie odpowiedział, że w piecu napalono dobrze, i że jego syn po nocy włóczyć się nie będzie.

Teraz Euzebjusz poczuł w sercu głęboki żal za przyjacielem i pod wpływem roztkliwienia rzekł:

— Czy wie Jędrzej, że się pan January zabił?...

— O! — stęknął stróż.

— Dziś w nocy.

— To z tego taki wiatr. Musi się grzeszna dusza tłuc po Warszawie i robi zawiejkę.

Potem ziewnął, owinął się w kożuch i cofnął do swej komórki. Nigdy jaśniej jak po jego odejściu, wśród ciemnej sieni, którą gwałtowny przedmuchiwał wicher, nie rozumiał Euzebjusz tej pięknej prawdy, że człowiek jest istotą społeczną i że potrzebuje towarzystwa bliźnich.

Wrócił na schody, zwolna, tupiąc jeszcze mocniej i gwizdząc jeszcze skoczniejszą melodją.

Na pierwszym piętrze z lewej strony skrzypnęły nagle drzwi.

— Kto to?...

— Kto tu?...

— Kto pan jesteś?...

— No... Euzebjusz, lokator z drugiego piętra.

— Aha!... To pan co wieczór wygwizdujesz na Marysię?...

— Ależ panie!...

— O panie!... tu niema żadnego ale!... Ja, panie, chcę mieć spokój w domu, ja mam żonę chorą...

— A zresztą — odezwał się w tych samych drzwiach głos niewieści — choćbyśmy oboje z mężem byli jak najzdrowsi, nie możemy tolerować...

— Ja, panie, skargę podam! — przerwał głos męski. — Dziewczyna lata, drzwi zostawia otwarte...

Skrzypnęły drzwi z prawej, i stanął w nich mężczyzna ze świecą, pytając:

— Dobry wieczór!... Co się stało?...

— Pan Euzebjusz bałamuci nam służącą...

— Ależ, panie! — krzyknął Euzebjusz — daj mi pan spokój!... Ja czem innym mam głowę zajętą: mój przyjaciel w tej chwili się zabił...

— Kto? — krzyknęła dama z lewej.

— January!...

— January? — powtórzyły dwie damy z prawej.

— Ten, co się o Amelję starał — wyjaśniła dama z lewej.

— Ależ nie! — zaprotestowała jedna z dam po prawej — on się starał o Zosię i mówił nawet do kilku osób, że jeżeli ona go odrzuci, to sobie życie odbierze.

Na drugim piętrze zrobił się ruch.

— Kto się zabił? — zawołano z góry.

— January! rachmistrz od bankiera Gotlieba!

— To ten rachmistrz, co obok mnie mieszkał, Euzebjusz? — pytano z góry.

— Ależ ja żyję! — krzyknął zaniepokojony Euzebjusz.

— Więc któż się zabił?... Czy w naszej kamienicy?... — Ale nie, w innej!

— Aha!... Dobranoc!... Przepraszam!...

— Pan ma jednak dziwne usposobienie — rzekł mężczyzna z lewej strony.

— Dlaczego? — spytał Euzebjusz,

— Bo pan, mimo śmierci przyjaciela, gwizdże na naszą służącą.

— Ależ słowo honoru!

— No, no!... Już tym razem skargi nie podam, ale bardzo proszę, aby nam pan koncertów na przyszłość nie wyprawiał. Dobranoc!...

— Dobranoc!... dobranoc!... — powtórzono z prawej strony. Świeca znikła, a drzwi jedne i drugie zatrzaśnięto.

Euzebjusz usłyszał turkot jadącej zwolna dorożki. Zbiegł pędem ze schodów, przy pomocy stróża otworzył bramę, znalazł dorożkarza niezajętego i kazał się wieźć do jednego ze znajomych.

— Dostanę rubelka? — spytał sałaciarz.

— Dobrze! dobrze! — odparł Euzebjusz, modląc się w duchu, aby i ten znajomy, do którego jechał na nocleg, nie dopuścił się czasem samobójstwa.

Szczęściem, znalazł go w pełni sił i zdrowia, opowiedział o śmierci Januarego i rzucił się na szezlong.

Znajomy mówił, że Euzebjusz parę razy krzyczał przez sen.

U WRÓT ŚMIERCI.

January był w życiu romantykiem. Znaczy to, że nie tylko miewał romanse, co, jak wiadomo, nie jest grzechem, ale — że nikt nie mógł przepowiedzieć, jak się młodzieniec ten znajdzie w danych okolicznościach. I jadał bowiem codzień inaczej, i sypiał coraz o innych godzinach, cieszył się coraz z innych konceptów i gniewał dziś z tych powodów, które go wczoraj bawiły.

Jeżeli żył kto z nim po przyjacielsku i jowjalnie, January podejrzewał go o zbyt dużą poufałość i chęć drwinkowania. Jeżeli inny trzymał się sztywnie i zdaleka, January posądzał go o zarozumiałość i pychę. Umiał też bez przyczyny rzucać posady, wyprzedawać się z całej garderoby dla spłacenia kilkudziesięciu rubli długów, aby nazajutrz i dni następnych zaciągnąć znowu pożyczkę kilkusetrublowej wysokości.

Jedno tylko uczucie było w nim stałe, oto: tkliwość dla nadobnej połowy rodu ludzkiego. Sprzyjał on wszystkim kobietom między osiemnastą i czterdziestą piątą wiosną ich egzystencji i umiał czcić ideał niewieści zarówno na stanowisku wielkiej damy, jak i w skromnej sukience pracownicy igły, a nawet w bezpretensjonalnych i niezawsze przejrzystych formach — restauracyjnej pokojówki.

Wszakże i ona jest kobietą, cokolwiek bardziej zasmoloną, niż zwykle anioły ziemi!

Z zastanawiającą jednomyślnością twierdzili wszyscy, że pan January posiada instynkta „wyższe.” Od czego wyższe? Prawdopodobnie od pensji, którą uzupełniać musiał za pomocą umiejętnie realizowanych pożyczek. W dniu, w którym po raz pierwszy ogolił młodociane zwiastuny wąsów, miał już trzydzieści rs. długu. Potem, chcąc wejść w świat i oporządzić się, zaciągnął około czterystu rs., w epoce zaś konkurów długi jego wzrastały w stosunku prostym do ewentualnych posagów dziewic, jakie miał na widoku. W ostatnich czasach cyfra niezaspokojonych, a połowę pensji zjadających wierzytelności, dosięgła tysiąc trzystu rs. w liczbie okrągłej.

Największą część kapitału, tym razem duchowego, pochłaniała Januaremu miłość przeważnie platoniczna, a więc na westchnieniach, łzach, nadziejach i rozpachy oparta. Wśród walk wewnętrznych January pracował cierpieniami jak brukarz albo kopacz łopata i w taki sposób zużywał siły, które bynajmniej nie pasowały do zajęć biurowych. Ścisłe rzeczy biorąc, nie miał on temperamentu rachmistrza, ale raczej praporszczyka, który, przegimnastykowawszy się kilka lat w pułku i w szkole junkierskiej, nabył zapasu energii, i dosłużywszy się pierwszej rangi oficerskiej, w parę tygodni potem za burdę uliczną wypędzony został z wojska, bez prawa noszenia munduru.

Dopóki Januarego absorbowała miłość, młodzian miał humor, apetyt i sypiał wybornie, a o długach nie myślał. Lecz gdy okrutna Amelja dała mu do zrozumienia, że go nigdy nie uszczęśliwi ani posagiem, ani sercem, January stracił grunt pod nogami, naturalnie — moralnymi. W dodatku wierzycciele, nie słysząc zapowiedzi przed adwentem, poczęli go nękać, — pensja pozostała taka jak dawniej, zaległe procenta rosły, a wiara w siebie malała.

W tych okolicznościach, zrozpaczony młodzian zdecydował się ukończyć rachunki z życiem; a jak niegdyś wszystkie pory jego istoty wypełniała miłość dla Amelji, Zosi, Melanji i kilkunastu panien z demokracji, tak dziś — myślał tylko o samobójstwie. Z rozkosznym dreszczem wyobrażał sobie efekt, jaki tym czynem wywoła, zdziwienie uwielbianych przez niego kobiet, przestрах wierzyccieli i — swój własny, cichy sen pod murawą mogiły, którą może kiedyś — jaka litościwa rączka ozdobić zechce kwiatami!...

Faktem jest, że chorobliwa fantazja obok czerstwego próżniactwa dziwne rzeczy wyrabia z ludźmi.

Po kilkutygodniowych medytacjach nadszedł dzień stanowczy. January musiał dziś umrzeć, albo nazajutrz — zapłacić osiemset rs. pewnemu jegomościowi, który w razie zawodu nie zawahałby się zrobić skandalu i położyć aresztu na pensji desperata.

Od rana, mający zostać samobójcą, pisał treściwy pamiętnik, skąd ludzkość dowiedzieć się miała, że taki a taki January przez całe życie był ofiarą prześladowań losu, że tragiczność wypisana była już na jego kolebce, i że świat powinien mu wybaczyć okropny czyn, przez wzgląd na pobudki. January bowiem pozbawiał się życia nie z powodu długów lub nieszczęśliwej miłości, ale z tytułów „zrozumiałych tylko dla ludzi honoru.” Nadmieniał wkońcu, że wrogom swoim wybacza, i błagał, aby nie posądzano nikogo o przyczynienie się do jego śmierci.

Potem, rozgorączkowany, wystylizował wiadomy list do Euzebjusza, któremu nie mówił już wprawdzie o tytułach, „zrozumiałych tylko dla ludzi honoru,” lecz zato przedwczesny i nieodżałowany zgon swój oblał nader melancholicznym światłem.

Oba te nekrologi, odczytane po kilka razy, tak rozdrażniły Januarego, iż dostał spazmatycznego płaczu, i tym sposobem miał tę niezrównaną przyjemność, że pierwszy zrosił łzami własną mogiłę. Należy mniemać, że ze wszystkich łez, jakie społeczeństwo miało wylać niebawem z powodu jego śmierci, te chyba były najbezinteresowniejsze i najszczerze.

Aby zapobiec możliwym zmianom gustu i przeciąć sobie wszelkie drogi do odwrotu, January około siódmej wieczór wysłał list do Euzebjusza i opieczętował swój pamiętnik. Potem przystąpił do przygotowań ostatecznych i nabił rewolwer odrazu sześcioma ładunkami. Nie wiem dlaczego, ale wszyscy samobójcy zwykli tak robić, myśląc zapewne, że dusza ich już dosyć zaniepokojona jednym strzałem, jeszcze prędzej opuści doczesną powłokę, jeżeli zobaczy pięć kul zapasowych. Bywają lokatorowie uparci, ale żaden z nich chyba nie wytrzyma, gdy mu sześć razy zkolei wymawiają komorne!...

Chodziło teraz o wybór chwili najostateczniejszej, bez oznaczenia której, wedle bardzo trafnych rozumowań, January mógłby odkładać spełnienie egzekucji z godziny na godzinę, bodaj do setnego roku życia. No, a tu należało już jutro — zapłacić osiemset rubli!...

January myślał tak: Euzebjusz odbierze list najpóźniej o ósmej, to jest zaraz po powrocie z cukierni. Natychmiast da znać policji i na czele władz bezpieczeństwa przybiegnie do jego mieszkania o dziewiątej. Gdy January usłyszy na schodach łoskot, odwiedzie kurek, a gdy zaczną wyważać drzwi — pociągnie za cyngiel... Zawodu nie obawiał się, kule bowiem z jego rewolweru przebijały o dziesięć kroków trzycalówki. Na wszelki zaś sposób miał prawo przypuszczać, że mózg rachmistrza już chyba twardszym od grubej deski — być nie może. Wy, którzy w tej chwili pijecie herbatę, wypiliście herbatę, lub zasiadacie do preferansa; wy, którym ciepły piec i drogie sercu osoby dają przedsmak najmilszych stron życia, którzy na myśl o śmierci doświadczacie bólu głowy i smutny termin ten odsuwacie w wyobraźni aż do skończenia świata; wy wszyscy zdrowi, niezadłużeni, nieodpaleni w konkurach, — zważcie, że od tej chwili za kilkanaście minut stracie raz na zawsze możliwość wyzyskiwania sił, kapitałów i rozkoszy, jakich wam dostarcza otoczenie. Pomyślcie, że egzystencja wasza zależy teraz od pierwszego łoskotu na schodach, od puknięcia we drzwi, i że, przy pierwszym ruchu klamki, głowa pęknie wam pod naciskiem ołowiu, mózg tryśnie, a dusza — ta dusza, które zazwyczaj interesujemy się nader mało, znajdzie się w jakichś innych, nie do pojęcia odmiennych warunkach.

A co — dobrze wam? Otóż stokroć gorzej było w tej chwili biednemu Januaremu!

Dziewiąta zbliżała się, i lada minutę musiał przybiec Euzebjusz, otoczony strażą policyjną, lekarzami, felczerami — i — obciążony ładunkiem szarpi, tudzież innych wskrzeszających i uspakajających medykamentów. Już bije dziewiąta!... Minuta... dwie... Słysząc jakiś niezwykle ruch

na podwórzu... To Euzebjusz!...

January odwodzi kurek... słucha... czeka...

Już nic nie czuje i nie myśli, całe jego życie stało się biciem serca i leciutkiem drżeniem ręki... W skroń potrąca go lufka rewolweru... Szmer na podwórzu wzrasta, lecz nie przechodzi na schody.

January wyjrzał oknem i przy migotliwym świetle małych pochodni spostrzegł dwa wozy, a w nich coś podobnego do kotłów parowych. Przy trzecim wózku, mniejszym, stało paru ludzi, którzy kręcili korbą...

Widok skromnych przedstawicieli pracy u podstaw społeczeństwa rozrzewnił Januarego. Wszakże oni byli tymi ludźmi, na których padały ostatnie jego spojrzenia!

W pół do dziesiątej — Euzebjusz jeszcze nie nadchodził.

„Możeby nie czekać?” — pomyślał January, czując, że półgodzinne wyglądanie śmierci należy do nużących zajęć. Ale nad niecierpliwością wzięła górę rozważa. Istotnie, poco się gorączkować i przyspieszać kres życia, już i tak bliski? Euzebjusz niezawodnie przyjdzie, choćby o północy, zresztą ktoś inny może zapukać we drzwi, a wówczas January zrobi swoje. Czy więc nie lepiej korzystać z tych niewielu chwil, jakie mu pozostały?...

January był marzycielem, ale nigdy podobno fantazja nie dopisywała mu tak znakomicie jak dzisiaj. Prawie przed oczyma widział dzieciństwo swoje, wiek chłopięcy, młodość... Przypomniał sobie pewien wieczór adwentowy, w ciągu którego, oparłszy głowę na kolanach matki, słuchał „Anuncjatę” Kaczkowskiego... Potem zobaczył gwarną salę szkolną i kipiące młodością postacie swoich kolegów, z którymi tak wesoło upływały lata... Potem odczuł z dziwną wyrazistością pierwszy pocałunek i pierwszy uścisk ciepłej delikatnej rączki... Między temi obrazami mignął mu parę razy cmentarz, piękny jak ogród, to znowu bal w resursie i tęskne, rozmarzające melodie jakiegoś walca...

Od tej chwili walc brzmiał mu ciągle w uchu, i wówczas, gdy widział niebieski pokój biurowy i myślącą twarz Euzejusza, gdy przypominał fantową loterję w Saskim ogrodzie, albo wieczorne widoki z ulic Warszawy, — zdawało mu się, że każdy ten obraz był kwiatem, którego woń dolatywała go aż tutaj, aby zmieszawszy się z tysiącem innych, unosić się nad jego zwłokami.

Na schody ktoś wchodził ciężko, prędko...

January znowu odciągnął kurek; jego zegarek, wskazujący sekundy, leżał na stole. Kroki dudniły, skazówka biegła, a Januaremu zdawało się, że z piersi jego potężnym strumieniem jak woda z fontanny wypływa życie... Przypomniał sobie straszny ból przy rwaniu zęba i pomyślał, że w tej chwili uczuje jeszcze straszliwszy, głębszy, miazdzący...

Raz... dwa... skazówka pędzi jak szalona... trzy... January czuje pod palcem usuwanie się cyngla... Kroki biegnącego słysząc już na drugim piętrze... Jak błyskawica rozpala się w duszy samobójcy myśl o Bogu... Idący zbliża się do jego drzwi... Jezus!... Marja!...

Ktoś otwiera drzwi, ale nie do jego mieszkania. Samobójcy opadła ręka, taka bezwładna i ciężka, jak wał żelazny...

Gdyby ten — kto wszedł na korytarz — stuknął wypadkiem we drzwi Januarego, rachmistrz jużby zapisał ostatnią cyfrę. Śmierć jednak chciała się pastwić nad nim i znowu go odbiegła, jak wytrawny kot od młodej myszy.

W tej właśnie porze Euzebjusz, zapłaciwszy nierekomendowanemu partnerowi dwa ruble kopiejek sześćdziesiąt, powoli wracał do domu, nie myśląc, jak okrutne męki systematyczność jego zadaje Januaremu.

Młody człowiek usiadł na fotelu, na kolanach złożył broń i zapadł w ten stan psychiczny, który łączy między sztucznym snem a zaszczepieniem. Wyobraźcie sobie biednego grzesznika, któremu

przez dwie godziny zakładają powróż na szyję, z zamiarem obwieszenia go dopiero wówczas, gdy się to a to zdarzy... January był takim biednym grzesznikiem, a nawet biedniejszym jeszcze od niego, jednoczył bowiem w sobie trzy urzędy: delinkwenta, który chciałby doczekać końca, ale umierać nie chce, kata, w którym zajadłość ustąpiła zimnej krwi, a zimna krew litości, i publiki, która już zaczyna się nudzić.

Odwaga jest to rzecz temperamentu, ale męstwo — przymiotem charakteru. Odwagę wytwarzają nerwy, męstwo — namysł i wyższe uczucia. Odważnym jest ten, kto w chwili niebezpieczeństwa bez wahania rzuca się naprzód, jak krokodyl na siedemnastoletnią murzynkę, używającą kąpieli. Taki jego temperament i basta! Gdyby miał temperament przeciwny, cofnąłby się wtył, narażając na klęskę — grzbiet bezbronny.

Męstwo przeciwnie — oblicza szansę: trwodze przeciwstawia obowiązek, boleści — ambicję. Męstwo nie skacze jak tygrys, lecz posuwa się jak taran, niezbyt prędko i niezbyt wolno, w miarę okoliczności. Ta właśnie miara, ta wytrwałość niespożyta wynosi męstwo ponad odwagę i w chwili przeciągającego się niebezpieczeństwa robi je straszliwym, niezwalczonym.

Odważny pali sobie w łeb bez namysłu, mężny zapowiada naprzód godzinę. Szkoda tylko, że w obu w tej chwili zacytowanych wypadkach, z cennymi przymiotami jednoczy się głupota!

January był niewątpliwie i odważnym i mężnym i głupim, czego dowiódł świetnym sposobem w ciągu dwugodzinnej walki ze śmiercią bezcelową. W dodatku był jeszcze człowiekiem, to jest istotą organiczną, i — wyczerpał siły.

W chwili gdy bezwładny siedział na fotelu, zamiast jaskrawych marzeń o upłynionych czasach, snuły mu się po głowie myśli szare, mdłe, niepowiązane. Zdawało mu się, że przekroczył kanciasty próg grobu i z tamtej już strony spogląda na życie, bez żalu, gniewu, uniesień, apatycznie jak cień błakający się po elizejskich polach. Było dużo ciekawych rzeczy w tem stanowisku obojętnego widza na świat. Jakże małemi są ludzkie interesa, walki, udawania, a nawet miłość! Jak to prędko przechodzi!... Gdyby kamień miał oczy i zdawał sobie sprawę ze stosunków społecznych, nie sądziłby ich inaczej, jak w tej chwili January. Cóżto za szczęście być widzem tylko tragikomedji światowej, być kamieniem...

Zdawało się Januaremu, że już dosięgnął owego najwyższego, zagrobowego zadowolenia, które tak wymownie maluje się na twarzach sfinksów i innych posągów egipskich. Czuł, że serce jego stało się oceanem spokoju, i byłby najdoskonalej szczęśliwym, gdyby gdzieś na dnie nie wiło się, nie nurtowało jakieś bezkształtne i bezimienne cierpienie.

Umrzeć!...

Więc on jeszcze nie umarł?... Więc ten spokój, jakiego doświadcza, nie jest przywilejem zmarłych, ale złudzeniem żyjących?...

Okrutna rzecz!... A jakież uczucia właściwe są umarłym? Może żadne?...

Tymczasem na dnie duszy ciągle coś wiło się i nurtowało. Jestże to pierwszy szpon śmierci? Cóż będzie, gdy niezmierny potwór ten, którego obmierzłe cielsko wszechświat wypełnia, rzuci się na mnie całym ciężarem swej zajadłości?...

I to niedługo, zaraz, może natychmiast!...

January uczuł, że słabnie. Nigdy jeszcze śmierć nie przedstawiła mu się w kształcie równie ohydny.

— O gdyby przyszedł Euzebjusz! — mruknął.

Uległ już monomanji i poza obrębem chwili, w której Euzebjusz zapukać miał do drzwi jego, nie potrafiliby oznaczyć ostatecznego terminu.

Właśnie o tej godzinie, systematyczny Euzebjusz, odczytawszy list Januarego, miał ponure

widzenia i przemyślał o ucieczce z własnego domu.

Teraz nadszedł krótki moment, w którym samobójcę ogarnęła trwoga, najzupełniejsza, najdokładniejsza trwoga. Uczuł nienormalne bicie serca, zamęt w głowie i ściskanie w gardle jak sztubak, którego układają na zydel. W tym momencie o zastrzeleniu się mowy nawet być nie mogło. Byle kto, wyważywszy drzwi, odebrałby Januaremu broń, jego samego związał i zresztą zrobiłby z nim, coby mu się podobało.

Młodzieniec zrozumiał to, a ponieważ znał się na upadku ducha i jako człowiek dobrze wychowany, posiadał w szafce zapas środków leczniczych, wstał więc z fotelu i wydobyl — butelczynę.

W kwadrans była pusta. W Januarym krew poczęła krążyć mocniej, bić do głowy. Rozweselił się nawet trochę, lecz drżał. Dla ukojenia przeto nerwów, Wydobyl drugą flaszkę i postąpił z nią jak wyżej.

Był już kompletnie wesoły i z niejaką burszonadą oczekiwał na Euzebjusza. Mógłby wprawdzie i teraz zaraz trzasnąć sobie w łeb, przymierzył nawet; jak to wygląda, ale — nie jakpieszył się.

— Poco mam łamać słowo — myślał — jeżeli go w każdej chwili dotrzymać mogę? No... a Euzebjusz musi przyjść lada minutę, chybaby ludzkiego serca nie miał... Zresztą, szkoda życia, dopóki jest w szafie jeszcze parę butelek. Po ostatniej nie będę już czekał!...

Wydobyl trzecią flaszkę i wypił ją do połowy. Gdy napełnioną szklanekę, już niewiadomo którą z rzędu, podniósł do ust, usłyszał na schodach stąpanie...

— Czy i tym razem nie sąsiad?...

Odciągnął rewolwer.

Ktoś był na drugim piętrze i wyraźnie szedł ku drzwiom Januarygo.

Ten z pośpiechem wypił wino, stanął na środku pokoju... W tej chwili we drzwiach drgnęła klamka.

Lokator, mieszkający pod Januarym na pierwszym piętrze, usłyszał nad głową ciężki łoskot...

Ktoś inny przyjacielowi Euzebjusza wydał ostatnie hasło.

Na podwórzu kręcił się wiatr i od czasu do czasu bił w szyby zmarzniętym śniegiem. Światła, w oknach pogasły, i tylko na ulicy migotały jeszcze skaczące i drgające płomienie gazowe.

W tej właśnie porze, jakby natchniony przez złego ducha, Euzebjusz opowiadał stróżowi i lokatorom swej kamienicy o śmierci Januarygo!... Traf czy jasnovidzenie?...

SKUTKI NIEROZWAGI.

Na drugi dzień Euzebjusz i znajomy, u którego nocował, obadwaj przyjaciele Januarego, zerwali się o siódmej rano. Spali w ubraniach, toaleta więc niewiele im czasu zabrała; umyli się też metodą skróconą i nie czekając na śniadanie — wybiegli.

— Możeby wstąpić po policją? — spytał Euzebjusz.

— Dajmy spokój! — odparł znajomy. — Któż wie, czy January nie rozmyślił się?...

— A niechże Bóg broni! — krzyknął Euzebjusz troskliwy o honor przyjaciela. — Przecie wiesz, jaki to był człowiek słowny...

— Więc może tylko raniony — ciągnął znajomy, któremu January winien był około dwudziestu rubli.

— Założę się, że już nie żyje! — przerwał Euzebjusz. — Z tem wszystkim możemy wezwać policję wówczas dopiero, gdy mieszkanie znajdziemy zamknięte.

Na ulicach wyjaśniało się, stróże zmiatali chodniki. Znajomi nasi spotykali wozy z pieczywem, wozy z drzewem, wozy z jarzynami, wozy z węglami, wozy z mięsem, wkońcu nawet wozy puste, lecz ani jednej dorożki. Biegli więc piechotą, co rozgrzewało i podwyższało ich energją.

O ósmej stanęli przed kamienicą, w której mieszkał January.

— Odpocznijmy chwilę! — odezwał się Euzebjusz, nie mogąc tchu złapać.

Jego kolega również ciężko dyszał.

Po kilku minutach weszli na schody i prawdopodobnie' skutkiem zmęczenia, wstępując coraz wolniej, dotarli wreszcie na szczyt drugiego piętra, a nawet do drzwi nieszczęśliwego.

Tu — dobre wychowanie obu panów zajaśniało niezwykłym blaskiem.

— Proszę cię!... — rzekł Euzebjusz do kolegi, wskazując mu drzwi.

— Ale bądź łaskaw!... — odparł kolega, zlekka popychając do klamki Euzebjusza.

— Kiedy bo robisz niepotrzebne ceremonje w takiej chwili...

— To ty, mój drogi...

Euzebjusz przypomniał sobie, że drzwi muszą być zamknięte, zrobił więc minę stanowczą i — pocisnął klamkę.

Klamka puściła, drzwi uchylły się.

W jednej chwili obaj panowie byli już na drugim końcu korytarza.

— Nie — ja tam nie wejść! — rzekł błydy jak ściana Euzebjusz. — Zanadto go kochałem.

— Czyby nie należało wezwać jakiejś osoby obojętnej dla zmarłego? — spytał nie mniej błydy kolega.

Szczęściem Euzebjusz znał jednego z sąsiadów. Zapukał — sąsiad wyszedł w szlafroku.

— Dzień dobry panom — rzekł — a co słyhać?

— Stało się u Januarego jakieś nieszczęście i chcieliśmy, ażeby pan towarzyszył nam przy wejściu do jego pokoju. Pojmuje pan?... Pan jako domowy... znający gospodarza — mówił gorączkowo Euzebjusz.

Nie śmiemy twierdzić, aby pochlebne skądinąd wezwanie to podobało się sąsiadowi. Z tem wszystkim, nie mając głowy nabitej widziadłami, posiadał jeszcze odrobinę zimnej krwi i postanowił pójść. Wstąpił tylko do swego mieszkania, zdjął z głowy czapeczkę, a natomiast uzbroił się długim i grubym cybuchem. Potem bez śladu wahania, jak żołnierz do szturm, pomaszerował w kierunku pokoju Januarego i — szeroko otworzył drzwi.

W mieszkaniu panował najwyższy nieład: wieszadła były puste, szafa, biurko i komoda — pootwierane. Na środku podłogi rozlewała się wielka purpurowa kałuża.

Na ogołoceniu z kołdry i poduszek łożu, Euzebjusz ujrzał — zwłoki przyjaciela. January leżał bokiem, z głową oplecioną własnymi ramionami.

— Co to jest? — spytał przerażony sąsiad.

— Nie żyje! — odparli jednocześnie Euzebjusz i jego znajomy.

— Cóż mu się stało?

— Zabił się...

Sąsiad podszedł do trupa i ostrożnie dotknął go cybuchem dla wypróbowania, czy nieboszczyk już skostniał. Szturgnął go raz, potem drugi...

— Co to?... u stu tysięcy djabłów! — wrzasnął January, siadając nagle na łóżku.

Trzej panowie znaleźli się w jednej chwili za progiem. January zaczął się oglądać po pokoju i przecierać oczy. — Panowie! — krzyknął sąsiad — ależ on żyje!... jak Boga kochani, żyje!...

— January! — zawołał tklwym głosem Euzebjusz — January to ja!... Przyjacielu!...

January wciąż oglądał się osowiałym wzrokiem.

— Co u diabła?... — mruzczał. — Gdzież mój rewolwer, zegarek... futro?... Ależ mnie okradli?... Zabrali mi bieliznę, garderobę, porozlewali wino na podłogę, świsnęli nawet re...rewolwer!... Och! jakże mnie łeb boli!...

I upadł znowu na ograbione łóżko.

Gdy trzej panowie zbliżyli się do cierpiącego na głowę nieboszczyka, uczyli silny zapach spirytualiów.

— On żyje, panowie!... — upewniał sąsiad — ale, jak widzę, strąbił się, i to porządnie. Pięć pustych flaszek!... Jak mi honor miły, zuch chłopak!

— Co tu robić? — spytał Euzebjusz.

— Facecje! — odparł sąsiad. — Przenieśmy go do mego pokoju, bo tu widzę, niema na czym spać... rozbierzmy go, a jak się wyśpi i napije herbaty z cytryną, to nam wszystko opowie...

Zrobiono tak, i w pół godziny później, rozebrany jak się należy, January spał na wygodnym łóżku sąsiada.

Trzej panowie tymczasem, poszli do pokoju Januarego, obejrzelni pootwierane szuflady, odczytali pamiętnik samobójcy, jego list do Euzebjusza i zakomunikowali sobie nawzajem swoje wrażenia. Jednomyślnie zdecydowano, że żaden z nich nie bał się wejść do nieboszczyka, lecz że sąsiad, który wszedł tam pierwszy i cybuchem wskrzesił Januarego, jest niewątpliwie o tyle szlachetnym, o ile godnym podziwu filantropem.

— W każdym razie, moi panowie — mówił sąsiad — jest to rzecz okropna, ażeby... panie... taki człowiek, jak ten oto January, panie, miał ginąć z własnej ręki przez lichwiarzy. Bo, o ile wiem, (a wiem dobrze), w tych tysiąc trzystu rublach, które on im winien, jest zaledwie sześćset do siedmiuset rzeczywistego długu, resztę zaś stanowią, panie, procenta!...

— Trzebaby go wyciągnąć z błota — wtrącił kolega Euzebjusza. — Winien mi on wprawdzie coś, ale chętnie pożyczę mu więcej, byle ustatkował się i z lichwiarzami zerwał...

W tej chwili usłyszano brzęk pałasza, i na progu — ukazał się rewirowy. Przybyły obejrzał pokój, krwawą plamę na podłodze i nieco dłużej zatrzymał wzrok na obecnych mężczyznach, aby bez zaciągania cudzej informacji mógł dociec sam, który też z nich jest samobójcą i kwalifikuje się do opieczętowania?

Pokazuje się jednak, że obserwacja nie zawsze wykrywa trupa, ponieważ rewirowy uznał za stosowne zapytać:

— A gdzie nieboszczyk?... bo nam tu potrzebny będzie do protokołu.

— Skądże znowu przywidział się panu nieboszczyk? — odparł sąsiad, dosyć zdziwiony tą wizytą.

— Jakże skąd?... Rewirowy z ulicy Chmielnej mówił mi, że w tym domu zabił się pan January, rachmistrz...

Euzebjuszowi zrobiło się niedobrze. On mieszkał przy ulicy Chmielnej, on ogłosił sąsiadom o samobójstwie Januarego i sprowadził mu na kark policję!... Świadomość winy zbudziła w nim energiczne postanowienia, rzekł więc:

— Widzi pan naczelnik...

Naczelnik zdjął czapkę.

— Widzi pan naczelnik, mój kolega January chciał mnie zastraszyć i wysłał do mnie list z doniesieniem, że się zabije.

— To pan list odebrał?...

— Ja! ja!... i ja mieszkam na Chmielnej, ode mnie wyszła pogłoska...

— A to pan musi do protokołu stanąć.

— Dobrze! dobrze!...

— Ale tamten pan żyje?

— Zdrowszy jak ryba! — odezwał się sąsiad.

— I on musi do protokołu stanąć. On tu jest?...

— Śpi teraz w moim pokoju — odpowiedział sąsiad — bo uważa pan naczelnik, okrutnie się dzisiejszej nocy strąbił. Pięć butelek, panie, rypnął, jak orzech zgryzł!...

— Nic to nadzwyczajnego pięć butelek. Jeszcze widzę, że z pół butelki rozlał na podłogę!... Czerwone wino... głupstwo!

— Ale uważa naczelnik — ciągnął sąsiad — pana Januarego okradli dziś w nocy. To gorzej!...

— Cóż gorzej!... Spisze się protokół, i będzie wszystko dobrze. Ale on żyje?...

— Żyje! żyje!... Zresztą, przechodząc około moich drzwi, zajrzyj pan do pokoju. On tam śpi! — rzekł sąsiad.

Rewirowy pokręcił głową, ale wkońcu odszedł. W połowie korytarza zatrzymał się jeszcze i dodał:

— Niech jednak panowie, z tym panem nieboszczykiem wstąpią dziś do cyrkułu, to będzie najlepiej. Spisze się odrazu protokół i koniec!

— Aleś go pan djable urządził! — odezwał się do Euzebjusza sąsiad. — Nie lepiej to było odrazu przyjść tu, sprawdzić, przekonać się, aniżeli mówić na niepewne. Będzie miał teraz January dużo ceregielów!...

Euzebjusz, zapomniawszy o uczuciach, jakie napastowały go w nocy, ubolewał teraz, że mu na myśl nie przyszło odwiedzić Januarego jeszcze wczoraj, o jedynastej. Nie wiedział pocziwiec, że jego safandulstwo rzeczywiste oddało przysługę desperatowi, który dziś żyje, a przy większej nieco gorliwości ze strony Euzebjusza — gryzłby już ziemię!

Schody znowu zadudniały, tym razem pod cywilnymi krokami. Jakiś jegomość dobrze szpakowaty, w czarnych zapotniałych okularach, wpadł do pokoju, krzycząc:

— Gdzie on jest?... Postąpił niehonorowo, jak Boga kocham! Miał mi dziś oddać osiemset rubli, oblagowywał mnie, że się żeni, że posag dostaje, i otóż... ożenił się! Bardzo ładnie strzelać sobie w łeb i ludziom zawody robić!... Gdzie on?...

Sąsiad Januarego przybrał fizjognomję lodowatą i pocierając sobie brodę, spytał:

— A gdyby też January zostawił dla pana pieniądze?... — To... to... postąpiłby jak człowiek

uczciwy.

— Ale tylko tyle, ile od pana wziął, to jest pięćset rubli.

— Pięćset? — krzyknął gość. — Ależ ja dałem osiemset.

— Bajki!...

— Oto nagroda za moje dobre serce!... Ha... dajcie i to... niech go...

— I tego nie damy gotówką natychmiast, tylko wystawimy kwit na miesiąc, aż do uregulowania interesów.

Jegomość zamyślił się.

— To już ja wolę zaczekać — rzekł.

— Jak pan chce — odparł sąsiad.

— Ach, Boże! jaki teraz świat — biadał gość, machając ręką. — Tyle długów narobił, i masz, zabija się, akurat wtedy, kiedy mnie powinien spłacić!... Tu widzę, rzeczy niema w tym pokoju? Co to znaczy?...

— To do pana nie należy. Dowidzenia!...

Jegomość począł biegać po pokoju, ręce łamać, a wkońcu — zdecydował się.

— Piszcie panowie kwit na sześćset rubli!... — Na pięćset — odparł sąsiad.

— Ach, Boże, co za przewrotny charakter!... Tyle miesięcy wytrzymał mój kapitalik, i ani grosza zarobku!... On w grobie nie będzie miał spokoju za moje trzysta rubli...

Euzebjusz napisał tymczasem kwit na pięćset rubli, dwaj obecni panowie poręczyli, a jegomość zwrócił im weksel Januarego na osiemset rubli.

— W każdym razie — rzekł sąsiad, chowając weksel do kieszeni szlafroka — oszczędziłem pocziwemu Januaremu trzysta rubli. Chłopak odetchnie!...

— Co to znaczy? — wrzasnął gość.

— Niech pan tak nie krzyczy, bo się January obudzi i jeszcze pana ze schodów...

— Więc on żyje, ten bankrut?...

— Nietylko żyje, ale i doskonale wygląda! — mówił sąsiad. — A skądże pan słyszał, że on umarł?...

— W „Kurjerze,” panie, wyczytałem, że... nie umarł, ale własną ręką targnął się na życie... To zbrodnia!... Jabym się nigdy na coś podobnego nie odważył...

— Daj mu pan spokój, ani myślał się targać!... Zdrow chłop jak rzepa.

Szpakowaty jegomość popatrzył pilnie wszystkim trzem w oczy, zacisnął wargi, machnął znowu ręką i nagle wybiegł, mrużąc:

— Oszusty!...

Waleczny sąsiad wybuchnął i pogonił za nim, wołając:

— Ja ci tu dam... lichwiarzu!...

Majestatyczny był w tej chwili. Wiatr uniósł połę jego szlafroka, niby dwa skrzydła, wyrastające z bioder. Oczy rzucały błyskawice, i zaiste... wyglądał jak rozgniewany archanioł, goniący smoka.

Ale smok uciekł.

— Skąd u licha „Kurjer” dowiedział się o Januarym? — pytał zgryziony Euzebjusz.

— Oni wszystko wiedzą! — odparł zirytowany sąsiad. — Jednego razu, panie, ja tylko pomyślałem sobie, żeby jakiejś facetce na ulicy powiedzieć: „Dobry wieczór!” — a ci zbrodniarze napisali, że ją zaczepił i że będę miał proces. Te dzienniki, panie, to największa klęska kraju! to morowe powietrze!...

— W każdym jednak razie odzyskaliśmy trzysta rubli — szepnął milcząco dotychczas znajomy Euzebjusza.

— Wszystko odzyskamy, panie! — mówił energiczny sąsiad. — Jeżeli już napisali o jego śmierci, to się tu Żydzi zlecą dziś jeszcze, i od każdego coś utargujemy. Zobaczycie, że zostanie najwyżej sześćset albo siedemset rubli długu, no... a to chyba spłaci?...

— Najpóźniej we dwa lata! — odparł Euzebjusz. Tymczasem do mieszkania sąsiada służący wniósł samowar.

Na ten widok trzej panowie doświadczyli bardzo błogiego uczucia. Było to — jakby piękny wschód słońca po niesłuchanie burzliwej nocy.

Przyjaciele weszli do pokoju, gdzie spał January — na palcach. Ale dusza samobójcy nie oddzieliła się jeszcze tak dalece od ciała, ażeby i jej nie miał obudzić miły sercu każdego — szum wody, gotującej się w samowarze, i brzęk łyżeczek. To też January ocknął się, ziewnął szeroko i zapytał:

— A co to?... herbata?...

Energiczny sąsiad, któremu — według jego mniemania — January winien był życie, usłyszawszy pytanie to, wymownie świadczące o duchowym spokoju delinkwenta, rozrzewnił się i wzruszony zapytał:

— A co... będziesz się pan drugi raz zabijał?...

— A bo ja głupi! — odparł szorstko January. — Dość już mam tego smaku!... Do śmierci nie zapomnę tej nocy... Brrr...

Wkrótce potem wszyscy pili herbatę, zastępując brak masła do bułek już to słuchaniem przygód samobójcy, już to opowiadaniem jemu samemu, w jaki sposób ocalono mu trzysta rubli.

Wkońcu zakonkludował Euzebjusz:

— Wiesz co, mój January, weź ty się już chyba do roboty...

— A cóżto u diabła, czy ja mało robię?... Nie roboty, ale żony mi potrzeba, żony!...

W tej chwili sąsiad westchnął. Był on nieuleczonym starym kawalerem i poza obrębem możliwości prawienia damom komplementów, niczego już od świata nie pragnął.

W taki sposób January uleczył się z desperacji, a uczciwi ludzie pomogli mu wyjść z kłopotów. Gdyby każdy, mający zamiar spełnić samobójstwo, od chwili przyłożenia pistoletu do głowy, albo sznurka do szyi, zatrzymał się choć na dwadzieścia cztery godzin, przekonałby się niezawodnie, że nie ma sytuacji bez wyjścia, i że poprostu dla ciekawości warto jeszcze kilkanaście lat przebiedować na świecie.

Warszawa w grudniu 1878 r.

POZNAĆ SIEBIE TRUDNO.

Przysłowie objaśnione przez Bolesława Prusa.

— Szach mat!...

— Co?

— No... szach mat!

— Czem?

— Naturalnie, że koniem...

— Jakim koniem?

— Czarnym koniem — białemu królowi... — tłumaczy eks-major Rombalski, podnosząc olbrzymie brwi.

Jakże, więc znowu kwestja? — dodaje chudy major i żółtemi, okrągłemi oczyma patrzy na partnera swego, któremu się zdaje, że go chce pożreć. Partner (pan Robek, znacie go wszyscy, ma własną kamienicę) mały, gruby i skłonny zarówno do gniewu jak i do apopleksji sinieje, ale milczy... stu innych graczy za danie mu mata zwymyślałby od ostatnich, lecz nastroszone brwi eks-majora budzą w nim szacunek i trwogę. On jeden jest tym człowiekiem, wobec którego gwałtowny Robek drży i ma słuszość, przynajmniej we własnem przekonaniu.

— Więc nie wierzysz, że wygrałem? — mówi eks-major. — No, przypatrz się... Tu wieża, tu chłop i tu chłop... Gdzie twój król pojedzie?...

— Już wierzę, wierzę!... Naturalnie, że nigdzie nie pójdzie!... — odpowiada Robek, niespokojnie śledząc zmiany fizjognomji eks-majora. — Tylko się nie unos, mój Ignacy...

— Alboż ja się unoszę? — pyta major zdziwiony, tonem istotnie nie oznaczającym najmniejszego śladu gniewu.

— Przecież ja ci nie mówię, że się unosisz... Zresztą szkoda słów niepotrzebnych. Nałóż lepiej fajkę, a ja przyniosę zapalek...

I wychodzi Robek do drugiego pokoju, kłapiąc z gniewu zębami. Spozstrzega tam swoją córkę Helenę, siedzącą w otwartym oknie i poczyna zrzędzić:

— Skąd te cugi, do kary Bożej?... POCO to okno otwarte, do paralusza?... Ty dziewczyno chcesz widocznie, ażeby mnie szlak trafił...

— Ależ tatku!

— Niema tu żadnego tatka! Ja nie twój tatko!... Gdzie zapaliki?... Onegdaj wsypałem tu całe pudełko...

— Sam je tatko wypalił...

— To trzeba było znowu wsypać... Co tu za nieład, wszystko do góry nogami, wszystko do góry nogami przewrócone!...

Helena marszczy czoło i podając ojcu zapaliki, mówi nadąsana:

— Pewnie tatko znowu dostał mata i na mnie złość wywiera!

— Ja mata?... Ja?...

— Przecież słyszałam.

Ojciec rozkracza kuse nogi i mówi, wybijając takt cybuchem:

— Jeżeli podoba mi się przegrać, to naprzód dlatego, że jestem gospodarzem a Rombalski gościem, a powtóre dlatego, że nie chcę w tym człowieku budzić pasji... Ale ty wolałabyś, żebym każdą partję wygrywał i żeby mnie major za każdym razem kładł trupem...

Robek mówi to szybko i tonem najświętszego przekonania. Helena wzrusza ramionami.

— Ja nie wiem doprawdy, co tatko widzi straszego w tym biednym Rombalskim..

— Pasjonat!... tygrys w gniewie!...

— Jaki tam tygrys? Tatko to pasjonat, ale nie on, stary dziadyga, który zapewne nigdy się nie gniewał w życiu...

Robek aż skacze ze złości, słuchając tych uwag jedynaczki.

— Co ty mówisz?... — szepcze głosem stłumionym, oglądając się na drzwi drugiego pokoju. — Ty ludzi nie znasz, dzieciuchu!... To lew zażarty, to... to słoń raniony, którego w granicach przyzwoitości utrzymuje mój takt, moja zimna krew i moja przytomność umysłu...

Mówiąc to, za każdym wyrazem uderza pięścią w stół.

Za drzwiami rozległo się chrząkanie majora. Robek milknie, chwilę nasłuchuje niby wystraszony, a potem mówi głosem naturalnym:

— Przyszlij nam wody sodowej i soku malinowego. Niech się trochę uspokoi, bo już... już miał wybuchnąć!

Córka uśmiecha się i wychodzi do spiżarni po żądane artykuły. Robek wraca do gościa. — Gorąco! — mówi major.

— A tak!... tak!... — odpowiada Robek, patrząc na niego z pod oka. Jednocześnie myśli: „Jak się ten człowiek maskuje! Owieczka z wilczemi kłami...”

— O bardzo gorąco!... — mówi znowu major, który miał wogóle szczupły zasób zdań poza obrębem zwrotów używanych przy szachach.

— Jak to w takim dniu krew łatwo uderza do głowy! — odpowiada Robek.

— Uderzyła ci? — pyta major niespokojnie.

— Tak! tak!... mnie... mnie!... — spieszenie odpowiada Robek, ciesząc się w duchu, że straszny major nie poznał aluzji wystosowanej do niego.

Służąca wnosi sok i wodę, a z drugiej strony we drzwiach ukazuje się człowiek młody, ubrany nader pretensjonalnie, z włosami à la święty Onufry.

— Komorne?... — krzyknął Robek, ujrzawszy grzywiastego młodzieńca. — Akurat cztery miesiące i dwa dni nie widziałem od pana czynszu.

Facet zmieszał się w pierwszej chwili, wnet jednak nadrabia miną i mówi:

— Chciałem prosić pana gospodarza o poświadczenie awizacji... Właśnie od kilku dni znajduję się w trudnych warunkach... Na szczęście przysłano mi z domu pięćdziesiąt rubli...

— Wybornie! — przerywa mu Robek, biorąc awizacją do ręki. — Należy mi się od pana trzydzieści i dwa ruble... Dłużej przecie czekać nie mogę, ani narażać się na tytuł chłystka... Jak mi pan zwróci należność, ja panu oddam podpisaną awizacją...

Młodzieniec trochę pobladł.

— Pan gospodarz — rzekł poważnie — zapomniał o naszej umowie?... Przecież miałem wówczas dopiero oddać za lokal, kiedy skończę moją sonatę...

— Którą pan zaczyna od czterech miesięcy i dwóch dni? — wtrącił gniewnie Robek.

— Napisałem już więcej niż połowę, lecz wcale nie z mojej winy nie mogę jej ukończyć...

— He?... — zdziwił się gospodarz. — Więc z mojej?... — Tego nie mówię, ale od czasu jak okna otwieram, ani grać, ani pisać nie mogę z powodu hałasu.

— Co?... hałas?... w moim domu?... — pyta Robek tknięty do żywego.

— Przecież mieszkam w pańskim domu...

— Panie Wioliński! — krzyknął Robek — ja tu zgorą pięćdziesiąt lat siedzę i żadnych hałasów nie słyszę... Chyba brzęk muchy, albo skrzypienie własnych butów nazywasz pan hałasem... Tu cicho

jak w niebie, panie Wioliński!...

— Czy nawet i teraz?...

— Tak zawsze cicho jak teraz! Mak siał...

— Niechże więc pan posłucha, co się dzieje — odparł niewypłacalny autor sonaty, wskazując na okno.

Robek nadstawił ucha.

— Nie słyszę nic! — rzekł stanowczo.

— Jakto, więc nie słyszy pan tej przeraźliwej harmonijki?

— A... No, to żaden hałas, on tak gra po całych dniach...

— Widzi pan! — przerwał triumfująco Wioliński. Istotnie harmonijka grała tak zawzięcie, że aż się płakać chciało.

Robek otworzył lufcik.

— Kości kupuję!... Kości!... — doleciał głos z podwórza.

— A co?... czy spokojny dom?... — pytał Wioliński, podkręcając wąsika.

— Cicho, ty hultaju! — wrzasnął Robek na chłopca. — Piotrze! — zawołał stróża. — Jak mi ten łotr kwiknie kiedy na swojej harmonji, to mu ją o łeb rozbiję...

Harmonijka, stęknawszy żałośnie — umilkła.

— Jezus! Marja! — odezwał się w podwórzu głos niewieści. — Chłopak już z kwartał gra i nawet ładnie się poduczył, a gospodarz dopiero mu dziś zabrania...

Robek był ciężko zmartwiony i mówił, nie patrząc na młodzika.

— Złej tanecznicy i fartuch zawadzi! Ale mniejsza o to... Jak mi zdrowie miłe, nie zważałem na harmonijkę... Odtąd będzie już pan miał spokój jak w grobie, jak w klasztorze... Choć swoją drogą nie wierzę, abyś pan za życia skończył ową sonatę, czy jak tam...

Lekceważenie jego genjuszu ubodło Wiolińskiego.

— Panie! — rzekł — słowo honoru daję, żebym ją ukończył, gdybym znalazł chociaż godzinę ciszy...

Robek obu pięściami w stół uderzył:

— Co?... — zawołał. — Godzinę ciszy w moim domu?... Lata całe... wieki, panie Wioliński, ciszy... Głową ręcę!...

— Słyszałeś ty coś podobnego?... — zapytał nagle majora.

Major wyciągnął szyję, co widać nie musiało być dobrym znakiem, bo gospodarz spuścił nagle z tonu i rzekł:

— Aha!... panowie się nie znają? Przepraszam! Pan Wioliński — major Rombalski... Godzinę ciszy!... W moim domu!...

Młodzik Ukłonił się, major podniósł brwi.

— Pan Woliński? — powtórzył zamyślony major. — Woliński?... Znałem pańskiego dziadka. Kula urwała mu nogę. Skonał na moich rękach. Dziecko prawie... miał szesnaście lat!...

— W takim razie nie mógł być moim dziadkiem — odparł Wioliński.

Major uważnie popatrzył na niego.

— A prawda — rzekł — co za nieuwaga!... On miał lat szesnaście, a panu idzie już chyba pod trzydziestkę... Z którychże pan Wolińskich?...

Argumentacja majora o tyle mętna, o ile niewczesna, irytowała Robka, który rzekł:

— Widzisz Ignasiu, nieboszczyk, mając lat szesnaście, nie mógł mieć syna, a zresztą to nie pan Woliński, tylko — Wioliński!... Nazwisko pochodzi od nut, co to wiesz: jedna jest bas, a druga wiolin. Komponuje też kawałki muzyczne i mówi, że w moim domu nie znajdzie godziny ciszy...

— Słowo honoru, że tak!... — wtrącił młodzik.

— A ja słowo honoru daję, że w moim domu znajdziesz pan tysiąc... milion lat ciszy!... — krzyczał zaperzony Robek. Major podniósł rękę.

— Ależ panowie!... — rzekł.

— Uspokój się!... — przerwał strwożony Robek. — Powiedz, czego chcesz?... tylko się nie unoś... Nie warto!...

Wioliński patrzył na nich jak na warjatów.

— Ależ panowie! — mówił major — nie szafujcie honorem o byle głupstwo, tylko załóżcie się, jak ludzie poważni...

— Trzymam! — krzyknął Robek. — Jeżeli pan Wioliński nie znajdzie u mnie... no... całej doby ciszy, to mi przepadnie u niego czynsz półroczny.

— A jeżeli znajdzie? — spytał major.

— To mu nie oddam jego awizacji i sam odbiorę pieniądze! — odparł kipiący Robek.

Podali sobie ręce, śmiejąc się: Wioliński wesoło, Robek szyderczo. Major przeciął.

— Wypłata natychmiast! — rzekł major.

— To zależy od umowy — odparł młodzik, którego tknął jakiś niepokój na myśl o stracie pięćdziesięciu rubli.

— Hę?... — spytał major, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Ależ tak!... tak będzie, jak mówisz!... — przerwał Robek, ciągnąc Wiolińskiego do dalszych pokoi.

— Mój panie! — rzekł do artysty, gdy zostali sami. — Pan mi coś bardzo lekko traktujesz majora?

— Cóż znowu?...

— Rozumie się!... Pan rozmawiasz z nim jakby oto z pierwszym lepszym... Przerwywasz mu pan, odpowiadasz z drwinami... Pan się narażasz!

— Jakim sposobem i wobec kogo? — spytał zdziwiony Wioliński.

— Mówmy ciszej! — rzekł Robek. — Wobec niego... To straszny człowiek...

— On?... Ten stary safandula?... Robek zasłonił uszy.

— Nic mnie to nie obchodzi — rzekł gwałtownie — jeżeli pana nieszczęście spotka... byle nie w moim domu. Na ulicy możesz mu pan zrobić grymas, skoro panu życie zbrzydło, ale tu ostrzegam, że Rombalski jest największy pasjonat, jakiego ziemia nosi...

siĘ On?...

— To — powiadam panu — wściekły... wściekły krokodyl!... Mnie całe życie schodzi na tem, ażeby go ułagodzić!... U niego, panie, zabić człowieka to... fu!... tyle co świecę objaśnić! Był na wojnie, a co trupem położył, Bogu tylko wiadomo!

Takie wmawianie krwiożerstwa i pasji w człowieka spokojnego wydawało się artyście dosyć nienaturalnem. Ponieważ jednak był arcypojednawczych usposobień, postanowił zatem nie narażać się i obserwować gwałtownego majora. Zawszeć to okaz niepowszedni!

— Cóż, układacie panowie warunki? — spytał major, wchodząc do ich pokoju.

— Właśnie! właśnie!... Pan Wioliński będzie komponował tu, u mnie, natychmiast. Fortepian jest, niedawno nastrojony... Godzinę ciszy także znajdziemy, w moim... hałaśliwym domu!

— Więc zaczynamy zaraz? — spytał major uroczyście. — Ależ moi panowie, to jest niemożliwe — rzekł artysta. — Natchnienie nie przychodzi na zawołanie...

— Cisza w moim hałaśliwym domu także nie przychodzi na zawołanie — odparł zgryźliwie Robek. — Otóż ja panu obstaluję ciszę, a pan niech sobie obstaluje natchnienie. Jedno warte

drugiego.

— Niesłychana rzecz! — szepnął Wioliński.

— Panie! zakład święta rzecz! — wtrącił major, podnosząc brwi.

Teraz dopiero młody kompozytor spostrzegł, że wogóle łagodna fizjognomja Rombalskiego wydaje się złowrogą. Jego spokój i dobroduszość były widocznie maską okrywającą wulkan...

— Jakże, panowie, więc ja już nie mam prawa wychodzić stąd?...

— A tak! — rzekł major.

— No, niby można będzie na parę godzin — wtrącił Robek. — Ponieważ jednak tak niewiele brakuje panu do ukończenia sonaty...

— Rundele... pobielam!... — odezwał się głos za oknem.

— Ha! trudno — rzekł, usłyszawszy to, Wioliński. — Siadam do fortepianu, ale jeżeli nie będę miał godziny spokoju...

— Robek daruje panu czynsz półroczny — zakończył major.

Gospodarz uśmiechnął się gorzko, nie dlatego, aby wątpił o wygraniu zakładu, lecz z powodu bezczelnej rezygnacji Wiolińskiego, która uwłaczała domowi i świadczyła jak najgorzej o umyśle i sercu młodego człowieka.

„Co za upór! — pomyślał Robek. — Pięćdziesiąt lat mieszkam tu, a on chce mi dowieść, że niema godziny spokojnej. Pod mojem okiem i wobec mojej sprężystości!”

Wioliński siadł przy fortepianie, a major spojrział na zegarek. W tej chwili było istotnie cicho.

— Słysząc, jak leci mucha w trzecim pokoju! Uważasz? — spytał Robek majora.

— Cicho! — rzekł Rombalski.

— Jakto, więc mówić nie można?

— Pst!...

Muzyk uderzył parę akordów.

— Sonata! — rzekł Robek, trącając Rombalskiego.

— Zakład — szepnął major. Ruchliwy gospodarz począł się krzywić.

— Może w szachy zagramy? — spytał.

— Tylko w szachy!

Sprowadzili przybory, usiedli i otoczyli się kłębamii dymu. Po kilku minutach gry, major wziął Robkowi laufra.

— Co to jest? — zawołał gospodarz.

— Strzelec wzięty! — odparł chłodno major.

Robek umilkł, lecz chcąc ulżyć swemu oburzeniu, począł walić o szachownicę pionami tak gwałtownie, że Wioliński wstał od fortepianu.

— Czy to już godzina? — zapytał Robka.

— Albo co?

— Ciszey niema! — odparł z uśmiechem muzyk.

— A niech was tu! — krzyknął gospodarz, przewracając szachy. — Pan nawet posuwanie chłopków nazywasz hałasem...

— Ma racją! — odezwał się major — ale ty nie masz racji figur przewracać... To szykana!...

— Naturalnie, że nas pan Wioliński szykanuje! — dodał prędko Robek. — Przepraszam cię, mój majorze, i — jeżeli pozwolisz, wynieśmy się stąd do drugiego pokoju.

W awanturze tej major zachował się z taką godnością i spokojem, że Wioliński nie wiedział, co podziwiać: czy nieprzyzwoity czyn gospodarza domu, czy umiejętność panowania nad sobą w strasznym majorze.

— Liczymy godziny na nowo — odezwał się major. — Jest siedem minut po czwartej. Niech pan gra swoje, a cisza już będzie.

Robek sapał ze złości.

Wioliński zaczął swoją kompozycją i prawie w tej samej chwili melodjom jego odpowiedział fortepian na górze, wygrywający gamy.

— No, panie! to już jest najgorsze, co artystę spotkać może — rzekł Wioliński, opuszczając ręce. — Tam zaczęli, jak słyszę, lekcją muzyki, odłóżmy więc nasz zakład na kiedy indziej.

Uwaga była tak słuszna, gamy na górze rozlegały się tak wyraźnie, że Robek nie wiedział już, co ma odpowiedzieć. Zerwał się więc z krzesła, chwilę powstał w miejscu, a następnie pędem pobiegł na górę.

W kilkanaście sekund po jego wyjściu fortepian nagle ucichł. Natomiast rozległ się szelest kroków, przesuwanie krzesel... Gdy Robek wrócił, był siny jak śliwka.

— Niech pioruny wszystko zapalą!... — mruknął, upadając na fotel. — Teraz już będzie cicho!

— Liczymy na nowo — rzekł major. — Piętnaście minut po czwartej.

— Panie Robek, ja cofam zakład — odezwał się Wioliński. — Nie chcę być powodem do awantur i zadowolnię się najzupełniej, gdy pana przekonam...

— Nie przekonasz mnie pan! — krzyczał Robek. — Ja pięćdziesiąt lat tu mieszkam, a dopiero z ust pańskich słyszę podobne impertynencje o moim domu!... Dla mnie honor droższy jest aniżeli komorne i ci tylko, którzy mają inne o tym przedmiocie opinie, mogą zrywać zakłady... Ja trzymam dalej!

— Siedemnaście minut po czwartej — wtrącił major.

Nie było rady. Wioliński już zły usiadł do fortepianu i począł znowu grać, myśląc o tem tylko, aby mu jak najrychlej przerwano.

Na wieki pozostanie tajemnicą okoliczność, dlaczego panna Helena, która dobrze знаła Wiolińskiego, nie ukazała się dotychczas, pomimo hałasów, jakie się w domu odbywały. Ze wstydem wyznać musimy, że i młody kompozytor, znalazłszy się skutkiem zakładu w dość wyjątkowym położeniu, także zapomniał o niej, choć była wcale ładną.

Grał tylko jak za pańszczyzną, błagając nieba, aby się sprawa rozstrzygnęła rychlej i na jego korzyść.

Lecz w chwili, gdy był w największym ferworze i ze świeżo nastrojonego fortepianu wydobywał dźwięki, które goryczą napępiały serce oszczędnego Robka, do sali weszła Helenka w stroju świątecznym, z różą we włosach i kokardą na szyi.

Ujrzawszy ją, elegancki muzyk zerwał się na równe nogi.

— Nie uwierzy pani — zawołał — jaki oryginalny zakład zrobiliśmy z szanownym papą.

— Graj pan! graj pan!... — krzyknął Robek, prowadząc go do fortepianu.

— Co to znaczy? — spytała zdziwiona Helenka.

— Nie pytaj się!... nie przeszkadzaj panu Wiolińskiemu!... — mówił ojciec.

— Ależ to żadna przeszkoda! — wtrącił błagalnie o tyle genialny, o ile rycerski kompozytor.

— Owszem — przeszkoda!... Pan potrzebujesz ciszy do ukończenia tej tam swojej sonaty. Komponuj pan! komponuj!...

Wioliński usiadł z grymasem przy fortepianie, a panna Helena na fotelu, spoglądała ona kolejno na wszystkich, odgadując, że w farsie tej musi być coś poważnego, jeżeli się do niej major wmieszał.

— Co to znaczy majorze? — spytała.

— Zakład!... — odparł Rombalski, podnosząc brwi i rękę.

— Nie z mojej winy, jak honor kocham! — odezwał się Wioliński, znowu wstając.

— Siadaj pan i graj!... — krzyczał Robek. — W moim domu jest cisza... Korzystaj pan z niej!...

— Niechże mi tatko wytłomaczy... — rzekła Helena.

— Ja pani wszystko wytłomaczę! — pochwycił Wioliński. Robek już kipiał.

— Kochana Helenko — rzekł, z trudnością hamując się — nie mów nic, a najlepiej idź sobie...

Helenka zaczerwieniła się, a major i muzyk zrobili miny stanowczo potępiające niedelikatność Robka. Stary zmiarkował się.

— Idź!... — mówił — do miasta!...

— Po cóż ja pójdę do miasta? — zapytała Helenka, ledwie powstrzymując łzy.

Robek był zgnębiony, zresztą zanadto kochał córkę, aby nie czuł tego, że wyrządził jej przykrość.

— Idź do miasta — mówił, namyślając się — i... kup sobie... Czy ja wiem co? Aha! kup kretonu na suknię, o której mi mówiłaś...

I drżącymi rękoma wydobył pieniądze z wielkiego pugilaresu. Łzy Helenki cofnęły się gdzieś bardzo daleko, a miejsce ich zajął wesoły uśmiech.

— Ach! jeżeli takie zakłady robicie panowie, to bardzo dobrze!... — zawołała, całując ojca w rękę.

— Ale idź i nie przeszkadzaj panu Wiolińskiemu — rzekł ojciec.

— Nie panie! — odezwał się Wioliński — ja w takich warunkach nic nie zrobię. Natchnienie mnie odbiegło...

— Wiem, z winy Helenki!

— Uchowaj Boże! Panna Helena wcale mi nie przeszkadzała, ale kiedy się pan zaczął gniewać...

— Basta! — przerwał major. — Ponieważ on się gniewał, więc liczymy na nowo. Minuta po wpół do piątej!...

— Na nowo!... na nowo!... — krzyczał Robek. — Pokażę panu, że w moim domu jest cicho i że kto ma ochotę, może nietylko komponować, ale nawet płacić za lokale...

— Piasku białego wiślanego!... piasku!... piasku!... — doleciał piskliwy głos z podwórza.

— Ma pan ciszę! — rzekł Wioliński. Robek skoczył do okna.

— Precz stąd, hultaju! — krzyknął na piaskarza. — Kości ci pogruhoczę.

— Prędzej się panu sadło rozleje! — odparł hardy łobuz. — Kryminalisto!... ja ci dam!... — wrzeszczał Robek. —

Strózu!... Piotrze!...

Chłopiec uciekł, obrzucając klątwami podwórze.

— Ha, łajdak! — westchnął nieszczęśliwy gospodarz. — Już on tu więcej nie przyjdzie. Komponuj pan, panie Wioliński... Jazda!...

— Pięć minut po wpół do piątej! — rzekł major; — Dokądże to będzie trwało? — spytał Wioliński.

— Do śmierci, panie!... Cisza do końca świata! — odparł Robek.

— Ale kiedyż się zacznie?

— Już się zaczęła.

Istotnie na ganku drugiego piętra zaczęła się... kłótnia między praczką i służącą.

— To nasz sznur! — krzyczała jedna. — Kupiłam go w maju, był nowy, taki sam... Dwa razy przechodził przez górę...

— A ten i razu nie przejdzie! Co mi tu pani będzie złodziejstwo zadawać?...

— Nie przejdzie, boś go pani napół rozcięła...

— Więc ja pani ukradłam?... O, żeby mnie i panią nagła śmierć... jeżeli to prawda!...

— Głupiaś pani! Żeby panią za każdy statek ukradziony śmierć spotykała, tobyś już na drugi dzień

po urodzeniu smołę gorącą chlała w piekle!...

Baby krzyczały tak, że aż się dom trząsał.

— Cicho tam... — wrzasnął Robek przez okno.

Baby nie zważały na niego, prowadząc dalej swoje. Wówczas zdesperowany gospodarz wybiegł z pokoju i podążył na górę.

Wkrótce po jego wyjściu usłyszano krzyk jeszcze większy, a potem gwałtowne zatraskiwanie drzwi i zamków. Niebawem Robek wrócił zirytowany jak Belzebub.

— Graj pan, panie Wioliński!... teraz już jest cisza!... — wołał nieugięty gospodarz.

Major podniósł brwi.

— Kochany Józiu!... — rzekł.

— Kochany Ignasiu!... — przerwał Robek — tylko się nie irytuj. Jak cię poważam, niema o co!

— Ależ ja się nie irytuję...

— Uspokój się... panuj nad sobą!... — błagał Robek.

— Chcę ci coś powiedzieć...

— Dobrze, ale później!... Teraz ochłoń trochę... Major jeszcze raz ruszył brwiami i usiadł.

— Graj pan! — szepnął Robek do Wiolińskiego — bo major wściekły... Ledwie go powstrzymać można od wybuchu!

Znakomitemu kompozytorowi przyszła na myśl historia doktora, który dostawszy się między warjatów, miał być przez nich w kapuśniaku ugotowany. Już nieustanne paroksyzmy Robka dokuczyły mu, cóż dopiero będzie, gdy wybuchnie major, ten człowiek, przed którym drżał sam impetyczny gospodarz?

Położenie Wiolińskiego było, jeżeli nie tragiczne, to przynajmniej melodramatyczne. Mimowoli nastroił się na ton bardzo poważny i począł komponować swoją własną, oryginalną elegję, w której znajdowały się najbardziej melancholiczne ustępy z najsmutniejszych marszów pogrzebowych.

Wtem — na podwórzu odezwała się katarynka i poczęła piłować znaną arją z „Pocztyljona z Longjumau.” Wioliński, który ją słyszał codzień po całej godzinie i pamiętał wszystkie kiksy schorzałej katarynki, aż zzieleniał i wstał od fortepianu.

Jednocześnie poskoczył do okna Rąbek.

— Strózu!... Piotrze!... chodź tu zaraz na górę.

— Józiu!... — zaczął major, biorąc go za rękę.

— Ignasiu!... Ignasiu!... — przerwał mu Robek. — Tylko nie gorączkuj się, proszę cię...

— Pozwól, że ci powiem kilka słów... — ciągnął major. — Owszem — tylko się nie irytuj.

— Przecież jestem, jak widzisz, spokojny.

— Tak!... tak!... ale zawsze trochę poirytowany. Odpocznij, ochłoń... Jak Helenkę kocham, sprawa nie warta twego zdrowia! — tłumaczył mu Robek.

Wszedł stróż.

— Słuchaj-no ty stary cymbale!... — zawołał siniejac gospodarz.

— Józiu! pozwól, abym ja z nim pogadał! — odezwał się major, podnosząc brwi.

— Zaklinam cię, daj pokój! — błagał Robek. — Słuchaj! — rzekł do stróża — stój mi w bramie jak słupek i pilnuj, ażeby nie wszedł na podwórze żaden kataryniarz, piaskarz, rondlarz...

— Drutował!... drutował!... — zawołano na podwórzu. Jednocześnie katarynka grała wyjątek z „Violetty.”

— Jeżeli mi wejdzie który do wieczora i wrzaśnie albo zagra, jak ci oto hultaje, co się teraz draż za oknem, to cię ze służby wygonię...

— To już nikogo nie puszczać do kamienicy? — spytał przerażony stróż.

— Wszystkich — z wyjątkiem tych, co krzyki wyrabiają. Machaj!...

Stróż zbiegł ze schodów z łoskotem toczącej się beczki cukru. Naklął kataryniarzowi, to samo druciarzowi i obu wyгнаł na ulicę. Nastala niezamącona cisza.

— Panie Wioliński!... — odezwał się major, wlepiając okrągłe oczy w muzyka.

— Ignasiu! — krzyknął Robek — uspokój się!... — Ależ Józiu! pozwól, niechże ja się choć raz odezwę w tej sprawie... — prosił major.

— Jeżeli mi dobrze życzysz, pohamuj się!

— Ha! — rzekł major — czekajmy końca...

W tej chwili wszedł jakiś nieznany mężczyzna w średnim wieku z postacią okazałą i dumną.

— Co to znaczy, panie Robek — rzekł przybyły z gniewem — że mi pan dom nachodzi?...

Powiedziano mi, żeś pan mojej córce grać zabronił?...

— Panie... — zaczął major, występując na środek.

— Ignasiu, pozwól!... — przerwał Robek.

— Czego ty mi ciągle głos odbierasz? — zapytał major.

— Wytłomaczę ci się później, mój drogi. Pomoc takiego jak ty człowieka jest zawsze szanowną, lecz odwoływać się do niej nie mam jeszcze prawą — mówił Robek. — Panie! — zwrócił się do gościa — prosiłem córki, aby godzinę nie grała, ponieważ...

— Czy może kto chory?

— Wszyscy zdrowi są, panie, ale wypadła tego rodzaju okoliczność, ztem musiał prosić.

— Pan jesteś impertynent...

— Coto, panie?... pan mi uwagi robi w moim domu?

— Józiu! — zawołał major, bystro patrząc na Robka.

— Przepraszam cię!... — przerwał gospodarz. — Objaśnię to panu później ' pÔ rzekł do gościa

— lecz teraz proszę, aby nas pan na godzinę w spokoju zostawił.

— Jeżeli pan nie masz gorączki — rzekł gość — to załatwię z panem rachunki na innej drodze.

Tymczasem oświadczam, że w domu pańskim dłużej mieszkać nie będę i żądam, abyś najdalej za pół godziny moją żonę i córkę przeprosił.

Gość wyszedł, nie ukłoniwszy się nawet.

— Feralny dzień! — mówił Robek — ale go przepnę i przekonam was, że nawet dziś, w tak wyjątkowych okolicznościach, musi się znaleźć godzina ciszy. Ciszy takiej jak zawsze!

— Piąta! — rzekł major.

— Graj pan, panie Wioliński...

Znakomity artysta był obecnie w takim nastroju ducha, że aczkolwiek potrzebował pieniędzy i miał wszelką pewność wygranej, mimo to czuł nieprzewartą chęć do wycofania się ze sprawy. Rzecz zaczęła się od wesołej farsy, lecz dzięki uporowi i gwałtowności Robka, z każdą chwilą stawała się nieznośniejszą, a nawet niebezpieczną.

— Graj pan! graj! — powtarzał Robek.

— Nie, panie, grać już stanowczo nie będę — odparł Wioliński — i obecnie proszę pana o uwolnienie.

— O nie, panie! pierwej przekonasz się, że w domu moim można znaleźć godzinę ciszy.

— Ależ panie, ja tu już siedzę blisko godzinę i radbym wkońcu doczekać jakiegoś ściśle określonego terminu. Inaczej owa godzina przeciągnie się do nieskończoności.

Robek stropił się.

— Jeżeli pan — prawil dalej muzyk — koniecznie chce utrzymać zakład, z którego ja radbym się już wycofać, w takim razie czekam najdłużej do szóstej. Do tego czasu mogę nam przerywać, ale

potem — daruje pan...

— Racja! racja! — rzekł major — chociaż gdybyś Józefie chciał posłuchać mnie...

— Mój drogi — przerwał Robek — zgadzam się na wszystko, lecz proszę cię, abyś się wmieszał do sprawy dopiero wówczas, gdy ja sam tego zażadam. W tak wyjątkowych warunkach nadmiar gwałtowności może nas zaprowadzić zbyt daleko. O!... lepiej posłuchaj, jaka teraz cisza!... Masz pan, panie Wioliński, sam się przekonaj...

Z podwórza zawołano: — Panie gospodarzu!... panie Robek!... — Czego chcecie u diabła? — spytał Robek, wytykając głowę oknem.

— Piotr stoi w bramie i okrutnie woła pana do siebie... Mówi, że mu pan nie kazał odchodzić...

— No, no! niech przyjdzie... Co to może być?... Wezwany stróż ukazał się na podwórzu z miną wielce przestraszoną.

— Panie mój — wołał do okna — czy pan kazał komu wynieść rzeczy od siebie?... Bo tu jakiś szedł z dużym zawiniątkiem i mówił, że pan mu kazał... Chciałem pogonić, bo mi się nie widziało, ale uciekł, a ja od bramy odejść nie mogłem...

Major już był w przedpokoju, za nim podążył Wioliński.

— Mój paletot ukradli!... — krzyknął artysta.

— I mój!... — powtórzył major.

— Co wy mówicie? — jęknął Robek. — O hultaj stróż!... Do przedpokoju wbiegła zapłakana Helenka.

— Ach, tatku, zgubiłam mój kreton! — zawołała, wybuchając płaczem.

— Co mi tam kreton!... Tu nas okradli... Goń złodzieja, Piotrze!...

Wioliński pocwałował na ulicę.

— Kupiłam kreton — opowiadała Helenka — i ledwie wyszła ze sklepu, jakiś niegodziwiec zaczepił mnie...

— A kajdaniarz! — mruknął major, myśląc o swoim paletocie.

— Pan Robek w domu? — zapytał ktoś w sieni.

— Jestem! jestem!... Uspokój się, majorze, przyszedł rewirowy... Pewnie złodzieja złapano...

— Ja taka przestraszona szłam i w drodze widać wysunął mi się pakiet — mówiła Helenka.

— Chwała Bogu! — rzekł major, patrząc na rewirowego.

— Cóż, złapał pan złodzieja? — pytał niecierpliwy Robek urzędnika władzy policyjnej.

— Ja o żadnym złodzieju nie wiem — odparł rewirowy. — Ale pan zamknął na strychu jakieś dwie baby, które wytknęły głowy przez dymniki i krzyczą tak, że się na całej ulicy rozlega.

Robek schwyił się za głowę.

— A niechże cię!... na śmierć zapomniałem... I pobiegł z rewirowym na górę.

W sieni wyminął się ze służącym lokatora z drugiego piętra, który niósł jakąś kartkę. Helenka, usłyszawszy, że odpowiedź ma być natychmiast, rozwinęła ją i przeczytała:

Wielmożny Józef Robek. Jeżeli pan w tej chwili nie przeprosisz mojej żony i córki, w takim razie za godzinę przyszlę sekundantów.

Herkules Dyndalski.

— Majorze, co to jest? — spytała przerażona Helenka.

— Aj! nic!... głupstwo!... — odparł zakłopotany major. — Józef robi awanturę po awanturze... Zabronił tej pannie grać, źle przyjął jej ojca, no i teraz...

— Teraz tatko musi się pojedynkować? O Boże?... Tatku! — zawołała do wchodzącego Robka — tatko nie będzie się pojedynkował, ja nie chcę, ja umrę!...

W przedpokoju ukazały się dwie baby, krzyczące jedna przez drugą:

— To tak!... to porządne panowie będą teraz uczciwe kobiety na strychu zamykali jak złodziei?... Dobrze!... pójdziemy do sądu...

Robek upadł na fotel i schwycił się za głowę. Płacząca Helenka uklęknęła przed nim i mówiła:

— Tato nie będzie się pojedynkował!... O Boże!... czyż podobna pojedynkować się w tym wieku!...

— Co ty mówisz?... Z kim ja się mam pojedynkować? — pytał nieszczęsny Robek.

Helenka podała mu kartkę.

— O, pójdziemy do sądu! — krzyczała jedna z bab. — To nie te dziś czasy, mój panie, żeby ci co mają kamienice więzili ludzi niewinnych!...

Szczęściem dalszy wylew elokwencji przerwał Wioliński, który wróciwszy z niefortunnej pogoni za złodziejem, przy pomocy rewirowego wyrzucił obie damy z przedpokoju.

— Cóż? — spytał major artysty.

— Ani śladu! przepadł jak kamień w wodzie z naszymi paletotami! — odparł Wioliński.

Robek w tej chwili zerwał się z fotelu. — Tatku!... ojczy!... — błagała Helenka — tatko nie będzie się pojedynkował.

I mówiąc to, całowała ojca po rękach.

— Za pozwoleniem! — odezwał się major — dajcież mnie choć teraz przemówić...

— Mów, rób co chcesz!... — krzyknął Robek. — Nie będę cię już powstrzymywał... siły mi już nie starczą do oganiania się przed tą całą zgrają i do hamowania ciebie...

— Mój kochany! — zaczął major — pozwól sobie przede wszystkim powiedzieć, że kwasu tego narobiła twoja gwałtowność. Dziwię się, że człowiek w takim wieku może dopuszczać się podobnych wybryków i ostrzegam cię, że jeżeli się nie pohamujesz...

— Ja mam się hamować, ja? — pytał Robek. — I ty mi to mówisz?...

— Czy nie mam prawa?

— Rozumie się, że nie masz... Ja ani na chwilę nie straciłem zimnej krwi i o tem tylko myślałem, ażeby ciebie od awantury powstrzymać...

— Ty mnie? — pytał zdziwiony major.

— Jeżeli nie wierzysz mi, to pytaj Helenki, pytaj pana Wiolińskiego... Oni widzieli, jak pracowałem nad tem, aby cię powstrzymać od dzikiego wybuchu...

— Mnie?...

— Naturalnie! Ile razy dostrzegłem w tobie cechy zbliżającej się pasji, prosiłem, błagałem cię, uspakajałem...

— Ależ człowieku, tyś mi mówić zabraniał!...

— To! to... właśnie!... — krzyknął Robek. — Wybuchnąć ci zabraniałem.

— Powiadam ci, żeś mi mówić zabraniał i wyszedłeś na tem najgorzej.

— Jakim sposobem?

— Takim — odparł major — że ja, widząc na co się zanosi, chciałem ci zaproponować, abyś nie posuwając rzeczy do ostateczności, uznał zakład za przegrany. Ale ty me dałeś mi przyjść do słowa!...

Robek załamał ręce.

— Mój kochany majorze, ty siebie nie znasz... Najlepiej więc zapytaj pana Wiolińskiego, jaką miałe... minę, kiedym cię reflektował?

— W istocie — odezwał się Wioliński — pan major miał taką minę, jakby chciał reflektować pana, panie Robek...

— Mnie?...z jakiej racji?

— Z takiej, że pan ciągle kipiął gniewem...

— To nie ja!... to major!... On nieustannie kipi... Ja mam zimną krew, umiem panować nad sobą...

Niech Helenka powie.

— Ja już tatkowi nieraz mówiłam, że pan major jest łagodny, a tatko pasjonat...

— Ja pasjonat? Przy moim takcie, przy mojem umiarkowaniu?... Jestem trochę żywy, to prawda, ale nigdy nie przejdę pewnej granicy.

Major wzruszył ramionami.

— No, kochany Józiu — rzekł — pozwól, abym poszedł w twojem imieniu do Dyndalskiego, boć przecie z nim trzeba skończyć...

— Ach! panie majorze, tylko żeby pojedynku nie było! — prosiła go Helenka, składając ręce.

— Idź! idź!... kiedy chcesz — odparł Robek. — Zobaczmy zaraz twoją zimną krew.

Gdy major wyszedł, Robek rzekł do Wiolińskiego.

— Mój panie! przegrałem zakład i mnóstwo rozmaitych strat poniosłem, ale żadna mnie tak nie boli, jak upór majora. Człowiek ten nie zna siebie i przed wszystkimi rozgaduje, że ja złośnik, a on musi moje głupstwa odrabiać... Głupstwa!... No — a przysięgam wam, że gdybym ja go nie hamował, już do tej pory albo by nie żył, albo... miałby mnóstwo procesów kryminalnych. Tylko mu naturalnie nie powtarzajcie tego. Wolę ja w jego oczach uchodzić za półgłówka, aniżeli rozdrażnić go i doprowadzić do wybuchu!

— Bardzo słusznie! bardzo słusznie! — potwierdził Wioliński, który rad był jak najrychlej pożegnać pełnego zimnej krwi Robka i jak najrzadziej przekonywać się o jego niezrównanym takcie.

Major wrócił.

— I cóż?... — spytała Helenka, blednąc.

— No nic! — odparł Rombalski. — Opowiedziałem mu jak było i przeprosiłem za popędliwość Józefa...

— Za moją?... Dobrze, niech i tak będzie! — wtrącił Robek.

— Skończyło się jednak na tem, że Dyndalski mieszkać tu już nie chce.

— Taki dobry lokator! — westchnął Robek.

Gdy major i Wioliński pożegnali stroskaną familją, Robek rzekł do córki:

— Oto masz, co mi narobił ten twój łagodny major! Zmusił mnie do zakładu z tym golcem, niby artystą, któryby nawet fortepianu porządnie nie wyczyścił i — pozbawił mnie najakuratniejszego lokatora. Nie mówię już o tem, że nas okradli, że mogę mieć proces z babami i żeś ty kreton zgubiła...

— Ależ tатku, wszakże major spokojny człowiek. Co on komu złego zrobi, choćby się najbardziej rozgniewał?

— Co mi ta pleciesz, pleciucho?... — krzyknął ojciec, wytupując nogami. — Widziałaś ty jego oczy, hę?...

— To też on tylko oczy i brwi ma straszne, ale się nigdy nie gniewa.

— No, więc powiedz, dziewczyno, gdzie ty masz logikę, gdzie regestr w głowie?... Jeżeli on jest taki straszny nawet wówczas, kiedy się nie gniewa, to jakieżby on był wtedy, gdybym ja go nie pohamował we wściekłości.

Helena nie wiedziała już, co na to odpowiedzieć.

— Tobie się zresztą nie dziwię — mruzczał stary — boś młoda, niedoświadczona. Ale on, on, osiemdziesięcioletni człowiek, także nazywa się spokojnym, a mnie robi gwałtownikiem. Oj! miał świętą racją ten wielki filozof, który powiedział, że poznać siebie trudno!

NORCIO I PLUNIO.

Cóż jest wznioślejszego nad przyjaźń?... Ale przyjaźń prawdziwą, szlachetną, wiekuiącą, przyjaźń nie taką, która się zaczyna przy zupie, a kończy przy lodach składkowego obiadu, ale przyjaźń w poważnych okolicznościach życia zawartą!

Prawdziwy przyjaciel jest zwierciadłem, w którym ze wszelkimi szczegółami odbija się dusza nasza. W przyjacielu widzisz tajemnicze dotychczas wnętrze swojej istoty, jak między dwoma lustrami własny żakiet. On jest otwartą księgą naszych myśli, czynów i upodobań, podczas gdy inni, obojętni ludzie są księgami w grubą skórę oprawnymi i zamkniętymi na kłódki.

Ludzie obojętni, nie widząc cię tydzień, zapominają twego nazwiska, a nawet fizjognomji, choćbyś się ani na jotę nie zmienił. Przyjaciel — pozna cię nawet wówczas, gdy brodę zapuścisz i zamiast wyszarzanych baranków włożysz nową, niedźwiedzią szubę. Gdy cię schwyci za rękę, albo za guzik, robi to tak, jakby cię nie miał zamiaru nigdy puścić. Gdy ci mówi „dzieńdobry,” w przywitaniu tem słyszysz nietylko określenie twojej własnej pomyślności, ale jeszcze — ów bezmiar kłopotów, w jakich on od rana do nocy pozostaje.

Twój przyjaciel jest drugim tobą. On jeden gustuje w twoich cygarach jak ty sam, — kładzie tyle kawałków cukru do herbaty, ile ty sobie kładziesz, a zaproszony na kolację, uprzedzając twoje najskrytsze myśli, sobie częściej dolewa piwa niż tobie, ponieważ tybyś tak zrobił.

Gdy idziesz do teatru, kupuje bilet do tego rzędu krzeseł, w którym ty siedzisz, choć zwykle obiera sobie dalszy kącik.

Jeżeli mu zabraknie pieniędzy, a ty za niego dopłacisz, nie obraża się, ponieważ rało mu jest składać własną ambicją na ołtarzu przyjaźni. Zato w czasie przedstawienia nie patrzy na scenę, tylko w twoje oczy i jak szalony bije brawo aktorce, do której uśmiechasz się w sekrecie.

Spotkawszy cię skrzywionego na ulicy, zgaduje wnet, że cię męczą nagniotki i nie czekając ani chwili, biegnie sam, aby ci kupić, usuwające ból, wełniane krążki. Ale nie waży się wówczas zwracać mu wydanych dziesięciu groszy, zrobisz mu bowiem przykrość i narazisz się na to, że przy pierwszej zaciąganej od ciebie pożyczce — szepnie z stłumioną goryczą:

— Jabym wprawdzie nie powinien prosić cię o pieniądze, bo ty ode mnie nawet krążków na nagniotki przyjmować nie chcesz!

Prawdziwy przyjaciel uszlachetnia cię, uspołecznia, dając ci możność częstego robienia niewielkich wydatków na cele altruistyczne, czyli takie, które nie ciebie i twoją rodzinę, ale jego i jego znajomych mają na celu. Podnosi cię też we własnych oczach, starannie notując w sercu twoje zdawkowe cnoty i nieustannie je przypominając.

Prawdziwy przyjaciel, o ile może, reklamuje cię między ludźmi, sławiąc twój majątek, siły fizyczne, ostre zmysły, dowcip, uczciwość i odwagę. Zdania jego mają tem większą wartość, że widzi on równie jasno twoje drobne wady, którym po największej części winien jest świat, ludzie przewrotni, chwilowa niedyspozycja, uniesienie, lub jakaś inna przyczyna, robiąca nas mniej miłymi dla bliźnich.

Prawdziwy przyjaciel wkońcu gotów jest zawsze oddać ci życie. Nie mówi jednak o tem przez delikatność, ani robi tak — z obawy, aby cię na zatargi z sądami nie narazić.

Prawdziwy przyjaciel jest — wielkiem szczęściem człowieka!...

Pewnego dnia, Norcio, zwykle zgryźliwy, był w wyjątkowo złym humorze. Miał proces z rządcą swoich dóbr, którego nazwał złodziejem. Wypchnięty przez niego za drzwi gospodarz domu

wymówił mu komorne. Ulubiony buldog Kastor wściekł mu się i jakąś babę pokąsał. Nareszcie — lokaj, który służył u niego półtora roku, bez żadnego powodu ukradł mu kilka listów zastawnych i — zginął jak kamień w wodzie.

Norcio był tedy w wyjątkowo złym humorze. Gdy wyszedł na ulicę, zdawało mu się, że dorożki głośniej niż zwykle trajkocą i że przechodzący mają złowrogie fizjognomje. Bruk także był twardszy niż kiedykolwiek, a rynsztoki zamiast nieznośnej, wydawały woń — zabójczą.

Uciekł do Saskiego ogrodu, ale tam męczył go kurz, zawadzał mu kompas, stojący obok wodotrysku, i — zirytował go doreszty — jakiś kantorzysta, oszpecony dziwnie długim nosem.

Norcia ogarnęła rozpacz. Już chciał wybiec z ogrodu i — albo utopić się, albo pojechać do Wiednia, gdy wtem spotkał pewną młodą mężatkę, która zawsze kojący wpływ wywierała na jego rozdrażnienie.

Uklonił się jej i choć czuł lekkie kolki w boku, rzekł z uśmiechem:

— Jak też pani może chodzić po tym prawdziwie zoologicznym ogrodzie?

— Więc po cóż pan tu bywa? — spytała dama, mierząc go od stóp do głów.

— Aha! rozumiem, więc pani zalicza mnie do okazów menażeryjnych?

— No, nie! ale spotkawszy pana w ogrodzie, który nazywasz zoologicznym...

Norcio sapał, czując coraz silniejsze kłócie.

— Co dziś grają w teatrze? — spytała nagle dama.

— Nie czytuję afiszów. Chwila milczenia.

— Gdzie pan wyjeżdża na lato?

— Nigdzie nie wyjeżdżam, a przynajmniej nie myślę o tem.

Dama zauważyła, że się Norciowi humor szybko poprawia.

— Dobrze pan dziś wygląda.

— A prawda! jak dezterter z Powązek — odparł Norcio już wesoło, a potem dodał:

Może pani zje ze mną lodów?

— Mam zwyczaj jadać same lody! — odpowiedziała dama, zarumieniona z oburzenia.

„Czego ona u diabła taka dziś kwaśna?” — pomyślał zaniepokojony Norcio i wnet rzekł głośno:

— W cukierni moglibyśmy się dowiedzieć o tem, co grają...

— Wolę przeczytać afisz.

„Tej kobiecie coś jest — medytował Norcio. — Jeszcze mi nigdy nie odpowiadała tak szorstko.”

— Więc pani będzie dziś w teatrze?

— A pan będzie?

— Ja?... mam zamiar...

— Zatem — ja nie będę.

„Jezus Marja! — dziwił się Norcio w duchu. — Co się jej stało? Przecież nic złego nie zrobiłem?”

— Jakże się miewa szanowny mężulek pani i jej miłe dzieciaczki? — spytał głośno.

— Właśnie mąż czeka na mnie z dziećmi przy głównej bramie — odparła dama i skinąwszy mu nietyle głową, ile raczej powiekami, odeszła w stronę wodotrysku.

Teraz Norcio, zdumiony w najwyższym stopniu, spojrzął po sobie. Zzieleniał i uderzył się w czoło.

Jeden z guzików jego garderoby znajdował się nie na właściwym miejscu!

— Jakież ze mnie bydlę! — mruknął, aż się paru przechodniów obejrzało. — Co za nieuwaga!

Śmiertelnie obraziłem kobietę!

Zdjął kapelusz i pędził jak warjat.

Wpobliżu wód mineralnych ujrzał przed sobą człowieczka pulchnego, miłego, ze sztywnymi wąsikami, pod którymi igrał porcelanowy uśmiech, zakończony wcale ładną hiszpanką.

Na widok uśmiechu w chwili, gdy z powodu mizernego guzika stracił względy damy, Norcio wpadł we wściekłość. Zbliżył się wielkimi krokami do nieznanego i — zdecydowany na najgorszą awanturę, krzyknął groźnie:

— Czego się pan śmiejesz?

Był pewny, że nieznanomy rzuci się na niego.

— Ja panie?... Ja się wcale nie śmieję — odparł nieznanomy z miną słodką jak miód. — Ja wogóle jestem raczej melancholiczny niż wesoły — dodał.

— Kłamiesz pan! — przerwał mu Norcio, z nowym atakiem gniewu.

— Ale jak Boga kocham, mówię prawdę! I nawet powiem panu, że kiedy w naszym kółku mieliśmy urządzić teatr amatorski i grać Hamleta, to wszyscy mnie gwałtem do objęcia tej roli namawiali.

— Więc jeżeli pan nie kłamiesz, to czemu drżysz?

— Ja drzę? — spytał nieznanomy. — Ależ panie, ja nigdy nie drzę.

To mówiąc, drżał jak galareta i uśmiechał się jak cherubin, w jednym z bocznych ołtarzy małomiasteczkowego kościoła.

Norcio patrzył na niego i milczał, nie wiedząc, co teraz powiedzieć.

— Pozwoli pan, abym, korzystając z miłej okazji, przypomniał się...

I uchylając kopelusza, dodał:

— Jestem Placyd Kichalski...

— Ja pana nigdy nie widziałem, nazwiska nie pamiętam... Nie znam pana! — odparł Norcio.

— Ale ja mam przyjemność znać i podziwiać pana oddawna i szczęśliwy jestem, znając znalazłem sposobność do wyrażenia panu tego. Bo ja zawsze sympatyzowałem z panem, jako z jedynym człowiekiem, który posiada samodzielność, oryginalność, energią i odwagę wypowiedzenia swoich przekonań...

W duszy Norcia, gdy słuchał, coś — przewróciło się do góry nogami. Do tej pory ludzie unikali go, przerywali z nim rozmowę i nazywali nieznośnym dziwakiem, jeżeli nie. brutalem. Dziś zaś, po tylu latach, znalazł się wreszcie człowiek, który szuka z nim znajomości i tak trafnie ocenia jego przymioty.

Norcio uczył, że mu serce mięknie.

— Mój panie — rzekł, kładąc ręce pod poły surduta — mówisz mi, że mam odwagę cywilną — to jest prawda, samodzielność — i to prawda, że wkońcu jestem oryginalnym — i to prawda, gdyż nie lubię chodzić śladami głupich...

— Naprzykład na wieczorach u pani Petroneli nigdy pan nie używasz białego krawata, choć wszyscy tak robią, poddając się jej woli — wtrącił szybko Placyd.

— I to prawda! — odpowiedział Norcio. — Ale też i pan wydajesz mi się być oryginalnym... bardzo oryginalnym blagierem!

Pan Placyd roześmiał się na całe gardło.

— Cudownie! jak Boga kocham... — zawołał. — Oto mi się nazywa mówić prawdziwie po męsku! Ale drogi panie Norbercie — omyliłeś się pan. Ja nie jestem blagierem, tylko dobrym chłopcem, który pana poznał i nauczył się oceniać. Racz mi pan podać swoją dzielną rękę!

— A wiesz pan przynajmniej, jak ja się nazywam? — spytał nagle Norcio.

— Jakżebym nie wiedział! Pan Norbert Zgrzytowiec, wnuk generała, historyczne nazwisko! Czy raczysz pan przyjąć papierosa?... Mam prawdziwe hawańskie, w liść owinięte — ciągnął Placyd,

podając Norciowi wielką papierośnicę ze skóry amerykańskiej, zdaleka pachnącej Stanami Zjednoczonymi.

To mówiąc, patrzył mu w oczy wesoło, swemi małemi, pocziwie błyszczącemi oczkami.

Norciowi przypomniał się jego wierny buldog Kastor. Żółciowy bohater nasz mimowoli westchnął i — wziął od Placyda papierosa.

Był zwyciężony, lecz czuł — że znalazł przyjaciela.

Teraz obaj panowie: szczupły Norbert i okrągły Placyd, udali się w jedną z bocznych alei.

Po chwili Norcio rzekł:

— Niezły tytoń. To jak się pan nazywasz, jak?

— Placyd Kichalski do usług. Moi krewni jednak i bliżsi znajomi nazywają mnie Pluniem, tak jak was — Norciem.

To was — rzucone w kilka minut po zaznajomieniu się, niemile tknęło Norcia. Nie oburzył się jednak, pierwszy raz w życiu myśląc o tem, ażeby nie zrobić przykrości bliźniemu.

— Obrzydliwy ogród! — mruknął Norcio.

— Szkaradny! — pochwycił Plunio. — Spójrzysz-no pan na te drzewa, blachą obite, na te ordynaryjne słupy latarniowe.

— Widziałem to nieraz! — przerwał Norcio. — Swoją drogą jednak — dodał po chwili — można i tu niekiedy dobrze czas przepędzić.

— Tak — szczególnie w przyjemnem towarzystwie, to tu jakoś mile czas schodzi. Godziny biegną jak minuty.

— Bywają też i djabelne nudy.

— Ale jakie! — wtrącił Plunio — osobliwie w sobotę, kiedy się Żydzi zbiegną.

— Nie wspominaj mi pan o tych gałganach! Słuchać o nich nie mogę — przerwał Norcio.

— Łotry skończone! Ja, kiedy mówię o nich, to czuję dławienie w gardle — dodał Plunio.

— Chociaż — odezwał się po namyśle Norcio — i między nimi trafiają się ludzie porządni.

— O niewątpliwie! Ja sam znam między Żydami ludzi bardzo comme il faut, z zacnym charakterem.

Norcio musiał przyznać w duchu, że nigdy jeszcze tak miłego towarzysza nie spotkał. Wszyscy jego znajomi spierali się z nim o byle co, na każdym kroku, ten zaś — miał dziwnie zgodne z nim opinie.

To też ku własnemu zdumieniu Norcio rzekł:

— Zjesz pan ze mną lodów?

— Właśnie chciałem wam w tej chwili zaproponować — pochwycił Plunio.

— W tej chwili nie pan mnie, ale ja panu chciałem proponować, ja więc mam pierwszeństwo!... — przerwał mu Norcio dobitnie.

— Ależ naturalnie, rozumie się! — zawołał Plunio. — Zawsze, wszędzie i we wszystkim ustępuję wam pierwszeństwa.

Przy lodach Norcio opowiedział Pluniowi o swoim psie, który mu się wściekł, o lokaju, który go okradł, i o gospodarzu, który mu komorne wymówił. Zakończył zaś tak:

— Chciałbym się z domu tego hultaja natychmiast wyprowadzić, choć to środek kwartału, ale cóż — kiedy nie mam mieszkania!

I posmutniał.

Plunio aż skoczył na krześle.

— W tym domu, gdzie ja mieszkam, jest na pierwszym piętrze pięć pokoi w każdej chwili do wynajęcia.

— Potrzebuję trzech...

— Cudownie! — zawołał Plunio. — Wy weźmiecie trzy, a ja od kwartału dwa.

— Nie lubię, jak mi się kto szwęda po mieszkaniu.

— To też możemy jedne wspólne drzwi zamknąć na klucz. Norcio pomyślał.

— Byłoby to dobrze, ale ja nie lubię przeprowadzki.

— Ja was przeprowadzę! Nie wtrąćcie się do niczego — zawołał Plunio.

— Nie chciałbym też nigdy gadać z gospodarzeni, bo to wszystko błazny.

— Ja za was będę płacił. Norcio znowu zamyślił się.

— Lokaj mnie też strasznie okradał zawsze.

— Mój będzie w a m usługiwał, a nad wydatkami — ja czuwam!

Norcio w tej chwili pomyślał, że nowy przyjaciel będzie go okradać jeszcze lepiej, ale ugryzł się w język. Zresztą pieniądze nie obchodziły go, byle nie miał z nimi kłopotów.

W parę tygodni po opisanych wypadkach, Norcio miał już znakomicie lepszy humor.

Przedewszystkiem zmienił mieszkanie i dostał się pod opiekę Plunia. Z nowym gospodarzem domu nie rozmawiał, a nawet nie widział go; pieniędzy lokajowi nie wydawał, ponieważ Plunio pełnił obowiązki jego kasjera i szafarza. Słowem był spokojniejszy niż zwykle.

Niezależnie od tego Plunio robił mu drobne przyjemności. Na każdą nową sztukę, nie pytając, kupował bilety do teatru, obmyślał spacerów na nieznane ulice, a gdy Norcia w wycieczkach tych nogi zabolowały, umiał zawsze jakby z pod ziemi wydobyć dorożkę. Wystarał mu się też o młodego buldoga i nazwał go Kastorem, co bardzo rozrzewniło Norcia.

Ludzie, którzy jak wiadomo, mocniej interesują się sprawami bliźnich niż swemi, zauważyli w Norciu pewną zmianę na korzyść i przypisali to nie bez racji uszlachetniającemu wpływowi Plunia. Ważniejszym jednak było to, że młoda mężateczka, którą Norcio admirał (i obraził onego czasu w Saskim ogrodzie), zaszczycła go znowu swemi względami. Pod działaniem jej jasnych spojrzeń Norcio mniej kłął, częściej się śmiał i nawet — począł okazywać pewną skłonność do tycia.

Dwaj przyjaciele byli już ze sobą na t y. Norcio nazywał Plunia — Pluniem, a Plunio Norcia — Norciem.

Wkrótce Norcio zapoznał Plunia ze wszystkimi swoimi znajomymi, Plunio zaś wszystkim podobał się i wyrobił sobie jak najlepszą opinią.

Bywało w restauracji jedzą obaj raki. Plunio je i — wedle zasad przyzwoitości — palce oblizuje, a Norcio złości się.

— Garson! jakież mi to u diabła raki podał? To zepsute kocie mięso w zeszłorocznych skorupach!

— Kochany Norciu, uspokój się... — mitygował go Plunio.

— Ależ jaśnie panie, to są świeże raki. Pływałyby, gdyby je w wodę włożyć — tłumaczy się garson.

— Błazen jesteś ze swojemi conceptami — krzyczał Norcio. — Nie służysz tu dla conceptów, ale dlatego, ażebyś wypełniał rozkazy gości.

— Drogi Norciu, uspokój się... — błagał Plunio.

— Cicho bądź, bo i tobie głupstwo powiem! Garson mocno urażony odchodził i mówił w kuchni:

— Ten Kichalski to porządny pan, ale ten złodziej Zgrzytowicz to czysta bolączka. Jabym wolał cholere angielską widzieć aniżeli jego!

Innego dnia poszli razem do krawca, u którego Norcio obstałował sobie wykwinne sakpalto. Była to rzecz kosztowna i ładna, Norcio przecie ledwie ją przymierzył, wpadł w gniew:

— Co to za worek? — krzyczał. — W pachach ciasny, pod kołnierzem marszczy się. Taki strój

może być dobry dla charcików angielskich, ale nie dla ludzi.

— Pan baron grymasi — odparł krawiec, który Norcia zawsze tytułował baronem. — Choćbym nawet chciał panu baronowi poprawić, to nie mogę, gdyż leży wybornie.

— Istotnie tak jest! — wtrącił Plunio. Norcio zaczął sapać.

— Płacę panu dobrze — mówił do krawca — i zawsze zgóry, a pan zawsze robisz mi paskudztwo. To jest szwindel panie, nie handel. Ja w tem chodzić nie będę...

— Owszem — przerwał krawiec — zrobię panu baronowi inne sakpalto, a to niech pójdzie na moją stratę.

— Nie pójdzie, panie — odezwał się Plunio — gdyż ja je wezmę dla siebie.

— Mój drogi, nie róbże głupstw! — zawołał Norcio. — Wyglądałbyś w niem jak ogórek w skórce szparaga.

— Owszem — rzekł krawiec — rozpuści się tylko parę szwów i na pana Kichalskiego będzie pasował.

Gdy wyszli, Norcio odezwał się:

— Sakpalto zapłacone już, nie płacze mu drugi raz.

— Przecie nie zechcesz mi robić prezentu z odzieży — odparł nieco obrażony Plunio.

— Głupiś! Ja ci prezentów nie robię, tylko nie chcę, ażebyś drugi raz płacił. Zresztą od przyjaciela mógłbyś i prezent przyjąć.

— Chyba za to, że mnie ciągle obrażasz! — mruknął Plunio.

— Bagatela! Jak ja ci powiem co, to mi odpowiedz tak samo i basta, No, daj pyska! — mówił Norcio i pochylił się ku hiszpance Plunia.

Dwaj przyjaciele ucałowali się i już więcej o sakpaletocie mowy nie było.

Przyjaźń dla Norcia tak dalece absorbowwała Plunia, że zerwał wszystkie swoje poprzednie, dosyć skromne stosunki. Dawni znajomi ze zdziwieniem patrzyli na jego piękną garderobę i wykwintne maniery i z szacunkiem ustępowali mu z drogi, gdy nieraz w interesie Norcia jeździł najętą kareta.

— Wiecie — mówili — że Kichalski odebrał spadek po jakimś stryju z Turcji. Spłacił już wszystkie długi, żyje jak pan, a nawet mieszka na wspólnie z tym brylantowym młodzieńcem Zgrzytowiczem.

— To podobno jego kuzyn — dodawali inni.

— Szczęśliwy człowiek! Co roku posuwa się o jeden szczebel w górę. Pamiętam go przecie, jak nie miał co jadać na kursach, a dziś — młóci po dwa tuziny ostryg codzień.

Norcio, jako wnuk jenerała, urodzony z hrabianki Gęgalskiej, pomimo swego pesymizmu i brutalstwa, obracał się wśród najlepszych towarzystw. Ponieważ był hojny, lubił wyprawiać huczne kolacje, dużo przegrywał i bez miary pożyczał pieniędzy, ludzie więc cierpieli go i szanowali. Ponieważ zaś uchodził za milionera, niejednen zatem ojciec pragnął mu powierzyć swoją córkę.

Norcio cenił wprawdzie kawalerską swobodę, lecz myślał też i o zmianie stanu, ponieważ lekarze radzili mu, ażeby się jak najspieszniej ożenił. Byłby to nawet zrobił oddawna, gdyby nie jasnooka mężateczka, za którą od pół roku przepadał, pielęgnując w sercu pewne nadzieje wzajemności.

Głównie miał on dwie partje na oku. Jedną była panna Idalja, córka przemysłowca, oparta na posagu, wynoszącym pół miliona rubli, — drugą zaś panna Cecylja, córka właściciela dużego ziemskiego majątku, mniej posażna, ale ładniejsza i młodsza.

Ponieważ Idalja była, jak to mówią, pod ręką, bo w mieście, — Norcio więc popędy swego serca dzielił tymczasem między nią i młodą mężatkę.

Plunio, który poznał się z tem całym towarzystwem, wspierał przyjaciela, jak umiał.

Niekiedy mężczyźni żartowali z niego.

— Mój panie Kichalski — mówił jeden — ależ Norcio wymyze rła panu w oczy.

— Wolę to, aniżeli gdyby mnie za oczy obmawiał. Zresztą zbyt go kocham i zanadto dobrze znam, ażebym się miał obrażać — odparł Plunio, a potem dodał:

Kto wszystko poznał, ten wszystko przebaczył!

— Więc w oczach pańskich Zgrzytowicz ma wartość wyższą?

— Jest to najszlachetniejszy i najdzielniejszy człowiek, jakiego spotkałem w życiu.

— Daruj pan, ale nie uwierzę w to, ażeby brutal mógł mieć takie przymioty.

— Jest on trochę kostyczny — rzekł Plunio — ale bezświadomie. Gdy włada sobą, nikt mu nie dorówna w podniosłości uczuć.

— Więc to nie jest wada moralna, ale umysłowa?

— No tego przecieźnie mówię! — zaprotestował Plunio. — W każdym razie nie jest to wina jego... Dziedziczymy niestety! nietylko tytuł i majątek, ale także i właściwości duchowe po naszych przodkach.

Wkrótce potem zaczęła obiegać wieść, że Norcio ma skłonność do choroby umysłowej, którą odziedziczył po matce, czy babce. Ludzie odtąd rzadziej się z nim spierali i jakoś pobłaźliwiej patrzyli na jego wybryki.

Innym razem ojciec panny Idalji zagadnął Plunia:

— Jak pan sądzisz: Norbert ma chyba ze dwa miliony złotych?

Plunio uśmiechnął się.

— Więc tylko milion? — spytał już zaniepokojony przemysłowiec.

— Skądże ja mogę o tem wiedzieć? — odparł Plunio. — W każdym razie długi swoje jak najskrupulatniej płaci i pod tym względem nie znam punktualniejszego człowieka. Rzadki człowiek!

— Jakto, więc on ma długi? — krzyknął kapitalista.

— Boże uchroni! Miewa długi honorowe. Przecież nie zawsze się wygrywa. Zresztą on jest tak bezinteresowny, że nawet tam gdzie o tysiące rubli chodzi...

— Więc on grywa w karty?

— Tylko dla zabicia czasu! Ale gdyby się ożenił... .

— A któżby mu znowu oddał córkę! — przerwał zirytowany kapitalista. — Pół-warjat, wiecznie chory, goły — bo przecie jakichś kilkudziesięciu tysięcy rubli nie można nazywać majątkiem, i w dodatku gra jeszcze w karty!

— Ależ on jest najzaczniejszym człowiekiem — przerwał Plunio. — Kobieta, któraby jego żonę została...

— Uprzejmie dziękuję za taki nabytek! — zakończył finansista.

Od tej pory Norcio zauważył, że bogaty przemysłowiec traktuje go oziębło, a panna Idalja bywa przy nim dziwnie roztargnioną. Ponieważ Zgrzytowicz miał dumę syna hrabianki Gęgalskiej, wnet więc zerwał z tym domem stosunki, a na Idalję nawet nie patrzył na ulicy.

Zato węzły sympatji, łączące go z młodą mężatką, zacieśniały się coraz bardziej. Widywali się często, a pani rumieniła się przy nim i okazywała mu dużo życzliwości.

Pewnego dnia, gdy znalazła się sam na sam z Pluniem, zapytała go:

— Czy pan nie uważa, że pan Norbert od niejakiemu czasu jest mizerniejszy? Może ma jakie ukryte zmartwienie, a może chory?

Liczyła na to, że Plunio zły wygląd swego przyjaciela złoży na karb cierpień sercowych. Zawiodła się jednak, powiernik bowiem Norcia rzekł:

— Rzeczywiście jest trochę osłabiony skutkiem bezsenności.

— Więc nie sypia? Rozdrażnienie nerwów?

— O niech się pani uspokoi! — błagał ją Plunio. — Widzi pani, przyczyna jest bardzo prosta, ale... nie wiem, jakby to powiedzieć...

— Niech pan mówi otwarcie — szepnęła dama. — Czy miłość?... — dodała.

— I to nie.

— Więc cóż? niech mnie pan nie dręczy!

— Powiem wszystko, ale tylko dla uspokojenia pani, która... tyle mego przyjaciela obchodzisz...

— Niech pan nie zbacza z przedmiotu! — zgromiła go piękna dama.

— Otóż jest tak — mówił Plunio. — W pokoju Norcia od pewnego czasu sypia jego ulubiony pies Kastor. Właśnie ja mu go ofiarowałem.

— Wszystko już odgaduję! nie kończ pan! — przerwała dama ze śmiechem. — Pies ma liczną drużynę małych przyjaciół, którzy jego panu spać nie dają!

— Przepraszam! Kastor jest czysty jak... gwiazda, której imię nosi.

— Więc jakież powód bezsenności pana Norberta?

— Ten — że Norcio mocno przez sen chrapie i to bardzo dziwnymi głosami, a wówczas Kastor zrywa się, szczeka i — budzi go!

Policzki damy oblały się purpurowym rumieńcem. Zaczęła się śmiać spazmatycznie.

— Ach! winszuję panu Norbertowi Kastora, czy też Kastorowi jego pana, bo już doprawdy sama nie wiem, który z nich godniejszy litości!

— Pani! — zawołał Plunio, powstając z krzesła — w taki sposób nie mówi się o swoim serdecznym przyjacielu.

— Ależ panie! — przerwała mu, ciągle śmiejąc się. — Ja nie mogę być ani serdeczną, ani żadną nawet przyjaciółką człowieka, który przez sen tak chrapie, że aż psy szczekają. Ja tylko ubolewam nad podobnie zabawnymi ludźmi!

To powiedziawszy, wyszła z pokoju, śmiejąc się aż do łez.

— Niezbadane jest serce kobiety! — szepnął Plunio.

Od tej znowu pory Norcio już nie widział pięknej mężatki. Napisał do niej dwa listy, ale ponieważ odesłała mu oba nierozpieczętowane, obraził się więc na nią śmiertelnie i pod wpływem tak dzikiego uczucia, rzekł do Plunia:

— Żenię się! Niech ją lichy porwie, kiedy taka kapryśna.

— Z kim się żenisz? — spytał Plunio.

— Z panną Cecylją, do której na przyszły tydzień pojedziemy. Chcę, abyś poznał ją i jej rodzinę, ponieważ... podobała mi się ona wprawdzie, ale jest tam coś, co mnie zraża trochę...

— Cóż to takiego?

— Jakiś kuzynek! — odparł Norcio.

— Niebezpieczny! — mruknął Plunio i dodał: — Ha! zresztą zobaczymy...

Dla umysłów filozoficznych, przywykłych do podciągania wszystkiego, co jest i co nie jest, pod prawa definicji, dywizji i klasyfikacji, przyjemnie zapewne będzie dowiedzieć się, że wypadki życia codziennego dzielą się na — proste i złożone.

Jeżeli ktoś złamie nogę na ulicy bez żadnych innych akcesoriów, wówczas mamy wypadek prosty.

Lecz jeżeli ktoś, łamiąc nogę, jednocześnie wybija kupcowi dużą szybę, kupcowę przyprawia o spazmy, przestrasza gości i po upływie kilku tygodni ma procesy o wybicie szyby, rozdarcie salopy i niezapłacenie lekarzowi za kuracją, — wówczas trafia mu się wypadek złożony.

W życiu bohaterów niniejszego opowiadania zdarzył się właśnie fakt złożony, napozór zwykły,

lecz w którym z jednej strony poświęcenie Plunia dla Norcia zajaśniało nadludzkim blaskiem, a który z drugiej strony opóźnił konkury Norcia, doprowadził go do najwyższego rozstroju nerwów i w dalszym ciągu spowodował mnóstwo opłakanych zawikłań.

Pewnego poranku, który nie był ani pięknym, ani brzydkim, lecz takim sobie zwykłym, nieco na warszawski sposób zakurzonym, Plunio usłyszał w pokoju przyjaciela swego stękanie. Przerażony wbiegł tam natychmiast, pytając:

— Co ci jest?

— Nic... do stu tysięcy!

— Ależ...

— Ależ wynoś się do potępienia! O moje zęby! — jęczał Norcio.

— Więc zęby cię bolą.

— Jakiś ty osioł! Kiedy mówię: zęby, to już nic innego nie może mnie boleć tylko zęby! — wrzasnął Norcio.

Plunio utopił w nim spojrzenie tak pełne współczucia i innych kojących własności, że widać pod wpływem tego moralnego chloroformu, ból Norcia zmniejszył się. Chory westchnął, potarł czoło i szczękę, a potem — spojrzawszy na zmaltretowanego przyjaciela, rzekł spokojniej:

— Zbeształem cię trochę? Przepraszam cię. Ale żebyś wiedział, jak te szelmy bolą!

— Wiem — odparł Plunio — mam przecie trzy zęby spróchniałe.

— Aj! — jęknął Norcio.

— Znowu boli?

— Świ... świdruje! Gwałtu... wścieknę się! W tej chwili kapryśny ból znowu minął.

— Kochany! — szepnął Plunio — dam ci radę.

— Jaka?

— Każ go wyrwać. Norcio spojrzał ponuro.

— Nie głupim! — rzekł.

— Dlaczego? — spytał Plunio błagalnym tonem. Ponieważ cierpienie ustało, Norcio więc usiadł na łóżku i począł mówić:

— Słuchaj! Rok temu bolał mnie ten sam ząb. Fuu! Zdecydowałem się rwać, ale kiedy poszedłem do dentysty i zobaczyłem taką masę szczypców, haków, kluczów, trybuszonów... oj gwałtu! Ustał ból, jakby go ręką odjął. Mój Pluniu, podaj mi ręcznik i przysuń spluwaczkę.

Ostatnią wolę przyjaciela Plunio święcie wykonał.

— Wróciłem do domu — ciągnął Norcio. — Cały dzień było mi dobrze. Ale w nocy zabolał mnie znowu tak, że oszalały posłałem nad ranem do felczera. Mrowie mnie przechodzi, kiedy myślę o tym łajdaku! Ledwie posłał, patrzę, wchodzi fircyk. Łeb rozkocutany, zielony krawat przy nocnej koszuli, mankiety brudne i rozpięte.

— Umiesz pan rwać zęby? — pytam go.

— Jak anioł, panie! — mówi i kładzie mi całą pięść w gębę. — Był taki brudny, powiadam ci, że aż mi w nosie zakręciło!

— Który to ząb? — pyta.

— Trzonowy na prawo!

— Aha! już go mam.

Założył hak, owinięty nie wiem już w co: w chustkę od nosa, czy w używaną skarpetkę i nim zdążyłem rękę podnieść...

Traf!

Myślałem, że mi łeb pęka... spojrzałem... Kajdaniarz! kryminalista! wyrwał mi najzdrowszy ząb,

jaki miałem.

Chciał mi podać wody do ust, ale go strzelił w ucho tak, że mi wskazujący palec wywichnął. Później kazałem go za schodów zrzucić i od tej pory za żadne skarby świata nie rwałbym zębów.

O mój ząb! znowu boli!

Plunio nie odpowiedział nic. Wyszedł tylko do przedpokoju, a w pół godziny później ukazał się w sypialni Norcia jakiś elegancki, wyperfumowany pan, z małym czarnym pudełkiem w bocznej kieszeni surduta.

— Co to jest? — zapytał zdziwiony Norcio. Przybyły pobiegł ku niemu i schwycił go za rękę.

— Pan dobrodziej cierpi na ząbek? — rzekł.

W tej samej chwili wsunął mu dwa palce w usta i zaczął mówić:

— Aha! wiem... Trzonowy z prawej...

Norcio odepchnął go tak, że aż przyzwoity nieznajomy oparł się na przeciwległej kanapie.

— Silny ból! — rzekł przybyły, nie okazując ani cienia obrazy. — Cały nerw odkryty... musimy wyjąć.

Odwrócił się, otworzył pudełko i jakiś niewielki przedmiot wsunął w rękaw.

— To dentysta! — wrzasnął Norcio — ja nie dam rwać zęba!

Plunio milczał i tkliwie patrzył na swego przyjaciela.

— Za pozwoleniem — rzekł dentysta. — My, doktorzy dentyści, nie rwiemy zębów, tylko wyjmujemy, a to jest wielka różnica. Pan dobrodziej pozwoli.

I łagodnie, ale stanowczo począł mu pchać obie ręce w usta.

— Ja nie chcę do stu diabłów! — krzyczał naprawdę zmieszany Norcio.

Doktor dentysta cofnął się.

— Jeżeli pacjent nie zgadza się na operację — rzekł — przynaglać nie możemy. Używamy tylko słów perswazji i zachęty.

— Norciu! — odezwał się Plunio — bądźże mężczyzną.

— A czymże u licha byłem do tej pory?

— Więc pozwól... Wszakże to drobnostka...

— Jeżeli drobnostka, to dlaczego ty sobie nie wyrwiesz? — ofuknął Norcio.

Plunio zamyślił się. Przez tę krótką chwilę zdało się, że czoło jego otacza aureola poświęcenia. Był majestatyczny.

— Norciu! — rzekł głosem uroczystym. — Aby cię przekonać, że wyjęcie zęba nie jest rzeczą tak przykrą jak sądzisz, każę sobie wyjąć... trzy!

Dentysta odwrócił się, otworzył pudełko i wyjął z niego inne niewielkie narzędzie, które znowu schował w rękaw.

— To mi przypomina — rzekł niepospolity ten operator — pewną Rzymiankę, która chcąc męża natchnąć odwagą do przyjęcia śmierci, sama przebiła się i zawołała: „Mężu! to nie boli!”

Potem zbliżył się do siedzącego Plunia.

— Patrz, Norciu! — wołał Plunio. — Patrz!

Norcio wpadł w gniew. Ten nadmiar odwagi w pulchnym przyjacielu podrażnił jego miłość własną.

— O trzysta rubli założę się — krzyknął — że nie wytrzymasz!

Plunio wyciągnął rękę.

— W moim biurku — rzekł — znajdziesz trzysta rubli, jeżeli przegram.

— Jestem świadkiem! — odezwał się dentysta, a potem, zaglądając w szeroko otwarte usta

Plunia, dodał:

— Tak! te trzy zębki warto wyjąć, a nawet... i te dwa. Przydałaby się także panu dobrodziejowi sztuczna szczęka... A teraz... Wodę mamy... miednicę mamy... Możemy zaczynać!

— Pluniu! zastanów się — mitygował go rozdrażniony Norcio.

— Nie cofam zakładu! — odparł Plunio. — Niech pan zaczy... :

Coś zgrzytnęło jakby kto orzech zgryzł.

— Ach! — jęknął Plunio.

— Jeden! — rzekł dentysta. — Niech pan dobrodziej usta wodą popłucze.

— Pluniu! nie bądźże warjatem. Ja zrzekam się zakładu! — wołał Norcio i zaczął biegać po pokoju.

— Trzymam zak... — szepnął Plunio. Coś zgrzytnęło, jakby kto orzech zgryzł. — Oj! — jęknął Plunio.

— Dwa! — rzekł dentysta. — Niech pan dobrodziej usta wodą popłucze.

— Pluniu! ja ci dam trzysta rubli bez niczego, tylko przestań, bo konwulsyj dostanę — błagał Norcio. — Warjatem trzeba być.

— Owszem — przerwał dentysta — te trzy zęby należało wyjąć. To było konieczne.

— Pluniu! — krzyczał Norcio.

— Rwij pan!

Coś zgrzytnęło, jakby kto orzech gryzł i nie mógł zgryźć.

— Aj! aj! aj! — jęczał Plunio.

— Mocno siedzi! — zauważył dentysta. Znowu zgrzytnęło.

— Aj! oj! oj!

— Pluniu! ja się wścieknę... — lamentował Norcio, biegając po pokoju i zatykając uszy.

— Dziwnie mocny ząb! — mówił spocony dentysta. Teraz zgrzytnęło na dobre.

— Gwałtu! — wrzasnął Plunio.

— Trzy! — rzekł triumfująco dentysta. — Niech pan dobrodziej usta wodą...

W tej chwili do najwyższego stopnia rozdrażniony Norcio upadł na kanapę i zemdłał.

Dentysta zadzwonił na służącego i obaj zaczęli trzeźwić Norcia, który wkrótce przyszedł do siebie, ale dostał dreszczów.

Zbolały Plunio siedział tymczasem nad miednicą i rzewnie biedak płakał. Rzeczywiście rwanie od razu trzech zębów należy do przykrych operacji.

Norcio jęczał ledwie dostłyszonym głosem:

— A niechże was pioruny spalą, z waszem dodawaniem mi odwagi... Tydzień będę chorował...

Wolę śmierć niż rwanie zęba... Jestem rozstrojony, zabity!

— A widzisz! wygrałem... trzysta... rubli... — łkał Plunio. — Istotnie — zauważył dentysta — nie jest to trafny

uspakajający środek rwać przy kimś zęby, ale dla szanownego pacjenta mego było to niezbędne. Jabym jeszcze głosował za dwoma innymi i za wprawieniem szczęki.

— Owszem, będę pana o to prosił — odpowiedział Plunio — a teraz dziękuję i...

Wsunął zręcznie honorarjum w rękę znakomitego operatora, który na pożegnanie rzekł do Norcia:

— Panu dobrodziejowi radziłbym też chory ząbek usunąć, gdy rozdrażnienie przejdzie.

— Jak umrę, panie, to będę prosił o wyjęcie! — mruknął Norcio, nie patrząc nawet na kłaniającego się doktora dentystę.

W parę tygodni później Plunio miał zębki jak perły, ale Norcio nie mógł się uspokoić. Był on wprawdzie mniej gwałtowny, ale zrobił się jeszcze drażliwszy i jeszcze bardziej zbolały niż

kiedykolwiek. Pluniowi mniej wymyślał, natomiast jednak zaczął podejrzewać jego nieograniczone przywiązanie do siebie.

— Muszę się ożenić — myślał Norcio. — To mnie uspokoi, a zarazem uwolni od przyjaciela, który dla mojej przyjemności każe sobie o zakład rwać zęby!

Z tem wszystkim nie miał odwagi samodzielnie zerwać z Pluniem, a nawet zaproponował mu, ażeby razem z nim pojechał w konkury do panny Cecylji, do której się wybierali poprzednio.

Plunio zgodził się na to, sprawiedliwie sądząc, że w tak ważnej chwili przyjaciel obejść się bez jego usług nie potrafi.

Gdyby Norcio, jadąc w zaloty, mógł być zostawić w Warszawie swoją nerwową naturę, a natomiast zabrać pakę cukierków dla pięknej Cecylji, — byłby już niewątpliwie do tej pory szczęśliwym mężem i ojcem. Na nieszczęście zrobił wprost przeciwnie: zapomniał o cukierkach, a wziął ze sobą Plunia, chory ząb i masę zółci.

Słuszność nakazuje wyznać, że zarówno panna Cecylja, jak i całe jej otoczenie, przyjęli obu mężczyzn wyśmianiem. Lecz, w kilka godzin po powitaniu, na gościnny dom wiejskiego szlachcica spadła jakaś ogromna chmura kwasów.

Stworzył ją sam Norcio, któremu zdawało się, że siedzący na wsi kuzynek Franio kocha się w Cecylji, że ona jest mu wzajemną i tylko z obawy przed ojcem uśmiecha się do Norcia i że kuzynek Franio nosi się z jakimiś niedobremi planami.

To też Norcio nie oszczędzał Frania i już przy obiedzie zaatakował go po swojemu.

— Czy pan tu gospodaruje? — spytał młodzieniaszka.

— Staram się! — odparł nieśmiało młody człowiek.

— Uważam to — po grubych butach, które pan nosi! Franio zarumienił się.

— Skutków mojej gospodarki nie widział pan jeszcze — rzekł młody człowiek tonem monitującym.

— Owszem, widziałem... dziurę w parkanie ogrodowym, przez którą pastuszki będą wykradać owoce — odpowiedział szorstki Norcio.

Rozmowa ta zepsuła wszystkim obiad. Po obiedzie Franio wybiegł na folwark, Plunio z ojcem panny udali się na cygara, a Norcio postanowił bawić Cesię. Ponieważ zaś wiedział, że panny lubią rozmowy sentymentalne, skierował więc pogadankę na temat uczuć i stosunków osobistych.

— Czy panią bolały kiedy zęby? — spytał głosem miękkim.

— Dlaczego? — odparła zdziwiona Cesia.

— Bo gdyby panią bolały, toby należało je wyrwać. Pani wyrwaćby zapewne nie dała, a wówczas ja, dla zachęcenia pani, pozwoliłbym sobie wyjąć mój, który mnie boli nieznośnie.

Mówiąc to, Norcio był kontent z siebie, widział bowiem, że w gawędzie swej nader szczęśliwie połączył sarkazm z tkliwością uczuć i skłonnością do poświęceń.

Panna Cecylja aż spotniała i wynalazłszy jakiś pozór, wnet porzuciła towarzystwo tak osobliwie nastrojonego konkurenta.

Odtąd stale już unikała rozmowy z nim, co Norcio spostrzegł i przypisał to demoralizującemu wpływowi kuzynka Frania.

Postanowił więc znowu skarcić młodzieńca i, spotkawszy go, rzekł:

— Mój panie! chciałem się pana o coś zapytać. — Słucham...

— Mój panie! Dlaczego pan nie wstąpisz do wojska?

— Doprawdy... nie rozumiem...

— Nie rozumie pan? — mówił zgryźliwie Norcio — a przecież to jest jasne! Taki przystojny, tak ładnie zbudowany młodzieniec, mógłby się łatwo odznaczyć i zostać oficerem. Ja myślę, panie

Franciszku, że wojsko posłużyłoby panu lepiej, aniżeli siedzenie na wsi!

Skutkiem tych i tym podobnych wystąpień Norcia, całe towarzystwo rozbiło się na grupy. Cesia ciągle szeptała coś z ojcem albo z Franiem, Norcio zaś rozmawiał tylko z Pluniem.

— Wiesz co — mówił zirytowany Norcio do Plunia — że ten Franuś, ten kuzynek z odstajacemi uszami, patrzy na mnie tak, jakby mnie chciał zabić...

— Tak! — potwierdził Plunio. — Zachowanie się jego jest nieco dziwne.

— I nie bez powodu! — wtrącił Norcio. — Kocha się w Cesi, którą ja mu z przed nosa zabiorę, bo mi się podobała. Cha! cha!

— Istotnie ładna panienska... Ale...

— Niema żadnego ale! — przerwał gwałtownie Norcio. — Tu rządzi ojciec, który mi sprzyja, gdyż wie, że mam pieniądze.

— No — a jeżeli pan Franciszek?...

Plunio, właściwie mówiąc, nie wiedział, jaką rolę odegrać może kuzyn Franuś w matrymonjalnych zamiarach Norcia, niemniej jednak ten ostatni zamyślił się i rzekł:

— Masz racją! taka niuńka jak ów Franuś nie robi mi nic otwarcie, ale z zasadzki...

Trzeba wiedzieć, że Norcio, w miarę jak mu wątroba rosła, podejrzewał coraz większą liczbę ludzi o chęć zasadzania się na całość i bezpieczeństwo jego osoby. Powodu, dla którego mieliby tak robić, nie wiedział, odgadywał jednak, że chętnie zrobiliby to — „przez podłość,” czyli z amatorstwa.

Nadciągnął wieczór długi i nudny. Franuś patrzył z podełba na Norcia, a Norcio na Franusia. Plunio rozmawiał z panną Cecylją i chwalił jej ogródek, jej suknię, jej sposób noszenia włosów, słowem — wszystko, co do niej należało. Ojciec Cesi chodził zafrasowany i ziewał.

Przed jedynastą Franuś znikł, a wkrótce po nim Norcio i Plunio pożegnali towarzystwo i udali się do pokoi gościnnych.

Na progu przeznaczony dla niego sypialni, zirytowany Norcio nagle zatrzymał się, słysząc, że ktoś rozmawia.

Poznał głos Frania, który wypytywał służącej:

— Cała pościel czysta?

— A ino? — odparła służąca.

— Okienicę zamknęłaś?

— A jużci.

— Zapalki tu są?

— Co nie mają być.

— No, to teraz przynieś wody w miednicę i w karafkę. A tylko o szklance nie zapomnij.

Służąca wyszła i otarła się o Norcia, który z zaiskrzonemi oczyma wbiegł do pokoju.

— Co pan tu robisz? — zapytał Frania.

— Cóż mam robić? Zobaczyłem, czy wszystko w pokoju pańskim jest jak być powinno.

— A nadewszystko — czy jest woda do picia! — ryknął Norcio.

— Dobranoc panu! — odparł Franuś, wykręcając się na pięcie, i — wyszedł.

Norcio przetrzymał kilka minut i blady, wzruszony pobiegł do pokoju Plunia, leżącego w innej stronie domu.

— Co ci jest? — zawołał Plunio, widząc go tak zmienionym.

— Struć mnie chciał, jak Boga kocham! — szepnął Norcio. — Kto znowu? Dajże pokój!

— A ten Franuś galernik! — odpowiedział Norcio, a potem dodał, ściskając Plunia za rękę:

— Słuchaj! czy jesteś moim przyjacielem?

— Ależ czy możesz wątpić o tem?

— Więc proszę cię, abyś uważał na wszystko w tym domu. Pewny jestem, że mnie ten łotr dziś w nocy napadnie.

— Rachuj na mnie — rzekł Plunio, odprowadzając do drzwi zagrożonego przyjaciela.

Zostawszy sam, Plunio zamyślił się. Obawy Norcia wcale go nie niepokoiły, widział bowiem, że Franuś wygląda raczej na gamonia, aniżeli na kochanka Cecylji, a tem bardziej na zbrojaka. Pomimo to, nie starał się przekonywać Norcia, lub uspakajać go, ponieważ zdawało mu się, że lepiej będzie, jeżeli przyjaciel jego nie ożeni się, ani z Cesią, ani z żadną inną kobietą.

Zresztą dzień pobytu na wsi znudził go i Plunio chętnie powiększyłby dozę obaw i podejrzeń Norcia, byle tylko rychło wrócić do miasta.

Tajemnym pragnieniom jego, okoliczności nadspodzianie pomogły. Gdy bowiem korzystając z pięknej nocy wyszedł do ogrodu i — niechcący — zbliżył się ku otwartemu oknu ojca Cesi, usłyszał w pokoju rozmowę.

— Gdyby nie szacunek dla wuja — mówił Franuś — jużbym go psami wyszczuć kazał. Ależ to brutal, fiksat!

— No, prawda, że jest szorstki, ale któż znowu gości psami szczuje? On jutro i sam pewnie wyjedzie, widząc, że go chłodno przyjmujemy — odpowiedział ojciec Cesi.

— Mój Boże! — wtrąciła Cesia — a papa radził mi, abym za takiego cudaka wyszła.

— Radziłem, nie radziłem — odparł ojciec. — Widzisz, tacy ludzie jak on, ożeniwszy się, albo poprawiają się, a wtedy są dobrzy, albo prędko umierają, a wówczas niema po kim płakać.

— Nieznośny! — rzekła Cesia. — Mówię papie, że ja się jego poprostu boję.

— To dziki zwierz! — dodał Franio. — On widać nie ma żadnego wychowania.

— Zgryźliwy! stary kawaler! oto wszystko. W każdym razie lepiej, że Cesia za niego nie pójdzie — zakonkludował ojciec.

Plunio, słuchając tego, nie posiadał się z radości. Cicho wymknął się z pod okna i postanowił, jak się tylko w domu uspokoi, zawiadomić o tej rozmowie Norcia. Szkoda jednak, że nie słuchał dłużej, przekonałby się bowiem, że cała rodzina o ile potępiała Norcia, o tyle znowu chwaliła jego, Plunia. Szczególniej podobał się pannie Cecylji, która widziała w nim magazyn zacności, elegancji, grzeczności i innych przymiotów towarzyskich.

Po północy, gdy już światła w domu pogasły, Plunio, którego świerzbiał okrutnie język, udał się do pokoju Norcia. Przeszedł się i wyminął korytarz, gdy nagle w pokoju leżącym przed sypialnią Norcia — usłyszał jakiś szelest.

Zdawało mu się, że ktoś sapie.

Staął.

Sapanie ucichło, lecz natomiast rozległo się jakby — chodzenie.

— Czyby istotnie ten Franuś chciał zrobić zasadzkę na Norcia? — pomyślał Plunio i — uczuł, że mu jest niedobrze.

— Wlazłem w awanturę! — szepnął, a nogi pod nim zaczęły drżeć. Już żałował, że znalazł się tutaj i począł ostrożnie wykonywać odwrót, gdy wtem, tuż przy nim rozległo się straszne pytanie:

— Kto tu?

— To ja! — jęknął Plunio, nie poznając własnego głosu. W tej chwili zdawało mu się, że jakaś niewidzialna ręka chwyta go za gardło, druga za włosy, trzecia wymierza mu silny cios w piersi, czwarta w plecy, piąta w krzyż.

— Ratunku! — wrzasnął Plunio nieludzkim głosem.

— Tuś mi... morderco... skrytobójco! — mruczało nad nim wieloręczne widmo, obsypując go

żelaznemi kułakami.

W rozczochranej głowie Plunia błysnęła myśl o śmierci i w tej chwili zbudziło się w nim męstwo rozpacz. Postanowił walczyć.

Wówczas pastwiące się nad nim widziadło otrzymało silne kopnięcie, potem uderzenie pięścią, a wkońcu zostało schwyte za włosy.

— Morderca! złodziej! — wrzeszczał Plunio, walcząc jak lucyfer.

— Puszczaj mnie! — zawołało wtedy widmo. — To ja! Norbert...

— Morderca! — krzyczał nieprzytomny Plunio, utopiwszy obie ręce w czuprynie przyjaciela, którego od dołu energicznie atakował kolanami.

Norcio, poznawszy z kim ma do czynienia, zmieszał się ogromnie. W tej chwili został obalony na ziemię.

Przez parę minut obaj przyjaciele potykali się jak lwy, rycząc wniebogłosy.

Odgłos strasznej walki obudził cały dom. Płochliwa pokojówka wyskoczyła z garderoby na dziedziniec, wzywając na ratunek parobków. Z kredensu wybiegł lokaj ze świecą i siekierą, z kancelarii kuzynek Franuś z rewolwerem, a za nim ukazał się ojciec Cesi z zegarową lampką nocną i dwułokciowym blaszanem pudłem, w którym trzymał mapę swego majątku.

Wówczas dopiero zacierzewieni przyjaciele poznali się, przerwali walkę i powstali z podłogi.

— Zdrajco! — krzyknął Norcio do Plunia.

— To ty?!... — zawołał zdumiony Plunio.

— Wyzywam cię na pojedynek, w którym jeden z nas musi paść trupem! — rzekł Norcio.

Plunio skamieniał.

— Zaco on mnie wyzywa na pojedynek? Ja chciałem zobaczyć czy śpi, czy nie jest chory, a on się na mnie rzucił. Myślałem, że to rozbójnik jaki zakradł się do jego pokoju.

— Panie Norbercie! — odezwał się ojciec Cesi.

— Zabiję łotra! — krzyczał Norcio — albo sam zginę. Tym sposobem, dzięki nieporozumieniu, przyjaciel Plunia stał się jego śmiertelnym wrogiem.

Na drugi dzień rano obaj panowie, każdy inną drogą, wrócili do Warszawy. Tego samego dnia Plunio został wyzwany na pojedynek wedle wszelkich prawideł. Biedak! pożółkł i schudł w ciągu tych kilkunastu godzin.

— Mój kochany — mówił do Norcia jeden z jego sekundantów — że za kilka godzin masz się strzelać z Kichalskim, to nic, ale to gorsze, że całe miasto na ciebie krzyczy.

— Za co? — spytał Norcio.

— Hum! za co? Bądź jak bądź, był to twój najszczęśliwszy przyjaciel, przyjaciel, jakiego nie miałeś i mieć nie będziesz, przyjaciel, którego wszyscy ci zazdrościli.

— Łotr skończony!

— Tak mówić nie masz prawa, ponieważ on składał ci ciągle dowody przywiązania, pobłażliwości nieograniczonej, a nawet poświęcenia. Ot i w ostatniej awanturze, on szedł zobaczyć czyś nie chory, a tyś go napadł. On postąpił z tobą jak najlepszy brat, a ty jak...

— Jak rozbójnik! — przerwał Norcio. — Mniejsza o to, nie zabiję go.

Niebawem zajechały dwie karety. W jednej siedział lekarz z sekundantem, w drugiej umieścił się Norcio również z sekundantem.

Na drodze ku Bielanom, kawalkada wyminęła inne dwie karety. W jednej z nich Norcio ujrzał bladą twarz Plunia i cofnął się zły jak szatan.

— Jakie to siedzenie twarde, istny karawan! — mówił Norcio do sekundanta.

— Przeciwnie, ja sądzę, że jest bardzo miękkie.

— Czy uważasz, jaki szkaradny kolor ma niebo?

— Dajże pokój! jest piękne jak rzadko.

— Zbrzydł mi świat! — mówił Norcio. — To jedno mnie pociesza, że za godzinę żyć już nie będę. Chwila milczenia.

— Jakkolwiek nie wątpię, że wyjdiesz z pojedynku szczęśliwie — odezwał się sekundant — z tem wszystkim... czyś uregulował swoje interesa?

— Cały majątek zapisałem na szpital i dom przytułku dla psów, które panów nie mają — odparł Norcio.

Sekundant zapalił cygaro.

W kwadrans później Plunio i Norcio znaleźli się w pięknym dębowym lasku. Sekundanci nabijali broń, Norcio gwizdał przez zęby, a Plunio mówił do lekarza:

— Nie męcz mnie pan bardzo, gdy zostanę ranny!

— Kto to wie! — odparł lekarz. — Może właśnie szanowny przeciwnik pański dostanie się w moje ręce?

— Ja do niego nie strzelę... — szepnął Plunio.

— Wszystko gotowe! — rzekł jeden ze świadków.

W sercu Plunia dziwne obudziło się pragnienie. Chciałby on (co za wybryk fantazji!) na najwyższym dębie lasku postawić dąb jeszcze wyższy, na nim jeszcze wyższy, a na szczycie tego ostatniego... siebie!

Ziemia w tej chwili wydała mu się bardzo niepewną podstawą ludzkiej egzystencji.

Ktoś wziął go pod rękę, postawił o kilka kroków od jakiegoś drzewa, wcisnął pistolet w garść i szepnął:

— Trzymaj się dobrze!

Potem lekarz zabrał głos i wypowiedział dość nudną mówkę. Skutek jej był ten, że Norcio skierował lufę pistoletu ku głowie Plunia.

Plunio trzymał pistolet lufą na dół, a ujrawszy tak wyraźny dowód niewdzięczności swego przyjaciela, drgnął.

Huknął strzał. Plunio zachwiał się i upadł.

Teraz Norcio zaniknął swój wystrzelony pistolet.

Lekarz pobiegł do Plunia, a najstarszy wiekiem sekundant rzekł:

— Moi panowie! Sprawa jest skończona, ponieważ jeden z przeciwników został ranny.

— Ale on się sam ranił! — krzyknął Norcio. — Strzelił sobie w nogę ze strachu.

Sekundanci milczeli. Lekarz odprowadził Plunia do karety.

— Czy bardzo ranny? — spytano na odjezdne lekarza.

— Zdaje się, że w mały palec.

Gdy chory odjechał, Norcio zwrócił się do sekundantów:

— Więc panowie sądzicie — spytał — że ja nie mam już prawa strzelać się z tym infamisem?

— Przeciw tytułowi infamisa protestuję! — rzekł najstarszy z mężczyzn. — Wszyscy wiemy, że pan Kichalski wołał się ranić, aniżeli strzelać do tego, który przed dwoma dniami nazywał się jego przyjacielem.

— Tak! tak! — powtórzyli inni.

— Więc on, w oczach panów, dlatego że ranił się w nogę, jest człowiekiem przyzwoitym i uczciwym przyjacielem?

— Spodziewam się! Naturalnie! — odpowiedziano.

— Ha! kiedy tak, to patrzcie! — rzekł Norcio.

Odwiódł kurek, przyłożył lufę do skroni.

— Stój! — krzyknęli wszyscy. Norcio pociągnął cyngiel. Pęc!

Spaliło na panewce!

— A niechże mnie djabli porwą z takim szczęściem! — wrzasnął Norcio, z całej siły rzucił pistolet na ziemię i — wszedł do karety. Gdy odjeżdżającego zakrył tuman kurzawy, najstarszy świadek rzekł, wskazując na niego palcem:

— Patrzcie! oto człowiek, który przez swoją wściekłość stracił przyjaciela i śmie jego szlachetności przeciwstawiać — znowu swoją wściekłość!

Tego dnia całe miasto unosiło się nad szlachetnością Plunia.

W parę tygodni później, Plunio, który wypadkiem tylko zdrapał sobie kulą skórę na małym palcu, na skutek listu ojca panny Cecylji, wyjechał na wieś. Tam ojciec, Cesia i kuzyn Franio witali go jak bohatera i upewnili, że do końca lata nie wypuszczą.

Panna Cecylją okazywała mu szczególniejszą przychylność.

— Rana pańska już się zagoiła? — pytała, patrząc mu tkliwie w oczy.

— Oddawna! Takie rany łatwo się goją...

— Rozumiem! — rzekła panna. — Trudniej daleko goi się serce zranione przez przyjaciela.

— Zgadła pani. Ale ja i na te cierpienia znam lekarstwo.

— Czy mogę wiedzieć, jakie ono? — spytała zarumieniona Cesia.

— Powiem wprost. Oto zapomnę o wszystkim wówczas, gdy pani wrócisz Norbertowi swoją życzliwość, gdy zechcesz... być jego aniołem...

— Dosyc panie! Będę i ja równie szczerą i powiem panu, że życzliwość moją, serdeczną, dozgonną życzliwość, osiąść może taki człowiek, którego szlachetna dusza nietylko skłonna jest do poświęceń, ale nawet — zapomina o czarnej niewdzięczności innych ludzi. A takiego człowieka już znalazłam...

— Pani!... aniele!... — zawołał Plunio, upadając przed nią na kolana.

Został na wsi do końca lata, a w jesieni otrzymał rączkę i posag niedoszłej narzeczonej swego niewdzięcznego przyjaciela.

O szczęśliwym wypadku tym Norcio dowiedział się z gazet. Zirytował się tak, że aż pobiegł do doktora radzić się.

— Cóż panu jest? — pytał lekarz.

— Świat mi obrzydł! — odparł krótko Norcio.

— Hipokondrja — mruknął lekarz. — Podróżuj pan.

— Nudzą mnie podróże!

— Bywaj pan w wesołych towarzystwach.

— Nie lubię towarzystw!

— Ożeń się pan.

— Chybabym zwarzjował... Te kobiety!... znam je...

— Hum! przykry to stan. Więc wystaraj się pan o jakiego przyjaciela.

— A do piekła bym uciekł, gdyby mi się trafił jaki nowy przyjaciel! To, panie, największa plaga na ziemi ci przyjaciele...

Lekarz wstał z krzesła.

— No — kiedy wszystko dla pana złe, to... strzel sobie w łeb!

— Strzelałem sobie w łeb i spaliło mi na panewce — jęknął Norcio.

— W takim razie — rzekł lekarz, kłaniając się — racz pan nie zabierać czasu mnie i moim pacjentom. Ja już dla pana nie mam recepty!

NAJNOWSZY DIALOG PLATONA.

„Platon żyje wiecznie, a ponieważ żyje, więc może pisywać dialogi.”

(Mieszkanie filozofa. Mędrzec siedzi przy biurku, głęboko zadumany. Do pokoju wpada Młodzieniec lekkomyślny.)

Młodzieniec lekkomyślny. Dzień dobry, mistrzu! W czym u licha zatapiasz się tak, żeś o całym świecie zapomniał? Znajomi upatrują cię w cukierniach z równie pomyślnym skutkiem, jak astronomowie Wulkana przy słońcu. Na schodach spotkałem gospodarza domu, który chce wymówić ci mieszkanie, twierdząc, że twoje skarby moralne nie wystarczają na opłatę komornego. W przedpokoju klnie służący, żeś mu nie dał na obiad...

(Rzucając się na fotel.) Ty sam wyglądasz jak demagog. Oczy błędne, twarz zmęczonego rozpustnika, czoło poorane, włosy najeżone, od miesiąca nieczesane. Jeżeli mnie przeczucia nie mylą, to wkrótce będziemy musieli hamować kaftanem bezpieczeństwa śmiałe poloty twego ducha.

Mędrzec (do siebie). Jak on pachnie! A jak on płynnie mówi!... Jabym tak nigdy nie potrafił. Prawdziwa mądrość jest galerniczą kulą dla języka, którym głupstwo posługuje się równie łatwo jak szczupak ogonem.

(Głośno.) Czytujesz co kiedy, młody chłopcze?

Młodzieniec lekkomyślny. Afisze w dzień, ażeby dowiedzieć się, która z aktorek jest chora. Pozwy zaś o tyle, o ile mi je nadsyłają.

Mędrzec. I nic więcej?

Młodzieniec lekkomyślny. Czasem klapsydry, w nadziei, że spotkam nazwisko jakiej bogatej kuzynki albo wierzyciela na słowo.

Mędrzec. Nawet pism nie czytujesz?

Młodzieniec lekkomyślny. „Kurjera” — podczas karnawału, o ile znajdują się w nim korespondencje między Liljami i Fiołkami. Na tej drodze można się dowiedzieć niekiedy o miejscu schadzki dwojga zakochanych, pójść tam i — przekonać Lilję, że każdy Fiołek ma równie dobre serce.

Mędrzec. Przypuszczam, że zanadto przywiązujesz się do zewnętrznych stron życia.

Młodzieniec lekkomyślny. Tylko dlatego, że wewnętrzne niezawsze są dostępne.

Mędrzec. Dla myśliciela — zawsze!

Młodzieniec lekkomyślny. Żona pewnego filozofa twierdzi inaczej, ale mniejsza o to. Powiedz lepiej, mistrzu, co piszesz? Zapewne coś bardzo cnotliwego. Będę dziś mówił o tem w salonie mojej dalekiej babki, która znowu pocnie wierzyć, żeś się nawrócił, i pożycz mi kilkadziesiąt rubli na dalsze kształcenie się w dobrych obyczajach. A więc?...

Mędrzec. Piszę, a raczej obmyślam aforyzm.

Młodzieniec lekkomyślny. Cóż on ma zrobić dla świata?

Mędrzec. Przedewszystkiem zostanie wydrukowany w piśmie, wyłącznie poświęconem na aforyzmy ludzi znakomitych...

Młodzieniec lekkomyślny. Którzy swoje utwory odczytują z namaszczeniem, a cudze z ironją. Ale jaki stąd pożytek dla reszty śmiertelników?

Mędrzec. Tego przewidzieć niepodobna. Sądzymy, że aforyzmy nasze nakarmią głodnych,

przyrodzieją nagich i wyleczą chorych. Pożądane zaś jest, aby jeszcze nieumiejętnych nauczyły, wątpiących przekonały, błądzących na dobrą drogę naprowadziły i smutnych pocieszyły.

Młodzieniec lekkomyślny. Spotniałem, jak mysz w pułapce! Gdyby kto połknął pigułki wszystkich Guyotów, Cauvinów, Morissonów i im podobnych, jeszcze nie doznałby tylu błogich skutków, co po jednorazowym odczytaniu waszej zbiorowej pracy. Wiem ja coś o tem piśmie. Będzie ono nudziło szczęśliwych, dla zrobienia zawodu nieszczęśliwym.

Mędrzec (*żywo*). Co mówisz o zawodzie?

Młodzieniec lekkomyślny. Rzecz prosta!... Każdy nieszczęśliwy, a czeka ich z pół miliona, wyobraża sobie, że wasze pismo wszystkie jego kłopoty usunie. Tymczasem większa część tych biedaków nie dostanie nic, a mniejsza — po złotówce na osobę, za co nawet porządnie upić się nie można.

Ja, gdybym miał czas zajmować się filantropją, zrobiłbym zupełnie inaczej.

Mędrzec. Zdaje mi się, że niedość poważnie zapatrujesz się na dobroczynność. Pominąwszy to jednak, ciekawym — cóżbyś ty zrobił?...

Młodzieniec lekkomyślny. Zamiast dzielić kilkanaście tysięcy rubli między sto tysięcy nieszczęśliwych, oddałbym całą sumę jednemu, ale najnieszczęśliwyszemu.

Mędrzec. Pod pewnym względem nie jest to pozbawione słuszności. Ale gdzie się znajduje ów „najnieszczęśliwszy” człowiek na świecie?... Tu leży węzeł.

Młodzieniec lekkomyślny (*z uczuciem*). Ja nim jestem!

Mędrzec. Filozof niczemu nie przeczy, lecz żąda dowodów.

Młodzieniec lekkomyślny. Tysiące!... Jak wiesz, nie mam rodziny, gdyż wyparli się mnie najbliżsi wszyscy krewni. Nie mam mieszkania, bo codzień nocuję w innym hotelu. Mogę być nagim, gdyż mój krawiec ani słucha o uszyciu mi na kredyt kostjumu wiosennego. Przytem — nie jadłem jeszcze śniadania, więc jestem głodny, a co najgorsza: przegrałem trzy tysiące rubli cudzych pieniędzy i mogą mnie nazwać łotrem.

Powiedz sam, czy nie jestem nieszczęśliwszy od tych, których nieurodzaj, albo powódź dotknęła?

Mędrzec. Może to być, niemniej jednak nie zasługujesz na pomoc, jako człowiek, który dobrowolnie ściągnął na siebie klęskę.

Młodzieniec lekkomyślny. Ja przegrałem dobrowolnie?... Honorem ci ręczę, że siadając do stolika, miałem najlepszą wolę wygrać, choćby — trzydzieści tysięcy rubli.

Mędrzec. Na tamtych biedaków spadły ciosy nieprzewidziane, ty zaś, siadając do gry, powinieneś był przypuszczać, że przegrasz.

Młodzieniec lekkomyślny. Pozwól sobie zrobić uwagę, mistrzu, że granie jest filozofją, że więc ulega prawidłom zdrowego rozsądku, który nakazuje unikać hazardu wówczas, gdy się myśli o przegranej. Co się zaś mnie dotyczy, ja bardziej wierzyłem w wygrane, aniżeli matematycy w twierdzenie o kątach przyległych.

Mędrzec. Nieszczęściu dotkniętych nieurodzajem i powodzią winna jest natura, a twemu...

Młodzieniec lekkomyślny (*z uniesieniem*). A cóż innego, jeżeli nie natura?... Mam taką podłą naturę, że gdy zobaczę zielony stół albo karty, muszę grać, chociażby o potępienie duszy.

Mędrzec. Pozwól sobie jednak powiedzieć, że ty nie zasługujesz na litość ogółu, bo nieszczęścia twoje nie budzą sympatji, podczas gdy tamci...

Młodzieniec lekkomyślny. Jestem zwyciężony! Tak — nieszczęście musi naprzód obudzić sympatją, a później dopiero litość. Z tego powodu kucharki chętniej wspierają młodych, aniżeli starych druciarzy, i świat ich teorią na siaduje. Pod tym względem moje pojęcia były w zgodzie z opinią ogółu i zawsze mocniej interesował mnie los przystojnej dziewczyny, aniżeli połamanego

starca. Zaco jednak nazywają mnie oryginałem w moralności?... Nie rozumiem!

Tymczasem, wedle prawideł czystej i niezabarwionej uczuciami logiki, powinno być inaczej. Największa pomoc ze strony ogółu należy się najniezwyklejszym. Najniezwyklejszymi są ci, którzy nie zasługują na litość. A więc: największa pomoc ze strony ogółu należy się tym, którzy nie zasługują na litość.

Mędrzec. Wiesz co, że pod wpływem rozmowy z tobą, przyszedł mi na myśl wcale piękny aforyzm, a mianowicie: „Prawdziwemu mędrcom nawet stosunki z największym hultajem przynoszą korzyść.”

Młodzieniec lekkomyślny (*zrywa się*). O błogosławione zdanie! W tej chwili biegnę, aby wejść w stosunki z lichwiarzami. Jeżeli każdy, którego znam jako największego hultaja, pożycz mi tylko dziesięć rubli, honor mój zostanie ocalony!...

(*Wychodząc*.) Bądź zdrow, mistrzu! Znalazłem się na bezdrożu, z którego litość nie umiała mnie sprowadzić i dopiero filozof ja wyznacza mi prawdziwy kierunek. Jeżeli w tej wzniosłej nauce znajdę równie cenne wskazówki i co do preferans, wyrzekam się mydła, szczotek, grzebieni, robię się idjotą wobec tłumu i zostaję — kapłanem filozofji.

Gdybyś nawet chciał, mistrzu, mógłbym natychmiast przejąć się tym wzniosłym charakterem i przez wdzięczność podyktować ci bardzo rzewny, a z naszej dzisiejszej rozmowy zaczerpnięty aforyzm: „Niewszyscy niezłodziwi mają równie łatwy przystęp do skarbnicy miłosierdzia ogółu.” (*Wychodzi*).

Mędrzec (*po namyśle pisze*). „Życie dostarcza więcej nauki, aniżeli kopy głów filozoficznych, pleśniejących między stosami książek.”

NAGRODA DOCZESNA.

Pan Paweł, adwokat, wrócił do domu z wesołego obiadu. Była czwarta po południu, w dzień zimowy. Na ulicy śnieg, sypki jak pierze, leżał tak grubo, że tonęły w nim kalosze największego kalibru.

Niebo znikło, nad dachami zwieszały się chmury gęste, szare, bezładne. Powietrze przesiąknięte było wilgocią, która nie znalazłszy dość miejsca na ulicach, wciskała się do kominów, do mieszkań, włąziła przechodniom pod czapki, za kołnierze, w rękawy, nareszcie w płuca i mózg.

Zapewne skutkiem tego pan Paweł wrócił do domu jak struty. Z niesmakiem wyobrażał sobie obiadową polędwicę, uczył wstręt do indyka, a o szczupaku nie mógł myśleć. Gdy zaś przypomniał sobie dopiero co wypite wina węgierskie, szampańskie i hiszpańskie, wstrząsnął się...

Przeklęta wilgoć zepsuła mu obiad.

Adwokat był chory. Zdawało mu się, że w salonie jest zimno, choć do pieca nie można było ręki przyłożyć. Spojrzał na termometr: piętnaście stopni, więc zimno nie jest. Usiadł na fotelu i kiedy dotknął aksamitu, uczył dreszcz.

Wziął się za puls — bije prędko. Wziął się za głowę — gorąca. Przy niepewnym świetle kończącego się dnia zajrzał w lustro i spostrzegł bladość na twarzy, a w oczach osłupienie. Uczył znowu dreszcz, zawrót głowy, ból w kościach...

— Ej! czy to nie tyfusik? — mruknął. — Przeklęta wilgoć.

Zdjął surdut i włożył ciepły szlafrok. Pomyślał o pomocy lekarskiej, ale na nieszczęście służącego nie było. Uzbroił się więc w cierpliwość — i legł na szezlongu w salonie.

Spojrzał w okno. Na dworze padał w tej chwili śnieg coraz większemi płatami. Z początku wyglądały one jak podarte papierki, później dosięgły wymiarów kokardy balowego krawata, potem stały się tak wielkie jak — chustki do nosa.

Pan Paweł przetarł oczy: płaty śniegu zmniejszyły się, ale po upływie minuty były większe od prześcieradła.

A jak gęsto sypały! Na ulicy o ćwierć łokcia nie można było odróżnić dorożki od milicjanta. Ogromne tumany śniegu kręciły się, wlatywały w górę, biegingy poziomo. Niekiedy wiatr je rozdzierał, a wówczas zdawało się, że opada jakaś biała kurtyna, poza którą widać ciemną głębię ulicy, zaśnieżone dachy i światła w oknach.

Ale adwokata już nie drażnił ten posępny widok.

Owszem, pan Paweł był spokojniejszy. Opuściły go dreszcze, a na plecach uczył ciepło. Kości bolały go mniej, puls był wolniejszy, zawrót głowy ustąpił. Pozostało tylko przyjemne znużenie: w nogach, w rękach, w całym ciele. Stopniowo znużenie to dosięgło palców i włosów, rozlało się po szlafroku, ogarnęło nawet szezlong — i pan Paweł zaczął marzyć...

Marzył o tem, że na dworze jest lato, że on sam jest uosobionem zdrowiem, że wina hiszpańskie szkód organizmowi nie przynoszą... Następnie majaczyło mu się, że poobiedni sen jest cudownym wynalazkiem i że byłby już czas znaleźć sobie towarzyszkę życia.

W ciepłym szlafroku, na szezlongu, pan Paweł uczył się tak szczęśliwym jak nigdy. Zdawało mu się, że słyszy szelest skrzydeł Morfeusza i gotów był założyć się o wielką sumę, że najmiłą rozkoszą na ziemi jest sen po obfitym obiedzie — z winem.

Na dworze wilgoć stała się bardziej przejmującą, a śnieg padał gęściej niż dotychczas.

Gdy pan Paweł, już ostatni raz, otwierał powieki, ażeby je zamknąć na parę godzin, w tej chwili w salonie rozległo się dzwonienie ciche, delikatne. Nastąpiła przerwa, dzwonek po raz drugi zaczął się

chwiać i znowu zadzwieć — jeszcze delikatniej.

„Złodziej!” — pomyślał pan Paweł, nie ruszając się.

Było mu tak przyjemnie na sprężystym szezlongu, że nie drgnąłby, gdyby go zbójcy napadli.

Dzwonek znowu zachwiał się.

„Nie, to nie złodziej. To ktoś, co nieśmiało drzwoni. Pewnie jaki nieszczęśliwy interesant...

Niech go lichy porwie!...” Znowu zadzwoniono.

„Kto załatwia interesa na taką zawieruchę? — myślał pan Paweł. — Zapewne ktoś będący w wielkim kłopotcie. Ale jaką ja mu dam radę, kiedy mi się tak spać chce?...”

I znowu zadzwoniono.

„Ten nudziarz musi mieć djabelnie ważną sprawę, naturalnie własną; bo gdyby o mnie chodziło, dzwoniłby jak na Wielkanoc.”

„Boże! jak mi się spać chce... Jakim ja znużony!... Dałbym mu dziesięć rubli, żeby sobie poszedł...”

Ale ponieważ interesant nie odszedł, a pan Paweł miał dobre serce, więc zakławszy w duchu na czem świat stoi, podniósł się i otworzył drzwi.

Na progu stał jego znajomy — pan Gaweł — ubrany (na taką zawieruchę!) w lekki paltot i szapoklak. Zobaczywszy pana Pawła, gość otrząsnął się ze śniegu jak pies i pokornie zdjął kapelusz. Ręka, którą podał Pawłowi, była zimna, zmoczona śniegiem, skostniała.

Pan Paweł wprowadził Gawła do salonu; gdy zapalił świecę, spostrzegł, że przybysz ma ubranie podszarzone, twarz chorą, a w oczach rozpacz.

Pawłowi ścisnęło się serce. Pomyślał, że jego znajomy musi być w wielkiej biedzie i że trzeba mu dać kilkanaście rubli.

Zrobiwszy tak szlachetne postanowienie — ziewnął i obejrzał się na swój szezlong, na którym jeszcze znać było dołek wytłoczony przez leżenie.

— Ratuj mnie pan! — odezwał się gość bez żadnych wstępów — jestem w takiej nędzy, z żoną i dziećmi, że jeżeli nie znajdę pomocy, zabiję się...

— Ile panu potrzeba? — zapytał adwokat, zasłaniając usta ręką. W tej chwili nie umiałby powiedzieć, co było gorszeni: czy nędza Gawła, czy jego senność.

— Nic mi nie potrzeba — odparł Gaweł. — Pieniądzy nie przyjmę, chcę pracy... Pomimo rozpaczliwego położenia rozumiem, że jałmużna upodli mnie tylko, nie zbawi. Pracę daj mi pan, pracę!...

Gość był tak wzruszony, że się trząsnął. Zacierał sine ręce i chował je pod surdut, a w oczach pokazały mu się łzy, które napróżno usiłował powstrzymać.

Rozmarzonemu Pawłowi przypomniało się, że w czasie obiadu pewien znajomy przemysłowiec zapytywał go, czy nie może mu zarekomendować zdolnego buchaltera a zarazem korespondenta? Gaweł był takim, mógł dostać posadę i tysiąc rubli pensji...

Należało jednak śpieszyć się, bo pytanie to słyszeli inni współbiesiadnicy, a w Warszawie konkurencja jest wielka.

Śpieszyć się, to znaczy jechać natychmiast, wyrzec się snu, który morzył Pawła, i narazić się na wilgoć, która mogła nabawić go kataru.

Strach — jak nie chciało się adwokatowi porzucić szlafroka, ciepłego mieszkania i szezlongu, który ciągnął, go jak magnes żelazo. Ale pan Paweł miał miękkie serce, więc...

Ziewnął kilka razy, przebrał się — i pojechał z Gawłem. Stracił poobiedni sen, dostał kataru, bólu głowy, lecz — biedakowi wyrobił posadę.

Gaweł był olśniony. Dziękował Pawłowi w imieniu swojej nieszczęśliwej rodziny, nazywał go

dobrodziejem, zbawcą i oświadczył gotowość do oddania mu własnego życia.

— Mała rzecz! — odpowiedział Paweł. — Ale żebyś pan wiedział, jak mi się spać chciało!...

Zdanie to głęboko utkwilo w sercu Gawła. Znał on życie i wiedział, że sen jest przyjemnością, a wyrzeczenie się jego — ofiarą niegorszą od innych.

Od tej chwili w każdej porze dnia myślał o jednym: aby — jeżeli nie wynagrodzić Pawłowi za jego poświęcenie, to przynajmniej okazać mu, że odczuł jego szlachetną ofiarę i płaci wdzięcznością...

Myśl ta zaprzętała mu głowę przez pół roku. Chodziła za nim po mieście, zasiadała przy biurku, jadła z nim obiad, kładła się obok niego w łóżku. Aż Gaweł zesmutniał, a żona poczęła obawiać się o jego wątłe zdrowie.

Tymczasem Paweł, widząc, że siwizna poczyna mu bielić włosy, coraz goręcej zajmował się projektem wejścia w związki małżeńskie. Z dnia na dzień większe wrażenie robiły na nim kobiety i z pewnością ożeniłby się już kilka razy, gdyby nie — fatalna nieśmiałość. Pomimo wiary w siebie, dobrych chęci i licznych stosunków, pan Paweł trwał wciąż w grzechu kawalerstwa, bo — nie umiał się oświadczyć.

Szczególniej wpadła mu w oko pewna wdówka młoda, przystojna i majątna, która także miała gust do pana Pawła. Z nim rozmawiała najczęściej, u niego zasięgała rad w kwestjach dotyczących majątku. A widząc, że adwokat jest nieśmiały, z kobiecą zręcznością zachęcała go do oświadczyn. Paweł rozumiał te manewra, nabierał ducha, kochał się coraz namiętniej, lecz ile razy, w czasie pogadanki, zrobił znaczącą pauzę i odchrząknął, ażeby oświadczyć się, strach paraliżował mu język...

Nareszcie pani ta, nie chcąc już dźwigać nieznośnego ciężaru wdowieństwa, zwróciła część względów do pewnego majątnego kupca, który miał odwagę za trzech adwokatów i oświadczał się co tydzień — bez skutku.

I stało się, że od tej pory kupiec coraz widoczniej postępował w łaskach, pan Paweł tracił dawne względy, a wdówka drobnym, ale pewnym krokiem zbliżała się do — powtórnej zmiany stanu.

Swoją drogą, żal jej było adwokata, więc zdecydowała się na ostatnią próbę. Poszła sama do jego mieszkania z prośbą o wydobycie pewnej sumy pieniędzy, ulokowanej na hipotecę.

— Poco się pani śpieszy? — spytał adwokat — lokacja jest pewna, procent dobry, niech więc suma leży — choćby do końca świata.

— Co mi z tego, kiedy ja gotówki potrzebuję! — odparła wdowa.

— Na co? — szepnął pan Paweł.

Pani zarumieniła się, ale rzekła bez wahania:

— Wychodzę zamąż!...

Pan Paweł zbladł. Zaczął przewracać papiery leżące na biurku, odchrząknął i... nagle ujął damę za rękę.

— Pani! — rzekł — czy zamiar pani jest nieodwołalny?

— Co do podniesienia sumy — tak.

— A co do oddania rączki swojej... temu...

— To zależy!... — odparła dama, patrząc na adwokata z nieudaną życzliwością.

Pan Paweł zrobił postanowienie. Pocałował damę w zgrabną rączkę, klęknął u jej nóg i rzekł: — Pani!... Od roku pragnąłem..

W tej chwili ktoś mocno szarpnął za dzwonek — raz, drugi i trzeci...

Wybiegł lokaj z przedpokoju, ruszyli się dependenci w kancelarji.

Ktoś dzwonił, jak na podniesienie.

— A niechże was djabli porwą! — zaklął adwokat, powstając na równe nogi.

Dama także podniosła się z fotelu, blada, z okiem błyszczącym. Pozycja jej stała się śmieszną.

— A zatem — rzekła stanowczym głosem — proszę pana o wydobycie mojej sumy. Gdyby zaś robiło to panu trudności, w takim razie osobiście sprawę załatwię.

I wyszła, a pan Paweł został na środku pokoju jak żona Lota, która zamieniła się w słup soli.

W przedpokoju piękna wdowa minęła się z Gawłem, który przyszedł do adwokata we fraku i białych rękawiczkach. Za nim posłaniec niósł pod pachą spore zawiniątko.

Pan Paweł przyjął swego protegowanego z lodowatą obojętnością. Ale Gaweł nadto był wdzięczny, ażeby podobnemi drobiazgami mógł się zrażać.

— Panie adwokacie! — rzekł Gaweł. — Przed dziewięcioma miesiącami przerwałeś pan sen, ażeby zrobić mi łaskę. Dziś zrób mi drugą łaskę i — przyjmij ten mały dowód nigdy niewygasłej wdzięczności.

To mówiąc, wziął od posłańca zawiniątko, wydobył z niego śliczną aksamitną poduszkę i uroczyście doręczył ją Pawłowi, z którego o mało życie nie uciekło.

— Z tej strony — mówił Gaweł — wyhaftowane jest to... Adwokat przeczytał na poduszce napis: „Pamiętka przerwane go snu. Dnia... roku...”

— A z tej strony — mówił dalej Gaweł, odwracając poduszkę — jest to...

Pan Paweł przeczytał:

„Cnota bywa niekiedy wynagradzana i w tem życiu.”

— Ach! — westchnął adwokat, gorzko żałując, że jego cnota nie została wynagrodzona dopiero w życiu przyszłym.

Swoją drogą Gawłowi ciężar spadł z serca. Wrócił do domu bardzo kontent i zdejmując frak, mówił do żony:

— Miło mi, że przynajmniej tym sposobem okazałem zacnemu Pawłowi moją wdzięczność!...

POETA I ŚWIAT.

Przepisał ze znalezionej rękopismu Bolesław Prus.

...Na kartkach tych pragnę opisać dramatyczne dzieje człowieka, który, stworzony na poetę, został — dependentem...

Jeżeli w słowach powyższych znajdzie kto za wiele goryczy, niech obwinia nie mnie, ale porządek społeczny i naturę, która dając mi taką duszę, jaką mam, zrobiła mnie tem, czem jestem.

Ale — dźwigajmy dalej cierniową koronę. Może przyszłość...

Moja nieboszczka mama znała kuzynkę Juljusza Słowackiego, a zmarły ojciec często bywał w domu, w którym urodził się Fryderyk Szopen. Z tego powodu otrzymałem imiona: Fryderyka-Juljusza.

Ojciec nazywaj mnie Fryderykiem i twierdził, że mam talent muzyczny. Mama nazywała tylko Juljuszem i była pewna, że zostanę poetą. Taka niezgodność poglądów często doprowadzała rodziców do sprzeczek. Zazwyczaj jednak godziła ich bawiąca w naszym domu ciocia Femcia, zapewniając poróżnionych, że posiadam równie wielkie zdolności do muzyki jak i do poezji.

Ona pierwsza, gdy miałem lat pięć, poczęła udzielać mi lekcje fortepianu. Ponieważ ręce moje były za małe, więc z początku grałem tylko jednym palcem melodją: „Wlazł kotek na płotek...” Wkrótce ciocia przekonała się, że dla pokierowania moich zdolności nie wystarczą jej muzyczne zasoby. Ja bowiem chciałem koniecznie grać wszystkimi palcami, ale żadną miarą nie mogłem objąć ręką oktawy.

W tym wypadku natura po raz pierwszy obeszła się ze mną jak macocha.

Gdym miał lat sześć, przyjęto nauczyciela muzyki, który odznaczał się dużym talentem, ale trochę pił. W kwartał po nim nastąpił inny nauczyciel, gwałtownik i brutal, który, gdy w sali nie było świadków, tak ciągnął mnie za uszy, że mi do dziś dnia odstają.

Gdym doszedł do siedmiu lat, ojciec zmarł. Wtedy mama i jej stronnictwo powiedzieli, że nie mam ani zdolności do muzyki, ani nawet słuchu — i — moja artystyczna edukacja przerwała się na „Polce tremblante.”

Może i lepiej, że się wyżej nie kształciłem w muzyce, bo zapewne i w niej byłbym męczennikiem jak w poezji. Duch mój jest zanadto samodzielny i, że tak powiem: rewolucyjny, w granicach legalności. A o ile znam muzykę, zdaje mi się, że — sztuka ta wymagała głębokich reform.

Do dwunastego roku znajdowałem się pod wyłącznymi wpływami cioci i mamy. Ciocia Femcia, podówczas osoba starsza, codziennie odkrywała we mnie nowe zdolności; mama — rozwijała mój poetycki talent.

W tej epoce żyłem tylko poezją. Prawie na każdą godzinę dnia mama wynajdywała, w zbiorze sławniejszych poetów, stosowne wiersze i uczyła mnie ich na pamięć. Sama doszła wkońcu do takiej wprawy, że na miesiąc przed śmiercią zaczęła mówić wierszem. Mnie jednak z tej edukacji zostało niewiele. Gdy mama czytała co przy mnie, umysł mój zajęty był samodzielnym tworzeniem, i z tego powodu większa część jej pracy ginęła bez pożytku.

Z dziecińczych czasów zostałem mi jeden cenny nabytek. Co wieczór, gdym był w łóżeczku, mama czytała wiersz Słowackiego „W Szwajcarji,” przy którym zasypiałem. Dziś, ile razy nadmiar poetycznej twórczości spędza mi sen z powiek, kładę się do łóżka i mówię półgłosem:

Ileż cię razy dźwiękami lutni Budziłem i do snu kładłem!... A ty smutniejsza niż ludzie smutni Za

nowem biegłaś widziałem...

Nigdy jeszcze nie było wypadku, ażebym nie zasnął, powtórzywszy tę strofkę dwa, a najwięcej trzy razy.

Ponieważ nauka liter z elementarza, jako czysto mechaniczna, okazała się dla zdolności moich szkodliwą, więc mama uczyła mnie liter na utworach poetycznych.

Ale i ten system nie był dla mnie odpowiedni.

Gdy pokazywano literę, ja pytałem o wyraz — gdy objaśniano wyraz, myślałem o zdaniu, a nim wytłomaczono mi zdanie, zapomniałem litery. Ledwie w dziewiątym roku udało mi się o tyle opanować wyobraźnię, że patrząc na wyraz: człowiek, nie wymawiałem go: cokolwiek.

Zato na naukę pisania mama nie kładła zbyt silnego nacisku, sądząc, że gdy zostanę wielkim poetą, będę mógł przyjąć sekretarza, obeznanego z rzemiosłem przyoblekania myśli w materialną formę.

Po śmierci mamy (miałem wtedy lat dwanaście), główną moją opiekunką została ciocia Femcia, której dodano za współopiekuna dalekiego krewnego. Opiekun troszczył się przede wszystkim o dobre umieszczenie moich kapitałów, w kwocie pięćdziesięciu tysięcy złotych.

Gdy się zaś z tem załatwił, zaczął wtrącać się do mego wychowania.

Pamiętam gwałtowną scenę, jaka wybuchła między nim i ciotką z powodu jego szorstkości i dzikich poglądów.

Był wieczór. Leżałem już w łóżku, a w drugim pokoju opiekun naradzał się z ciotką Femcią. Ponieważ udawałem, że śpię, rozmowa więc, z początku cicha, stała się głośna.

— No, moja pani — mówił opiekun — musimy wkońcu pomyśleć o przyszłości chłopca.

— Myślmy o niej od chwili jego przyjścia na świat — odpowiedziała ciotka z powagą.

— Co to za myślenie!... — krzyknął opiekun. — Wychowaliśmy go po babsku...

— Zapominasz się pan!... — przerwała mu ciotka.

— Wcale nie, to pani zapominasz się... Chłopak nic nie umie, głowę ma przewróconą, a pani zdaje się, że będzie poetą!... Skąd poetą?... Boć ani jego rodzice, ani nawet dziadkowie nie zdradzali najmniejszych poetyckich aspiracji...

— Więc chyba pan nie wierzysz w moc zapatrzenia?... — spytała oburzona ciotka.

— Jakiego zapatrzenia?... Na co się miał kto zapatrywać? — wyrzekł opiekun.

— A Słowacki?...

— Jaki Słowacki?... Że nieboszczka znała jego kuzynkę, to zaraz chłopak ma być podobny do Słowackiego!... Wszyscy, mający odrobinę rozsądku, widzą jedno tylko: że ten przyszły genjusz jest tymczasem głupi jak stołowe nogi...

Nie dokończył, gdyż ciocia dostała spazmów i kazała mu natychmiast wyjść. W pół roku później miałem innego opiekuna, który nietylko zgadzał się na kierunek mojej edukacji, ale jeszcze pozwalał nam czerpać pieniądze z kapitału; procenta od moich pięćdziesięciu tysięcy nie wystarczały na opędzenie wydatków.

Z tem wszystkim, ciocia, pod naciskiem opinii osób bliżej z nami żyjących, oddała mnie na prywatną pensję męską. Byłem tam do osiemnastego roku i opuściłem piątą klasę, zdaje mi się, że z patentem. Nauczyciele mieli dla mnie dość względów, ale koledzy dokuczali mi. Byli widać ulepieni z tej samej gliny, co i mój pierwszy opiekun, bo używali takich jak on przezwisk i wymysłów.

Po opuszczeniu pensji studjowałem jakiś czas literaturę powszechną i estetykę. Wnet jednak zarzuciłem tę jałową pracę.

Pewien głębiej na świat patrzący człowiek powiedział mi, że dla twórczego ducha potrzebne są nie przepisy estetyczne, ale żywe wrażenia, nie suche nauki, ale uczucia. Widzieć, słyszeć, dotykać

— kochać, nienawidzić, podziwiać, roznamiętniać się, słowem: doświadczać — oto najpierwsze warunki, ażeby poeta mógł podnosić umysły i zapalać serca.

Poglądy te, zupełnie zgodne z naturą mego talentu, zakomunikowałem cioci, o ile sobie przypominam, w dniu, w którym zacna ta, ale nie wolna od przesądów kobieta nie chciała zapłacić małego długu, jaki zaciągnąłem przed kilkoma miesiącami. Wiem, że przy tej okazji wyniknął między nami spór. Ciocia pytała się: na co wydałem trzysta czy czterysta rubli? — a ja odpowiedziałem, że albo muszę rzucić się w wir życia, albo — zmarnować talent. Ciocia z naciskiem zalecała mi, ażebym się dobrze prowadził i nie zaciągał długów, — ja twierdziłem, że długi będę dopóty zaciągał z konieczności, dopóki nie otrzymam dostatecznych zasiłków pieniężnych. Nareszcie, znudzony uporem cioci, powiedziałem, że z rozpaczy zapiszę się do wojska. Wtedy ustąpiła.

Gdym miał lat dziewiętnaście, przysłała mi myśl do poematu pod tytułem: „Nero.”

W tej epopei chciałem przedstawić rozpustę Cezara, cierpienia męczenników i pożar Rzymu. Ponieważ czułem, że brakuje mi odpowiednich wrażeń, postanowiłem więc puścić się w podróż.

Byliśmy z ciocią miesiąc w Rzymie, skąd przenieśliśmy się na pół roku do Paryża. Miałem też zamiar wyjechać na dłuższy czas do Tulonu, aby tam, patrząc na cierpienia skazanych na galery, zaczerpnąć materiału do opisu męczenników. Na nieszczęście, nie przysłano pieniędzy z kraju, i musieliśmy wrócić do Warszawy.

Tu — zachorowałem, a lekarze zalecili mi dłuższy wypoczynek, przynajmniej w studjowaniu życia.

Warunek ten był ciosem dla poematu „Nero”, do którego wracałem jeszcze kilka razy, lecz zawsze z niepomyślnym skutkiem. A jednak praca ta, gdybym ją wykończył, wywołałaby przewrót w poezji!

Ażeby dać pojęcie o sile języka i oryginalności obrazów, opowiem wypadek.

Po powrocie do Warszawy wynajęliśmy połowę mieszkania od jednych państwa. Dzieliły nas zamknięte na klucz drzwi w pokoju jadalnym.

Kiedym dźwignął się z choroby, najmilszem mojem zajęciem było chodzić do naszej jadalni i tam, siadłszy na fotelu, pod owemi zamkniętymi drzwiami, czytać głośno pierwszy rozdział poematu, pod tytułem: „Orgja,” który w miarę potrzeby poprawiałem.

Los zrządził, że sąsiedzi mieli dwie córki: jedną piętnastodrugą szesnastoletnią panienkę, a te po całych dniach słuchały mego utworu.

Cisza w pokoju panien i ich ciągłe przesiadywanie pode drzwiami, za którymi deklamowałem „Orgję,” zwróciły uwagę rodziców. Starzy obskuranci wysłali pewnego dnia córki do pokojów dalszych, sami zaszli się na ich miejscu i — podsłuchali, com czytał.

Trudno wyobrazić sobie zadziwienie cioci, kiedy, w kilka minut po skończonej deklamacji, wpadł do naszego mieszkania ojciec panien — i — w słowach, których tu nie powtórzę, wymówił nam lokal!... Dodał wkońcu, że gdyby nie było mu wstyd świadczyć w tak brudnej sprawie, to zaskarżyłby mnie do sądu, nietylko za to, że czytam głośno, ale nawet, że trzymam w domu podobnie obrzydliwe bezceństwa...

— Ależ panie! — mitygowałem szaleńca — to nie są żadne bezceństwa, tylko początek mego poematu pod tytułem „Nero!...”

— Toś pan sam pisał te wierszydła? — spytał dzikus.

— Ja, słowo honoru...

— W takim razie — przerwał mi stary zacofaniec — szczęśliwy pański ojciec, że nie żyje! Bo gdyby doczekał „Nerona,” to pewnie z rozpaczy w łebby sobie strzelił... a może i panu!

W tydzień musieliśmy się wyprowadzić, naciskani przez nieludzkiego sąsiada, gospodarza domu,

a nawet rewiowego. Ciocia była bardzo zmartwiona i stratą lokalu i, jak mówiła, nieprzyzwoitością poematu, ale ja w oceanie goryczy znalazłem odrobinę zadowolenia, przekonawszy się, że stworzyłem dzieło, odznaczające się oryginalnością i siłą.

W kilka miesięcy po ukończeniu rozdziału: „Orgja” i zupełnem przyjsciu do zdrowia, zacząłem znowu myśleć o „Neronie.” Szukałem materiałów do rozdziału: „Pożar.”

Przypomniawszy sobie prawidło, że poecie wolno potęgować rzeczywistość, postanowiłem — szukać pożarów małych, i z pojedynczych obserwacji utworzyć obraz... wielki.

Los napozór sprzyjał mi. Jednego wieczora zobaczyłem z naszych okien — łunę. Rzuciłem szlafrok, ubrałem się i wybiegłszy na ulicę, wsiałem do dorożki, która w parę minut dowiozła mnie na miejsce.

Trafiłem doskonale, paliło się bowiem kilka drewnianych budynków na przestrzeni dość zacieśnionej. Usłyszałem trzask płonącego drzewa, jęki pogorzalców, krzyk ludu. Przedarłem się przez tłumy i — zadyszany, z zaiskrzonym okiem, zbliżyłem się tak, że m czułem gorąco ognia i zapach dymu. Wydobyłem mój notatnik i przy czerwonym świetle zacząłem utrwalac — wrażenia...

Wtem — jakaś nieumyta ręka wytrąciła mi książeczkę. Ktoś schwycił mnie za kołnierz i nim zdołałem zaprotestowac, postawił mnie przed sikawką.

— Kiedyś tu wiał, gapiu, to pompuj! — krzyknął mi w ucho jakiś grubjanin.

Ponieważ słowom jego zawtórował śmiech pospólstwa, więc, lękając się awantury, oparłem ręce na drąg sikawki. Zbytecznem byłoby dodawac, że m wcale nie pompowałem. Pomimo to byłem tak wzburzony, że — cały zapas natchnienia pierzchnął. Wrażenia przepadły, tem bardziej, że nie mogłem odszukać wytrąconej noteski.

Zmęczony, zlany wodą, zabłocony, a nadewszystko — zirytowany, wróciłem do domu.

Następny dzień przeleżałem w łóżku, a od tej pory dreszcz przebiega mi po skórze, ile razy zobaczę pożar.

Mój „Nero” został przerwany na pieśni „Orgja,” do której materiały studjowałem w Paryżu, gdzie żadna brutalna pięść nie przerywała mi wątku pomysłów.

Biedny kraj, w którym wyżej ceni się pompowanie wody do sikawek, aniżeli natchnienie!...

Odłożywszy dalszy ciąg „Nerona” do czasów późniejszych, kiedy wypadki pozwolą mi nasycić się wrażeniami pożaru i męczeństwa, przed półtora rokiem wpadłem na pomysł znacznie mniejszego utworu, pod tytułem: „Bitwa.”

Niejednokrotnie widziałem ludzi, którzy bili się w tawernach i na ulicy. Mam nawet spory zapas notatek dotyczących poszarpanej odzieży, rozczochranych włosów, zapienionych ust, pałających oczów, splątanych ciał przeciwników, klątw, chrapań, jęków. Na tej podstawie i na mocy prawidła, że poecie wolno potęgować rzeczywistość, mogłem już zabrać się do pisania bitwy starożytnej, gdzieby wchodziły w grę miecze, włócznie i siła muskularna.

Ale bardziej pociągała mnie bitwa nowożytna, w której jest większa rozmaitość i groza. Dla uzupełnienia więc brakujących mi wrażeń, postanowiłem zbadać manewra z bronią ognistą.

W tym celu chodziłem na place, gdzie strzelają z armat, studjowałem musztrę piechoty i kawalerji, a wkońcu powziąłem śmiały zamiar. Chciałem usłyszeć świst kul nad własną głową i poznać uczucia, jakich doświadcza żołnierz, stojący pod ogniem.

Pewnego ranka, nie widziany przez nikogo, ukryłem się za wał, przed którym stoją tarcze.

Ledwiem położył się na ziemi, usłyszałem odgłos trąb piechoty. Teraz błysnęła mi inna idea i zapytałem, czy projekt mój nie jest za ryzykowny i czy nie byłoby roztropniej stanąć o kilkadziesiąt kroków z boku?

Chciałem się nawet cofnąć, ale przyszło mi na myśl, że mogą w tej właśnie chwili rozpocząć

ogień, i że cofając się z poza wału, narażę się na gorsze niebezpieczeństwo.

Nie powiem, ażebym czuł obawę, każdy jednak przyzna, że położenie moje stało się trudne...

Przypomniałem sobie, że kule z dalekonośnej broni mogą przebić wał, z drugiej zaś strony obawa spotkania się z kulami, które zbaczają, a nadewszystko honorowa drażliwość, nie pozwalały mi uciekać...

W tej chwili nieledwie wyrzucałem sobie bohaterski zamiar. Zdawało mi się, że już widzę swoje zwłoki, poszarpane kulami, oblane krwią, i że swidzyszę rozpaczliwy jęk cioci Femci, która przy moim trupie umiera!...

Przypomniałem sobie, że nie mam prawa narażać się w taki sposób, i że literatura ojczysta oczekuje ode mnie innych ofiar...

Na myśl o obowiązkach względem literatury, począłem wołać, już nie pamiętam co. Ale wnet spostrzegłem, że głos mój niknie wśród wrzasku sygnałów.

Wtedy ogarnęła mnie wściekłość. Przytuliłem się do ziemi i przysiągłem, że raz na zawsze zerwę z niewdzięczną epopeją, a wezmę się do liryki, jeżeli uniosę życie.

Wszelako wołania moje nie były daremne. Usłyszała je jakaś kobiecina, pasąca nieopodal krowy, i przybiegła, myśląc, że zemdlał... Rozbudzony z głębokiego zamyślenia, dowiedziałem się od niej, że dziś do celu strzelać nie będą, i że na polu odbywa się zwykła musztra piechoty.

Wtedy (o dziwny kaprysie poetyckiej fantazji!), ledwie wyszedł z za wału, począłem żałować, że nie strzelano, i że ominęły mnie bogate wzruszenia! Swoją drogą, wierny przysiędze, wyrzekłem się epopei i ażeby nie złamać słowa, unikam od tej pory, nietylko placów, na których strzelają do celu, ale nawet — widoku broni palnej.

W taki sposób przerzuciłem się do liryki. Śmierć, pożary, walka nie istnieją już dla mnie. Natomiast z podwojonym zapalem szukam pięknej natury i czystej miłości.

W tej epoce, los, który wziął się na to, ażeby moje natchnienia zagłuszyć materjalnymi kłopotami, los, mówię, zesłał na nas całe pasmo udręczeń. Byłem pełnoletni, duch mój rozwinął się, lecz jednocześnie, z odziedziczonego po rodzicach majątku zostało mi ledwie parę tysięcy...

Ludzie, którzy mają zwyczaj odwracać się od niepowodzeń, zerwali z nami stosunki. Dla upozorowania zaś nieprzyzwoitego postępu, zaczęli obsypywać mnie zarzutami. Mówili, że to wstyd, ażeby człowiek w moim wieku nic nie robił. Twierdzili, że strwoniłem majątek na dogadanie chorobliwym zachciankom, które często popychały mnie do czynów nieprzystojnych. Gniewali się na mój tryb życia, w istocie nieco ekscentryczny i — przepowiadali, że marnie zginę. Złośliwość ich nie oszczędzała także cioci Femci, na którą składano odpowiedzialność za moje jakoby złe wychowanie. Nawet odsunął się od nas mój drugi opiekun, ten lepszy, wypowiedziawszy mi pierwszej długie kazanie.

— Mój Juleczku — mówił — ustatkujże się choć teraz, kiedyś został pełnoletnim i nie masz majątku. Zarzuć niedorzeczną poezją, która zjednała ci opinią dziwaka, nie pozuj na geniusz, wykąp się, każ sobie ostrzyć włosy i — weź się do roboty.

Jeżeli chcesz — dodał — mogę wyrobić ci miejsce u adwokata. Nie dojdiesz tam do wielkich rzeczy, ale, przy pracy, będziesz miał chleb.

Ciocia Femcia ze skruczą przysłuchiwała się nudnym morałom, a wkońcu poczęła mnie prosić ze łzami, ażebym „wszedł w siebie!”

— Mój Julciu — biadała — już i ja widzę, że świat nie pozwoli ci zostać poetą, choćbyś nawet miał zdolności. Spełniłam wiernie wolę twojej matki, nie stawiałam ci w niczem przeszkod, robiłeś, co ci na myśl przyszło, i — nie zrobiłeś nic. Sprobujże choć teraz wejść na drogę ludzi zwyczajnych i weź się do pracy, bo...

Wzruszenie przerwało jej mowę.

— Widzisz — zaczęła na nowo — mamy tak mało pieniędzy, że przy oszczędności ledwie nam wystarczy na rok. Ja biorę bieliznę do szycia i na siebie zapracuję. Ale co ty poczniesz?...

Żal mi się zrobiło pocziwej ciotki. Pocałowałem ją w rękę i prosiłem — jeszcze o pół roku cierpliwości.

— Jeżeli w ciągu tego czasu — rzekłem — nie napiszę nic takiego, coby mi zrobiło sławę i zapewniło dochody, zostanę...

Nie mogłem dokończyć.

Moja wiara w siebie tym razem zaniepokoiła ciotkę.

— Czy myślisz dalej pisać „Nerona?” — spytała. — Mój Julciu, ja słyszałam, że on jest bardzo — nieprzyzwoity...

— Nie myślę o „Neronie” — odparłem. — Wezmę się do liryki, ale do tego potrzeba...

— Pewnie tyle pieniędzy, co i na epopeję? — wtrąciła ciotka.

— Nie. Potrzeba tylko, ażebym — kochał i był kochanym! Ciotka przeżegnała się.

— Moje dziecko — rzekła — miłość napędza dużo kłopotów, wkłada obowiązki, zabiera czas...

— Co też ciocia mówi! — zawołałem. — I któryż wielki poeta nie kochał się? Byron, Goethe, Schiller, Mickiewicz, Słowacki!... Każdy z nich miał jakiś ideał, a im więcej z tego powodu cierpiał, tem piękniejsze tworzył poematy.

Ciotka zamyśliła się.

— Ha! ja ci na to nie poradzę — rzekła. — Rób, jak chcesz, ale pamiętaj, żeś już wiele popełnił błędów...

Ta rozmowa zamknęła pierwszą epokę mojej poetyckiej działalności.

Od tej pory nie szukałem silnych wrażeń, mniej wychodziłem z domu, ale po całych dniach marzyłem o miłości idealnej.

Mój Boże! ile znałem panien, które, jeszcze przed dwoma laty, patrzyły na mnie z podziwem i byłyby mi niezawodnie oddały serca. Ale wówczas zajmował mnie pierwszy rozdział „Nerona!...”

Mieszkaliśmy w dwu pokojach na trzecim piętrze. Nie bywaliśmy u nikogo i nikt u nas, z wyjątkiem pewnej guwernantki, brzydkiej, starej panny Łucji, która była naszą sąsiadką i z entuzjazmem mówiła do ciotki o moim genjuszu.

Należała się ode mnie wdzięczność tej damie, co nie szczędziła mi oznak uwielbienia. Ale kiedym spojrzał na jej twarz koloru mięsa, powieki bez rzęs i lniane włosy, zapomniałem o wdzięczności, nienawidziłem wszystkie guwernantki, a nawet — wątpiłem o moim talencie.

Wobec podobnych wielbicielek lepiej być dependentem niż poetą.

Tymczasem nadeszła zima. Sprzedawszy futro, chodziłem w jesiennym paltocie, co w wysokim stopniu niepokoiło ciotkę.

— Cóż, Julciu? — zapytała raz, patrząc na mnie z wyrazem smutku. — Czy nie pora prosić opiekuna, ażeby wyrobił ci tamto miejsce?...

— Kochana ciociu — odpowiedziałem — proszę o cierpliwość tylko na kwartał!

A potem szepnąłem sam do siebie:

— Gdyby błyskawica miłości oświeciła pomysły, które śpią w mojej duszy, byłbym ocalony...

Nigdy jeszcze kobiety nie wydawały mi się tak podobnymi do aniołów, jak wówczas!

Nadszedł karnawał. Do fatalnego terminu brakowało dwa miesiące. Strapiony, chodziłem po małych pokojach, zapytując się niekiedy: czy ja naprawdę mam talent i — czy dotychczasowe życie nie było pasmem złudzeń i dziwactw?...

W tych wędrówkach między czterema ścianami, trafiały mi się chwile upadku, podczas których

nieledwie — wstydziłem się przeszłości!...

Zdawało mi się, że mój pomysł do poematu „Nerona” jest zbiorem dziwactw, że podróż zagranicę była niedorzeczną, że wyprawy do pożarów i na pole musztry zasługują na nazwę skandalu, a pierwsza pieśń z „Nerona,” pod tytułem: „Orgja,” jest dowodem szkaradnego wyuzdania.

Zwątpienie dręczyło mnie, jak — Prometeusza sęp legendowy.

Jednego dnia listonosz przyniósł list, zaadresowany do mnie. Spojrzałem. Koperta niebieska, z grubego papieru, na niej obraz muszki, wymalowany z łudzącą dokładnością. Pismo kobiece, piękne...

Gdy otworzyłem kopertę, owionął mnie delikatny zapach perfum. Ale jakich? — nie mogłem sobie przypomnieć.

W liście znalazłem tylko kilka wierszy:

Poeto! — mówiła nieznana korespondentka. — Jeżeli chcesz poznać osobę, która odgadła twoją duszę, bądź w niedzielę na maskaradzie, pod orkiestrą.

Sfinks.

Zbladłem tak, że ciotka spostrzegła moje wzruszenie.

— Co tobie? — spytała przestraszona.

— Nic! — odpowiedziałem z uśmiechem i schowałem list do kieszeni.

— Co to za list?... pokaż mi go — mówiła, wyciągając rękę.

— Kiedy indziej — odparłem i, dla uniknięcia dalszych pytań, wybiegłem z domu.

— Dziś jest piątek. Więc za kilkadziesiąt godzin poznam tajemniczą przyjaciółkę!... — szeptałem, idąc przez ulicę.

List palił mnie. Wstąpiłem do najbliższej sieni i odczytałem go kilka razy.

— Jakie cudowne pismo!... Jaka szlachetność wyrażeń!... Jaka woń!... Skąd ona mnie zna?...

Przyszła mi na myśl awantura, z powodu głośnego czytania pierwszej pieśni „Nerona.”

— A może to córka naszego ówczesnego sąsiada, która podsłuchiwała mój poemat?... Pewnie starsza, wcale ładna... Nie! — siedemnastoletnie panny nie mają tak pewnej ręki i nie wyrażają się tak śmiało, a zarazem szlachetnie. „Poeto! odgadłam twoją duszę...” Co za wzniosłość!... Tak, to musi być osoba już dojrzała.

Niebo otworzyło się nade mną. Drzemiące zdolności ocknęły się i zagrały jak chór serafinów. Czułem, że pokocham tę kobietę, tak wyższą od swego otoczenia. Czułem, że napiszę poemat, utkany nie ze krwi i ognia, ale z uniesień i zachwyty.

O moja Lauro!... o Beatrycze!...

Gdyby kto znał stan mej duszy, przekonałby się, w jak cudowny sposób miłość uzacnia, podnosi, uświęca człowieka. O, jakżem się wstydził poematu „Nero”! W jakim świetle widziałem awanturniczą przeszłość!

Najdotkliwszym ciosem było dla mnie to nieszczęście, że niedawno pozbawiłem się nowego fraka i czarnych kaszmirowych spodni. Musiałem na maskaradę wynająć garnitur, który źle pasował. Gdym się zaś obliczył z pieniędzmi, okazało się, że po kupieniu biletu wejścia na salę reductową zostanie mi najwyżej osiem złotych.

— Co będzie, jeżeli mój Sfinks, dla okazania mi sympatji, zechce zjeść kolacją? Przecie nie zaprowadzę jej do Brajbisza!

Nigdy tak boleśnie nie czułem straty majątku. I na co go straciłem?... Na poemat, który dziś oddałbym za bukiet świeżych kwiatów.

Warto było dla śmiesznej epepei poświęcić wszystko i nie mieć nawet kilkunastu rubli dla tak pięknej liryki!

Przez całą niedzielę byłem poekscytowany; zdawało mi się, że noc nie nadejdzie nigdy. O dziewiątej ubrałem się, a w parę godzin później byłem na sali reductowej. Przy mocnym oświetleniu moje rękawiczki nie wyglądały dość świeżo. Prócz tego frak pił mnie pod pachą, a cylinder był trochę zmięty. Gdym jednak spojrział w lustro, przekonałem się, że braki garderoby wynagradza wyraz mojej fizjonomji. Na bladej twarzy rozlewała się łagodna melancholja, spotęgowana gąszczem jasnych włosów, odrzuconych na tył głowy. Zdaje mi się, że moje oczy spoglądały w tym tłumie najrozumniej, a w ruchach uwydatniała się — szlachetna niedbałość. Nie chcę sobie pochlebiać, myślę jednak, że zwracałem uwagę. Niektóre maski poufale uderzały mnie wachlarzami, i niejednokrotnie słyszałem wykrzykniki:

— Patrz! patrz!... jak ten wygląda...

Nie przypisuję tego sobie, ale — duchowi poezji, który mnie napełniał. Oczekiwanie, słodki niepokój, pragnienie idealnej miłości, wszystko nastroiło mnie na ton najwyższy. Czułem, że gdyby władza policyjna pozwoliła mi odezwać się z improwizacją, zapanowałbym nad tłumami.

Około pierwszej mój niepokój dosięgnął zenitu. Pod orkiestrą umieściło się kilkanaście par tańczących, zrobił się ścisk, zepchnięto mnie ze stanowiska. Prawie straciłem nadzieję spotkania się ze Sfinksem, gdy wtem... Eleganckie domino obtarło się o moje ramię w sposób bardzo znaczący. Tknęło mnie przecucie. Byłem pewny, że to o n a.

— Pani! — szepnąłem.

Odwróciła się, spojrzała mi w oczy pytając, ale — milczała.

„Widać, że nie zna mnie dobrze — pomyślałem — i nie śmie zaczepić.”

Czułem, że jest moim obowiązkiem ułatwić jej pierwszy krok.

— Pani! — rzekłem — jestem Fryderyk Juljusz...

— A cóż mnie to obchodzi? — odpowiedziało domino wyniośle.

Potem, zwróciwszy się do stojącego niedaleko mężczyzny, rzekło:

— Nigdy nie słyszałam, ażeby kto intrygował maski!

Mężczyzna postąpił ku mnie z miną impertynencką. Byłem zdecydowany, za lada przykry wyraz, żądać satysfakcji.

Nagle przypomniałem sobie, że nie mam biletów wizytowych. Nie słuchając zatem mruceń gbur, cofnąłem się między tłum.

Obszedłem wszystkie sale, noga za nogą, w jednym i w drugim kierunku; przypatrywałem się wszystkim maskom, i — nikt mnie nie zaczepił. Opanował mnie rozstrój nerwowy: światło kłuło w oczy, każdy takt muzyki uderzał jak sztylet. Myślałem, że uduszę się w tłumie i zniechęcony, kilka razy zabierałem się do wyjścia, sądząc, że padł ofiarą mistyfikacji.

Dopiero około godziny trzeciej zetknąłem się z dwoma maskami, z których jedna, szepnąwszy coś do ucha towarzysze, wzięła mnie pod rękę.

Była ubrana w obszerny płaszcz jedwabny, a na głowie miała koronkową chustkę.

Z całej jej postaci widziałem tylko oczy.

— Dlaczego tak późno? — odezwała się głosem sztucznie stłumionym, opierając mi się na ramieniu. — Od dwu godzin szukam...

Zejdźmy na bok.

Uczułem woń konwalij, przypomniałem sobie, że tak samo pachniał list Sfinksa. Milcząc z nadmiaru wzruszenia, uściśnąłem ją za rękę.

Maska poruszyła się.

— Pan wiesz, kto jestem? — zapytała spokojnie.

— Domyślałem się — odpowiedziałem, dobrze wiedząc, że jest to mój Sfinks.

— Domyślasz się pan? I przyszedłeś?...

— Właśnie dlatego przyszedłem...

Na kanapce było wolne miejsce. Usiedliśmy tam, a mój Sfinks mówił:

— Chciałam pana bardzo, ale to bardzo zaintrygować, ale naprzód — spóźniłeś się, a teraz — odkryłeś moje incognito...

Nie mogłem powstrzymać westchnienia. Opanowała mnie jakaś luba rzewność.

— Złośliwy dowcip opuścił mnie — ciągnęła dalej. — Jestem tak zawstydzona, że zapewne nic panu nie powiem. A tyle miałam do powiedzenia!... Niechże mi pan doda odwagi...

— Ja sam przyszedłem tu w nadziei, że do dalszych zapasów z życiem u pani zaczerpnę odwagi.

— U mnie? — odpowiedziała zdziwiona. — Każde z nas walczy i każde szuka podpory, którą chyba znaleźćbyśmy mogli w...

Zawahała się.

— W czym?... dokończ pani!...

— We wzajemnych życzliwych stosunkach.

— Tylko?...

— O czym innym nie marzę nawet — szepnęła

— Ale mnie pozwoli pani marzyć? — spytałem, ściskając ją mocno za rękę.

— Ani ja, ani nikt nie ma prawa rozkazywać panu, albo zabraniać. Jesteś pełnoletni, a twoje doświadczenie i genjusz robią cię mężem dojrzałym.

— Mój genjusz! — powtórzyłem za nią, wybuchając ironicznym śmiechem.

— Nie śmieć się pan, zabraniam panu!... Nie godzi się żartować z tego, co dla mnie jest wiarą i świętością.

Znowu ścisnąłem ją za rękę i od tej chwili już nie puściłem. Sala redutowa znikła mi z oczu, tonąłem w zachwycie.

— Niechże mi pani przynajmniej powie, jak się to stało, że udało mi się zyskać jej sympatię? — szepnąłem najśłodszym głosem.

— Nie mów pan o tym, bo się spalę ze wstydu pod maską. Zdaje mi się, że cały świat patrzy na nas.

— A ja błagam panią, ażebyśmy mówili tylko o tym!... Była do mnie lekko przytulona; czułem, że drży.

— Bóg jeden to wie — szeptała — jakim sposobem roznieca się w sercu — przyjaźń...

— Tylko przyjaźń?...

— Szczera przyjaźń — poprawiła się.

— Tylko szczera przyjaźń?...

— Nie bądźże pan okrutnym! — odparła. — Nie ja powinnam robić wyznania i określać uczucia. Mówimy z sobą ledwie kwadrans, a już chciałbyś pan usłyszeć to, na co inni czekają lata. Tylko poecie wolno być tak niecierpliwym.

— Aniele! — szepnąłem.

— Niech mnie pan nie nazywa aniołem. Jestem tylko kobietą, która umie uczcić iskrę bożą...

— Cześć!... przyjaźń!... — przerwałem niecierpliwie. — Pani mnie zabija konwencjonalnymi wyrazami.

— Jesteś pan niesprawiedliwy — odparła coraz bardziej wzruszona. — Co panu zależy na wyrazach tam, gdzie czyny mówią? Czy nie jest to dziwne, że ja, która przysięgłam nienawiść całemu rodzajowi męskiemu, dla pana — zrobiłam wyjątek?... Czy należało mi pisać list, naznaczać schadzki, a nareszcie w tej chwili — powierzać panu najskrytsze tajemnice, zamiast go złośliwie

intrygować?... A pan pomimo to skarżysz się na konwencjonalne wyrazy?...

— O Sfinksie, chciałbym ci upaść do nóg! — szepnąłem.

Ona umilkła, a potem rzekła jakby do siebie:

— Boże! Boże!... tyle szczęścia... I czem na to zasłużyłam? Teraz przeszło około nas domino, z którym rozłączyliśmy się na środku sali.

— Muszę iść — rzekła moja towarzyszka. — Czas przeleciał mi jak mgnienie oka. Mam do pana żal, żeś się spóźnił, ale już nie gniewam się. Te kilka, minut zamknęły w sobie więcej aniżeli całe godziny. Jestem zupełnie szczęśliwa, tak szczęśliwa, że aż się lękam...

Powstała, ściskając mnie za rękę.

— W każdym innym razie prosiłabym, ażebyś mnie odprowadził...

— Ależ zrobię to z największą rozkoszą...

— Nie!... dziękuję... Po tem, co zaszło między nami, muszę być ostrożna, nawet względem siebie samej...

— Bóstwo moje! — szepnąłem. — Życie ci oddam...

— Pomówimy o tem kiedy indziej. Dobranoc! — rzekła.

— Jeszcze chwilę... Gdzie i kiedy zobaczymy się, ażeby porozmawiać tak szczerze jak dziś?

Zamyśliła się, a potem odpowiedziała prędko:

— Kiedy przyjdę do cioci, z kwiatem we włosach, to znak, że wieczór będę u siebie. Dobranoc!

Pobiegła do swojej przyjaciółki, a ja upadłem na kanapkę, jakgdyby piorun we mnie trzasł.

Co ona powiedziała o cioci?... U jakiej u diabła cioci ona bywa?

Co się ze mną dzieje?... czy ja rozum straciłem?... Miałażby to być ona?...

Chyba że tak. Mówiła coś — o odprowadzeniu jej do domu, o cioci... Słowo honoru daję, że ona myślała, że mnie ją poznał pod maską i że się w niej oddawna kocham. Jezu Marja!...

Jak szalony wpadłem do kontramarkarni, schwyciłem palto i nie zapiąwszy się, popędziłem do domu.

Ledwie rozbudził zaspanego stróża, który przez całą wieczność wkładał klucz w zamek. W chwili, gdy otworzył bramę, zajechała przed dom dorożka.

Z bijącym sercem zatrzymałem się na pierwszym piętrze. W sieni rozmawiały i chichotały dwie kobiety.

— Dobranoc, Heluniu!...

— Przyjemnych marzeń, Łusiu!... — Wolę rzeczywistość!...

Ta, która powiedziała, że woli rzeczywistość, była to czterdziestoletnia panna Łucja, nasza sąsiadka, z czerwoną skórą na twarzy i na szyi. To był Sfinks z maskarady!

W sieni, żegnając się z przyjaciółką, nie zmieniała już głosu. Jutro — pokaże mi się bez maski i może zechce, ażebyśmy jej naprawdę padł do nóg?

Niechaj piekło pożre woniejące anonimy i maskarady, na których lada koczokodan udaje piękną kobietę!

Pocziwa ciotka nie spała i natychmiast otworzyła mi drzwi. Gdyby nie to, pewnie wpadłbym w szpony lubej Łusi, której ciężki chód i sapanie słyszałem już na drugim piętrze.

Rozebrałem się natychmiast, alem nie mógł zasnąć. Dostałem kataru i gorączki, i do białego dnia majaczyło mi się, że Łusia trzyma mnie w objęciach. Prawdziwy cud, że z tych strasznych marzeń nie dostał tyfusu.

Katar był silny, więc ciotka prosiła mnie, ażebym przez parę dni nie wychodził z domu. Około południa odesłałem balowy garnitur krawcowi, ubrałem się w szlafrok i zamknąłem się w drugim pokoiku. W pierwszym ciotka wykończyła na maszynie pilną robotę.

Po południu usłyszałem przez drzwi głos panny Łucji. Mówię bez przesady, że mi włosy powstały na głowie.

— Podobno pan Juljusz jest chory? — zapytała ta piękność.

— Ma katar — odparła ciotka.

— Doskonałem lekarstwem na katar jest kwiat lipowy. Jeżeli pani pozwoli, to ugotuję wody na maszynie i zaparzę kwiatu lipowego — mówił zdemaskowany Sfinks.

— Bardzo będę ci wdzięczna za to, moja panno Łucjo — rzekła ciotka.

— Trzeba także zrobić kogel-mogel. Pani ma jajka?

— Nie mam, droga panno Łucjo.

— To ja pani pożyczę i sama ubiję żółtka z cukrem, bo pani nie ma czasu.

— Jakaś ty pocziwa, panno Łucjo! — odpowiedziała ciotka.

Spotniałem tak, jakgdybym już zjadł kogel-mogel i wypił wszystek kwiat lipowy.

Po tej rozmowie mój Sfinks zginął na godzinę, a ciotka wciąż szła. Wreszcie skończywszy robotę, powiedziała mi, że musi odnieść ją do składu.

— Panna Łucja — dodała ciotka — przyniesie ci kwiat lipowy. Wypijże go i spoć się. Pocziwa dziewczyna!...

Ledwie ciotka wyszła, usłyszałem na korytarzu ciężkie dreptanie mego Sfinksa. Otworzyły się drzwi w pierwszym pokoju, potem w moim... Na progu stanęła panna Łucja z dużym kubkiem i ze szklanką, pełną rozbitych żółtek.

— Dzień dobry, panie Juljuszu! — zawołała. — Przyniosłam panu coś, coś bardzo dobrego i dam, jeżeli pan będzie grzeczny...

Chciałem być w tej chwili wściekłym tygrysem, ale — nie wypadało. Nie mogłem jednak zapanować nad smutkiem.

Panna Łucja przestraszyła się.

— O Boże! pan musi być bardzo chory? — pytała. — Pan powinien się położyć... Niech-no pan wypije to lekarstwo... Mogę zobaczyć, czy pan nie ma gorączki?...

Z temi słowy dotknęła mi ręką czoła.

— Głowa nie gorąca — mówiła dalej. — To nic, to przejdzie, byle się pan tylko nie zaziębił. Od tej pory nie powinien pan nigdy chodzić na maskaradę...

— Już nie pójdę! — odparłem.

Panna Łucja zdawała się być zdziwioną. Przez chwilę milczała, potem szepnęła pieszczotliwie:

— Czy pan gniewa się? Może na mnie?...

W jej lnianych włosach zobaczyłem kwiat, a w spojrzeniu — tak poufałą tklivość, że m ścisnął pięści i zamknął oczy.

— Czy na mnie nie chce pan patrzeć?... Odejdę, jeżeli tak...

— O nie, pani! — zawołałem z pośpiechem — ale mam taką migrenę, że mi ledwie głowa nie pęknie.

— To przejdzie... przejdzie... Postaramy się, ażeby pan jak najprędzej odzyskał zdrowie i dobry humor. Tymczasem — może pan kapryścić, chorym wolno.

Wszystko mówiła takim tonem, jakbym był jej zdeklarowanym kochankiem.

Widocznie panna Łucja traktuje mnie już jak swoją własność!... Nie śmiałem oponować, nie wiedziałem, w jaki sposób wybrnę z matni, a z drugiej strony czułem, że nie mogę ani słuchać, ani patrzeć na tę kobietę, którą pod maską nazwałem : aniołem.

Od tej pory co dzień po parę razy spotykaliśmy się z panną Łucją. Ja byłem zakłopotany i zimny, a ona — zdumiona.

Czasami wpatrywała się we mnie, z trudnością hamując łzy. Z początku pytała, co mi jest... dlaczego smutny... Potem przestała się pytać, ale zaczęła mizernieć, tak, że (może mi się zdaje!) aż jej skóra na policzkach obwisła.

W końcu doszło do tego, że ciotka poczęła mnie wypytywać, co znaczą miny panny Łucji — a ja... na całe dni wychodziłem z domu.

Czytałem kiedyś, że ptak pod wzrokiem grzechotnika traci zdolność ruchu. Otóż jest rzeczą niezawodną, że ja, pod spojrzeniami panny Łucji, straciłem zdolności poetyckie. Co więcej, tyłem się od niej nasłuchał o poezji, że nawet zbrzydł mi ten wyraz.

Nareszcie, gdy pewnego dnia ciotka doniosła mi z płaczem, że na opłacenie komornego musi zaciągnąć dług, i gdy panna Łucja robiła się coraz mizerniejszą — zdecydowałem się.

Poszedłem do mego dawnego opiekuna i za jego protekcją — dostałem miejsce dependenta. Mam na początek siedem rubli pensji miesięcznej i życie, a nadewszystko — mieszkanie przy kancelarji. Gdyby nie ta okoliczność, pewnie codzień widywałem pannę Łucję i chyba bym powiesił się z rozpaczy.

Drugiej nocy po sprowadzeniu się do adwokata, wyglądając z okna kancelarji, zobaczyłem spadającą gwiazdę. Przez kilka sekund biegła w górę pięknym łukiem — potem zaczęła nagle spadać i zgasła.

Czyżby tak zgasło moje natchnienie?...

W tydzień później spostrzegłem między interesantami (którzy przyszli po poradę prawną) kobietę uderzającą pięknosci. Schylony nad biurkiem pisałem, a ile razy podniosłem oczy, przekonałem się, że ona — patrzy na mnie.

Jest to młoda wdowa. Przepisuję jej dokumenta i już parę razy byłem w jej domu z poleceniami adwokata. Ona spogląda na mnie coraz przychylniej, a ja czuję, że w mojej duszy budzi się znów talent. Napisałem nawet wiersz: „Tęsknota” i miejską pocztą wysłałem do jednego z pism. Teraz z biciem serca czekam na nowe spotkanie z moim ideałem i na odpowiedź od redakcji...

Już późno, a tak pragnąłbym natychmiast zasnąć, bo jutro muszę wstać rano.

Ileż cię razy dźwiękami lutni Budziłem i do snu kładłem...

A — ach!...

A ty... (a-ha-ha!) smutniejsza niż ludzie smutni Za nowem...

JEDEN Z WIELU.

Mój przyjaciel, pan Karol, był śniadym brunetem. Miał szare oczy, które drażnią kobiety — i taki spokój w obejściu, który jedna mężczyzn. Mówiono, że jest przystojny, choć spierano się o jego temperament: jedni nazywali go łagodnym, inni — poprostu flegmatykiem.

Od dziecka był sierotą. Została mu tylko starsza siostra, guwernantka, przy pomocy której ukończył gimnazjum. Ona też namówiła go, że wszedł do uniwersytetu i następnie radziła, ażeby nie żenił się i — ażeby kierował się na adwokata.

Karol tak dalece nie miał ochoty do sporów, nawet przy kratkach, że wolał zostać sędzią. Tak zaś mocno kochał się (będąc jeszcze studentem) w pewnej pannie Gabrjeli, że skoro uzyskał posadę asesora w prowincjonalnem mieście, ożenił się.

Póki był kawalerem — sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, mający siostry lub córki na wydaniu, rozrywali go. Rzadko jadał obiad na własny koszt, a prawie nigdy nie bywał na kolacji w domu. Karmiono go tak, że nabrał ciała. Chwalono jego zdolności, przyjaciele zaś klęli się, że gdy przyjdzie reforma sądowa, to pan Karol zostanie sędzią, jeżeli nie prezesem. Na taki urząd on jeden posiadał kwalifikacje — w oczach panien na wydaniu i ich rodzin.

Tylko siostra guwernantka, znudzona swym dziewictwem, a może i zmęczona przypadkami hysterji, nieraz mówiła, że pan Karol nie dojdzie do niczego. On uśmiechał się, słuchając jej cierpkich uwag, i spokojnie oczekiwał reformy sądowej, a wraz z nią — wyższego tytułu i pensji.

Tymczasem brał sześćset rubli srebrem i — pewnego karnawału — cichaczem, ożenił się z panną Gabrjelą.

Była to śliczna osoba: wysmukła, szatynka, delikatna. Miała duże oczy i anielski wyraz twarzy. Lubiała się pieścić, a przynajmniej — wpatrywać się całemi godzinami w swego „mężunia”. Gdy jej długo nie całował, albo zajęty czytaniem spraw — nie spojrział na nią, robiącą szydełkiem serwetę, umiała się gdzieś w kącie rozplakać. Ale gniewu nikt w niej nie widział.

Po weselu wszyscy sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, mający siostry lub córki na wydaniu, przestali kochać pana Karola. Niektórzy nie pooddawali młodym małżonkom wizyt; inni — nie spostrzegali ich na ulicy. Kobiety jednomyślnie nazwały panią Gabrjelę — gąską, a mężczyźni mówili między sobą, że pan Karol nie ma żadnych zdolności, tylko — takie miny, jakgdyby chorował na mądrość.

W tych czasach przyszła reforma sądowa i — pan Karol spadł z etatu.

Z początku nie wspominał nic żonie. Ale kiedy pewnego dnia dano mu do wyboru: dymisją z dwuletnią pensją, albo posadę w dalekiej okolicy, — przyznał się przed panią Gabrjelą do tego, co go spotkało, i zapytał o radę.

Usłyszawszy tak straszną wiadomość, pani zbladła, potem — zarumieniła się i zaczęła mrugać długimi rzęsami. Potem zawiesiła się mężowi na szyi i chciała zacałować sprawę, a nareszcie — dała mu taką radę, że Karolek może robić i jechać, gdzie mu się podoba, byle ona była z nim razem..

Wkońcu, całkiem niespodzianie — zemdląła, a pan Karol, widząc, że żona jest chora i nie ma sił na odległe podróże — przyjął dymisją.

W parę miesięcy później przyszła im na świat córeczka, Józia, a pani Gabrjela ciężko zasłabła. Karol, tak kochał żonę, że nie mógł odstąpić jej ani na chwilę. Podawał jej lekarstwa, przenosił ją na kanapę, prześcielał łóżko, czuwał nad nią po całych nocach, a oprócz tego — był jeszcze niańką swojej córeczki i służącą jej mamki. Nareszcie pani Gabrjela powróciła do zdrowia, a gdy pierwszy

raz wyszła z mężem na spacer, do ogrodu, przypomnieli sobie oboje, że to już rok upłynął od dnia, kiedy panu Karolowi dano dymisję... Już drugi raz żółte liście zasypywały ścieżki...

Teraz były asesor począł starać się o pracę. Nie szło mu przecie łatwo. Jedni z możliwych protektorów mieli do niego żal, za „nietaktowne ożenienie.” Inni — sami spadli z etatu, a inni — nie śmieli ofiarować ladajakiego zajęcia człowiekowi, który mógł być sędzią, nawet prezesem...

Tylko czasami jeden z mniej wziętych adwokatów dawał ukradkiem panu Karolowi sprawy do wyrobienia; poczem obaj dobrze napocili się, nim jeden ofiarował, a drugi — przyjął wynagrodzenie.

Tak zeszedł następny rok i skończyły się rządowe zasiłki. Państwu Karolom przybył synek, a siostra guwernantka, chcąc dopomóc młodym małżonkom, sprowadziła się do nich ze wsi i począła w mieście dawać lekcje.

Jej dochody, praca pani Gabrjeli, która nauczyła się szyc na maszynie, i dorywcze zarobki pana Karola pozwoliły im opędzić trzeci rok.

Wszystkim jednakże ciężyło to niepewne położenie. Fundusze ledwie wystarczały na liche życie. Służąca była jedna w domu, więc pani Gabrjela pomimo braku sił i szycia, musiała jeszcze pracować jak niańka, kucharka i pokojówka.

Siostra (najlepsza w świecie kobieta) często gderiała, a pana Karola palił wstyd na myśl, że najmniej zarabia on, który powinien być filarem całej rodziny.

Począł tedy radzić się znajomych, jacy mu jeszcze pozostali. Każdy był zdania, że dla pana Karola na prowincji nie ma widoków. Jedni radzili cierpliwie czekać „lepszych czasów,” a drudzy — jechać do Warszawy.

— Jakto? — spytał pan Karol. — Jechać do Warszawy, z rodziną, na niepewne?...

— To też zostaw pan rodzinę tutaj. Sędzia Majewski, który jednocześnie z panem spadł z etatu, miał tyle rozumu, że natychmiast wyjechał. To też w pół roku dostał posadę przy jakiejś warszawskiej redakcji, ściągnął rodzinę i dziś — znowu są wszyscy razem, a nawet dobrze im się wiedzie...

Pan Karol zgnębiony wrócił do domu. Tej nocy nie spał, a na drugi dzień był mizerny, jak po chorobie. Jadł mało — milcząc, z rękoma w kieszeniach chodził po ciasnem mieszkaniu — i wymęczał w sobie projekt wyjazdu do Warszawy, bez żony i bez dzieci!...

Pani Gabrjela spoglądała na niego, pełna niepokoju. Wreszcie ośmieliła się zapytać, co mu jest...

— Muszę jechać! — odparł, nie patrząc na nią. Żonę coś tknęło. Po chwili milczenia rzekła:

— Ty?... jechać?... Jakto — jechać?...

— Pojadę do Warszawy starać się o zajęcie. Dłużej nie może być tak, jak jest...

Pani Gabrjela nie umiała na to znaleźć odpowiedzi, ale wyręczyła ją siostra Karola.

Objęła brata rękoma za szyję, pocałowała go w czoło i rzekła:

— Teraz widzę, że jeszcze jesteś człowiekiem!... Tak — jedź... Jeżeli tu zostaniesz, twoją żonę czeka nędza, a ciebie rozpacz, bo tu — niema dla nas chleba. Zato w Warszawie jest go pełno...

Po takim przemówieniu wróciła na swoje miejsce i cisza zaległa mieszkanie. Przez kilka minut słyhać było tylko oddechy dzieci, śpiących w drugim pokoju.

— Więc... kiedyżbyśmy wyjechali?... — szepnęła pani Gabrjela.

— Naprzód on sam musi pojechać — odparła siostra guwernantka.

— Karolek sam?... Ty sam?... — spytała żona, szeroko otwierając oczy.

— Ja sam. Nie może być inaczej! — odpowiedział, znowu nie patrząc na żonę.

Ona podniosła się z wyciągniętymi rękoma, zdumiona. Spoglądała kolejno na męża i na jego siostrę, jakby nie pojmując, czego od niej chcą. Przez chwilę zdawało się jej, że to jacyś obcy ludzie

przybrali na siebie postacie ukochanych osób.

— Karol ma jechać... sam? — szeptała.

Siostra spojrzała na nią z wyrzutem.

— A ja?... a dzieci? — mówiła żona. — Czyliż on mógłby rozdzielić się z dziećmi?... Zresztą choćby on mógł, ależ ja... ja... Mój Boże... ja jeszcze nigdy, ani przez jeden dzień nie byłam tak daleko od niego...

Mąż milczał, tylko z bólu zatapiał paznogie we własnych rękach.

— Gabrjelo, nie bądźże dzieckiem! — odezwała się siostra. W drugim pokoju zapłakał mały Kazio. Pani Gabrjela rzuciła się tam gorączkowym ruchem i zamknęła drzwi.

Po chwili — rozległ się przyśpieszony łoskot kolebki i ciche łkanie.

Kazio tak widać szlochał przez sen.

Na drugi dzień Karol wcześniej wyszedł do miasta, a jego siostra miała długą rozmowę we cztery oczy z panią Gabrjela. Gdy wrócił na obiad, zdziwił się, widząc żonę zupełnie spokojną. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy mu sama powiedziała, że powinien jechać do Warszawy i że im prędzej to zrobi, tem będzie lepiej.

— Siostrunia mówi — rzekła wkońcu — że prędzej się zobaczymy...

I to powiedziawszy nagle wyszła — kołysać synka. Coś szeptała do niego przerywanym głosem, a panu Karolowi zdawało się, że słyszy wyrazy:

— Nie płacz, Kaziuchna, nie płacz!... Tatko pozwoli nam przyjechać do siebie na święta... Nie płaczże, bo to pfe!...

W kilka dni pan Karol wyjechał do Warszawy. Był to zimny, jesienny ranek; dzieci jeszcze spały, gdy pod bramę zajechał Żydek furą, zasłoniętą szarem płótnem; siostra guwernantka dostała spazmów i uklękawszy na podłodze, całowała Karola po rękach. Ale żona nie uroniła ani jednej łzy. Objęła go tylko za szyję, oparła na ramieniu głowę i drżąc, tuliła go do siebie. Aż jej rozerwał splecione ręce, ażeby uwolnić się z uścisku, lecz i wtedy nie płakała. Tylko jej usta zbieleły jak koral, a oczy stały się większe i głębsze niż zwykle.

Istotnie Warszawa nie zawiodła byłego asesora. W tydzień po przyjeździe dostał miejsce dependenta u jednego z adwokatów, którego kancelarją kierował były sędzia apelacyjny.

Tam pracował do dziewiątej wieczór. Później brał do domu papiery od innych adwokatów i przepisywał albo referował sprawy do północy, często, — po północy.

Jadał w taniej kuchni, herbatę z rana i wieczór przyrządzał sobie sam i mieszkał na ulicy Piwnej, tak wysoko, że kiedy z ganku spojrzał na lampkę kopcającą się na parterze, to zdawało mu się, że widzi światło w studni.

Pomimo to pan Karol był szczęśliwy. Zaraz w pierwszym miesiącu wysłał żonie dwadzieścia pięć rubli, a w drugim czterdzieści, i z gorączkową niecierpliwością rachował dni zostające do Nowego Roku. Miał bowiem nadzieję, a właściwie pewność, że po Nowym Roku całą rodzinę sprowadzi do Warszawy. Nieraz, kiedy zgiętemu nad stolikiem sztywniały z zimna palce, a czarne płatki biegały przed oczyma, zrywał się od pisania, biegał po ciasnej izbie, przez małe szyby której zaglądały do niego gwiazdy i — marzył:

— Sędzia pójdzie do mecenasa X., a ja zostanę na jego miejsce naczelnikiem kancelarji. Zato będę miał sześćdziesiąt rubli, za wyrabianie spraw dostanę ze czterdzieści, razem sto. Siostra będzie dawać lekcje, Gabrjelka będzie szyła...

Eh! I szyć nie potrzebuje... Wynajmę sobie pomocnika i z nim zacznę wyrabiać sprawy, co mi uczyni ze sto pięćdziesiąt rubli... Później, zebrawszy trochę grosza, postaram się o adwokaturę...

Kiedy gasła lampka, pan Karol, do połowy ubrany, kładł się na tapczanie, okrywał burką i starem

futrem i na chłodnej, skórzanej poduszce próbował zasnąć. Ale wtedy przed oczyma biegały mu już nie czarne, tylko kolorowe płatki. Jeden z nich, biały, zamieniał się w pokoik, tam... Drugi, w części szary, w części żółty, to jego siostra guwernantka... A to — żona!... To jej oczy... jej smutny a taki słodki uśmiech. Na kolanach trzyma dwoje różowych dzieci... Boże, jak też ten Kazio rośnie... Kazio... Żona... Józia...

Do drzwi zapukał stróż. Pora wstawać!... Pan Karol umył się w zimnej jak lód wodzie, szybko ugotował herbatę i biegł do kancelarji.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Pan Karol nie pojechał do swoich. Został w Warszawie, ażeby zarobić jak najwięcej i wysłać żonie pieniędzy na drogę.

Teraz brał robotę od wszystkich znajomych adwokatów. Kiedy nie poszedł do kancelarji, to bywały dni, że się nie mył, nie ubierał, tylko — pisał. Zaczynał przy lampie, a kończył, gdy brakło nafty.

Miał już przeszło pięćdziesiąt rubli, zebranych poza obrębem pensji, i myślał o wynajęciu dużego mieszkania, gdy obudziwszy się pewnego ranka, uczuł ból oczu. Powieki były spuchnięte tak, że ich prawie nie mógł otworzyć.

Przerażony wybiegł na ulicę. Ledwie znalazł dorożkę i kazał się wieźć do okulisty. Trafił w niewłaściwą porę i parę godzin, zgorączkowany, wysiedział się w przedpokoju. Wreszcie przyszedł lekarz, zbadał go i rzekł oschle:

— Musi pan z pół roku wypocząć, inaczej — nie ręczę za wzrok!....

— Pół roku?... — powtórzył Karol. — Ależ ja, panie, nie mogę odpoczywać ani jednego dnia...

— Tem gorzej!

Pan Karol zerwał się z krzesła i chwytając poomacku rękę lekarza, zawołał:

— Ratuj mnie, panie doktorze!... Ja przecież żyję z pisania... Już trzy miesiące nie widziałem żony i dzieci, chcę ich właśnie tu sprowadzić, a pan mi zaleca odpoczynek!... Czyż to się godzi?...

Sztynnego doktora uderzył ten krzyk rozpaczny. Obejrzał jeszcze raz chorego, zrobił mu nadzieję, że wkrótce będzie zdrów, nie przyjął honorarjum, a nawet w parę dni wyrobił mu za pół ceny miejsce w szpitalu.

Stamtąd, nie chcąc trwożyć żony, napisał do niej pan. Karol własnoręczny list, donosząc, że go trochę bolą oczy, że w zimie niepodobna wynająć mieszkania, lecz — że wszystko będzie dobrze. Wkrótce też odpowiedziała mu żona, że i u nich jest wszystko dobrze, tylko — siostra guwernantka jest trochę niezdrowa. Ponieważ jednak ona sama nauczyła się kroju i ma do pomocy panienkę, więc prosi męża, aby jej nie przysyłał tak wiele pieniędzy jak dotychczas, najwyżej kilkanaście rubli na miesiąc, byle oszczędzał swój wzrok.

Po dwu tygodniach pan Karol opuścił szpital, będąc mocno upominanym przez lekarzy, ażeby na kilka miesięcy wstrzymał się od pisania. Nie usłuchał ich jednak. Tego samego dnia poszedł do kancelarji i po upływie godziny — rzucił pióro.

Nie mógł pisać.

Adwokat, który już wiedział o jego nieszczęściu, wezwał go do gabinetu. Tam zachęcał go do szanowania zdrowia, do dłuższego wypoczynku, ofiarował miesięczną pensją i obiecał, że w przyszłości da mu u siebie miejsce na lepszych warunkach. Tymczasem jednak, z powodu nawału pracy, obowiązki pana Karola pełnić musi zastępca, były prokurator...

Pan Karol zrozumiał, że dano mu dymisję. Wyszedł od adwokata jak błędny i — pomyślał o śmierci. Rozdrażniony, prawie nieprzytomny, powlókł się na most i chciał skoczyć między płynącą krę. Ale w tej chwili przywidziało mu się, że usłyszał krzyk żony.

— Karolu mój, Karolu!...

Krzyk był tak wyraźny, że człowieka tego oblał pot — trwogi. Czuł, że musi żyć...

Przez kilka dni wałęsał się po Warszawie bez celu, wreszcie spotkał pewnego kolegę eks-sądownika, który wysłuchawszy jego dziejów, obiecał mu wyrobić stosowne zajęcie.

Jakoż wyrobił mu — na odpoczynek — posadę pisarza przy niewielkim składzie węgla. Tam pan Karol dostał mieszkanie w budce, mającej kilka łokci kwadratowych powierzchni — i — dwadzieścia pięć rubli pensji na miesiąc.

Po nadmiernej kilkumiesięcznej pracy, po kilkutygodniowych udręczeniach moralnych, pan Karol zapadł w obojętność. Po całych dniach siedział w swojej budce z nogami owiniętymi w słomiane papucie (bo od spodu wiało), sprzedawał węgle na pudy, na korce, na wozy, odbierał pieniądze, odcinał kwity, wydawał furmanom rozkazy, albo gdy zabrakło roboty, patrzył osłupiałym wzrokiem na żarzące się węgle w żelaznym piecyku.

Tu sypiał, tu mieszkał. Na własne utrzymanie wydawał sześć rubli miesięcznie, chował rubla na pocztowe marki, resztę pieniędzy posyłał żonie. Listy ich obojga były krótkie, jakgdyby rwała się nic przywiązania.

Dopiero odżył trochę pan Karol w maju, gdy pewnej niedzieli wyszedł aleją Jerozolimską aż za rogatki. Na widok pól już zieleniejących się uczuł, że w jego zdrewniałem sercu budzi się tęsknota do rodziny. Tego dnia napisał do żony tkliwy list i — nagle przyszło mu na myśl — że byłoby dobrze odwiedzić ją choć... na Boże Narodzenie!

Tak jeszcze daleko, ale i cóż, kiedy na wyjazd nie miał pieniędzy i musiał dopiero wynaleźć źródło nowego dochodu.

Odtąd jakby nowy duch wstąpił w pana Karola. Nie siedział już w swej izbie, ale wieczorami wymykał się do miasta, szukając pracy. Jakoż wyrobił sobie, z niemałym trudem, to, że mu od czasu do czasu spadało do przepisania jakiejś parę arkuszy i — parę złotych do kieszeni.

Innym razem, gdy nie miał pisaniny, kupował angielską bibułkę, pokrywał ją rysunkami (bo umiał trochę rysować) i następnie układał z takich arkuszy umbrelki na lampy. Te wyroby brał jeden znajomy mu dystrybutor i sprzedawał ich niemało, po czterdzieści groszy sztukę.

Tak pracując, zebrałby pan Karol do Bożego Narodzenia kilkanaście rubli, gdyby nie — nadzwyczajne wydatki. Raz musiał sobie kupić buty, drugi raz kilka perkalowych koszul i — pieniądze po trochu topniały...

Mimo to żył po ludzku, czuł jakąś nadzieję, czegoś pragnął. Termin wyjazdu był jeszcze daleki, ale pan Karol miał już cierpliwość człowieka, nad którym los się pastwi, więc — czekał, sprzedawał węgle, przepisywał akta sądowe i robił umbrelki.

Tylko raz w nocy zerwał się nagle z twardego snu. Zdawało mu się, że to nie może być, ażeby on tak już dawno nie widział żony i dzieci, ażeby tak był od nich daleko. Chciał gdzieś biec, kogoś wołać, coś odepchnąć... Wtem wyciągnięta ręka uderzyła o niski sufit budy i pan Karol oprzytomniał.

— Już tylko miesiąc! — szepnął.

Ale sen odbiegł go. Samotnik wstał, zapalił lampę i wziął się do roboty umbrelek.

Na tydzień przed świętami zaczęła go palić gorączka niecierpliwości. Wyjednał sobie urlop od węglarza, który — wprawdzie krzywił się, ale — wreszcie obiecał mu dać zastępcę i nic nie stracić z pensji.

Potem wydobył z policji paszport i oglądał go po kilka razy na dzień, jakby nie wierząc własnym oczom, że on już ma paszport, że wyjedzie!...

Potem, upewniwszy się co do rzeczywistości paszportu, rachował swoje pieniądze. Miał dziesięć rubli. Przypuściwszy więc, że Żydek za podróż tam i napowrót weźmie sześć rubli, to jeszcze zostanie mu cztery — na gwiazdkę dla swoich!...

Najwięcej jednak cieszyło go to, że do żony ani wyrazu nie napisał o przyjeździe... Boże!... jak oni się ucieszą... Przypominał sobie ich drogie rysy... Napróżno! wszystko jak za mgłą.

Miał wyjechać na noc w wigilją wigilji. W przeddzień wyjazdu, uprosiwszy gospodarza o chwilowe zastępstwo, wymknął się na kilka godzin do miasta.

Wpadł do sklepu tkanin.

— Co może kosztować dobry materiał na suknię? — spytał kupcowej.

— Na jaką cenę pan dobrodziej życzy sobie?... Na pół rubla, czy — może taniej, na dwa złote?...

— Dobrze, niech będzie na dwa złote.

— Może ten?... Nie podoba się panu?... A może ten?... A może ten?... — mówiła kupcowa, szybko rozwijając sztuki dość lichego materiału.

— Dobrze, wezmę ten. Ileż to potrzeba łokci?

— Czy na bardzo wysoką osobę?...

— Nie — na średnią.

— Może pan wziąć trzydzieści łokci... Mam mierzyć?... Pan Karol osłupiał. Jedna suknia kosztowałaby dziewięć rubli, a on ma tylko dziesięć!...

— Może pan dobrodziej życzy sobie lepszy materiał?... Panie dobrodzieju!... pozwól pan!... ja mam na różne ceny!...

Ale pan Karol już opuścił sklep i wracał do siebie ze spuszczone głową. Po drodze kupił małą lalczkę dla Józki i drewnianego jeźdźca dla Kazia. Potem chciał dla niej kupić gospodarstwo, zwierzęta, a dla dwuletniego Kazia bęben i pałasz, ale znowu obrachował, że mu nie wystarczy pieniędzy.

— Wolę dać żonie gotówkę! — pomyślał. — Nie znam się na kobiecych figlach, niech sobie sama kupi gwiazdkę.

Ze wzruszenia zachciało mu się jeść. Machinalnie skręcił do jakiejś garkuchni, ale — znowu żał mu było pieniędzy. Kupił więc kilka bułek, jakąś kiszkę i — wrócił do budy.

Jego pryncypał już się niecierpliwił, ponieważ było zbyt wielu kupujących węgle na pudy, którzy nie stanowią dla kupca interesu i są natrętni przy wadze.

Pan Karol złożył zabawki i pieniądze do kuferka i usiadł na zwykłym miejscu. Nigdy handel nie wydał mu się tak nudnym, a kupujący tak nieznośnymi jak dzisiaj.

Wreszcie nadeszła noc, a po niej ostatni dzień przed wyjazdem.

Pan Karol w nocy nie spał, a w dzień, w ciągu sprzedaży, pokłócił się z kilkoma osobami, nawet przyzwoitemi, co zdziwiło woźniców. Za każdym napisanym kwitem wyglądał przez małą szybę, ażeby sprawdzić, czy jeszcze nie zachodzi słońce i czy nie zajeżdża ze swoją furą Abramek?...

Dzień się skończył, kupujący i woźnice węgla rozeszli się, a pan Karol został sam. Jak też zwłóczy Abramek! Może już odjechał?...

Nie mógł wytrzymać, włożył futro i wybiegł do zajazdu. Zawiniątko już miał od rana przygotowane, a pieniądze wrzucił do szuflady stolika, lękając się ich zgubić. Był tak roztargniony, że chwilami nie wiedział, co robi.

Wpadł do zajazdu. Abramek śpiewającym głosem szwargotał coś z Żydkami, a jego pomocnik wytaczał wóz pod bramę.

— Jedźmyż!... — woła pan Karol. — Ty mnie tak wykierujesz, że się spóźnię na wigilją?...

— Niech pan będzie spokojny! Niech pan siada... Zaraz jedziem..

— Ależ ja nie mam jeszcze rzeczy...

— No, to niech pan wraca do domu, a ja wnet pana dogonię... Mój wóz to lepszy niż koleje żelazne... Lajbele, gešwind!...

Pan Karol wracał cwałem. Przypomniawszy sobie, że w budzie nie zagasił lampy, a zresztą — zdawało mu się, że prędzej biegnąc po zawiniątko, prędzej będzie u swoich.

Już za dwadzieścia cztery godzin zobaczy ich!... A może źle zrobił, nie uprzedzając żony o przyjeździe?... Ono taka wąta...

Teraz dopiero zobaczył ją prawie przed oczyma. Widział jej uśmiech, spojrzenie, czuł uściski, pocałunki...

— O Boże! jak ten Abram nudzi z wyjazdem!...

W tej chwili pan Karol wpadł na swój dziedziniec. Machinalnie spojrzał na okno budy, tam ciemno... Rzucił się do drzwi — otwarte... Osłupiał. Wszedł do środka i potknął się o przewrócony kuferek!...

Drżącymi rękoma wydobył z kamizelki zapałkę. Błysnęło światło i pani Karol jednym rzutem oka poznał, że niema jego zawiniątka, że kuferek i stolik są rozbite i że — ktoś go okradł. Zabrał mu nawet pieniądze na wyjazd...

Zapałka dopaliła się, sparzyła mu palce, zgasła, ale — pan Karol nie ruszył się. Stał jak słup na środku ciemnej izby, którą napełniał prąd lodowatego powietrza.

W pół godziny potem na ulicy zaturkotała fura i stanęła przed bramą składu węgla. Po chwili rozległy się ciężkie stapania i do okienka budy zapukał Abram, wołając:

— Panie, jedziem!... Już pora!...

Nie odpowiedział mu nikt.

Żyd wrócił do fury, zabrał stamtąd świeczkę, zapalił ją i wszedł do izdebki. Znalazł na środku rozbitą kuferek, a na tapczanie pana Karola, który leżał z głową zawiniętą w futro.

— Panie, niech się pan zbiera, jedziem! — rzekł Abram, potrącając go w nogę.

— Już nie jadę... — odparł stłumionym głosem pan Karol.

— Dlaczego pan nie ma jechać?...

— Okradli mnie... Rzeczy, pieniądze, wszystko!...

— A wal... to się pani zmartwi.

— Nie mów nic pani o tem, zem miał jechać, ani słowa!... Żyd, trzymając w ręku świeczkę, pokiwał głową.

— Kiej nie mówić, to nie powiem, ale zawdy szkoda!... Tak się państwo długo nie widzieli i ja straciłem zarobek... Dobranoc panu!

Na drugi dzień wstał pan Karol rano jak zwykle i wziął się, jak zwykle, do sprzedaży węgla. Był napozór obojętny, tylko trochę cierpki — ale furmanom zdawało się, że mu jakby więcej szerniała broda i posiwiała głowa.

Było to przecież złudzenie. Pan Karol miał brodę tak czarną jak dawniej i osiwiiał nie przez tę noc, ale przez cały rok. Przez te zaś kilka godzin więcej pożółkł i dlatego wydawał się bardzo zmieniony.

Nie jadł obiadu, ale na wieczór kupił wędzonego śledzia i bułek. Przyrządził jak zwykle herbatę w blaszanym imbryku, zjadł tę skromną wigilję i zabrał się — do malowania umbrelek na przyszły wyjazd, spokojny, jak człowiek, który nawet przed pustką nie chce zdradzić swojej boleści.

Ale gdy późnym wieczorem, z poza parkanu, od niskich domów, gdzie mieszkali wyrobnicy i dorożkarze, doleciały go głosy mężczyzn, kobiet i dzieci, śpiewających kolędę, samotnik zepchnął na ziemię stos kolorowych bibulek, oparł twarz na rękach i zapłakał...

Niekiedy świat taką tylko może dać pociechę zdeptanej duszy ludzkiej.

ZWIERCIADŁO.

U państwa X. był bal. Na ulicy furmani od godziny rozprawiali o przymiotach koni i niedogodnościach stajen. W kuchni miejscowa służba przemawiała się z najętymi lokajami, a ci wydrwiwali ciasnotę pomieszczenia, brak stołowych sreber i krzyczącą różnorodność talerzy i półmisków. Wreszcie w salonie — pocił się garbaty fortepianista i skrzypek suchotnik, wirowały zadyszane pary, damy szeptały: „Merci monsieur!” a od płonących świec i lamp, ciągnęły ku drzwiom niedostrzegalne smugi kopci.

Co chwilę wchodził ktoś, stawał w otwartych drzwiach i zapinając rękawiczki, pożartował w duchu z muzyki albo litował się nad szalem taneczników. Lecz wnet i jego odurzył swąd światła, w uszach zaczynało szumieć, w oczach robiło się białe, kremowo, niebieskawo, różowo, muślinowo, jedwabno i aksamitno, głowa ciężła, nogi nabierały niezwyklej sprężystości i — biegł na środek posadzki szaleć z innymi. A gdy spojrział w rozgorączkowaną twarz tancerki i uczył przy sobie ciepłe jej ciało, jad balowego tyfusu do reszty zakazał mu krew, oczy błyszczały, a puls dosięgał stu dwudziestu uderzeń na minutę. Morbus saltandi chwytła nową ofiarę.

Był dopiero początek zabawy, więc w tańczących, choć już stracili władze duchowe, tlił jeszcze instynkt podobania się. Większość pań i panów, spoglądając w przelocie na jedno z czterech luster salonu, jeszcze mogli dostrzec jakiś niekorzystny rys w swojej powierzchowności. A gdy rozległo się sakramentalne: „Merci monsieur!” jedno lub drugie ogniwo pary wysuwało się z salonu, aby w lustrze dalszego pokoju dokładniej zbadać szczerbę w swych wdziękach. Wówczas między człowiekiem i zwierciadłem zawiązywała się milcząca rozmowa we dwoje.

Dama I. Idalja wciąż uśmiecha się, patrząc na mnie. Mów, co widzisz, tylko prędko...

Zwierciadło. Wtyle, z pod włosów wysuwa się podkładka.

Dama I. W którym miejscu?...

Zwierciadło. Z prawej strony.

Dama I. Wskaż dokładniej... Milczysz?... Cóżto za obrzydłe lustro!... *(Wychodzi)*.

Mężczyzna I. Ciekawym, dlaczego dziś damy patrzą na mnie tak niechętnie?

Zwierciadło. Sztuczne zęby...

Mężczyzna I. Milcz, potwarco!... *(Wychodzi)*.

Dama II. Co się ze mną dzieje, dlaczego jestem tak zmieniona?

Zwierciadło. Zły gatunek blanszu... Dama II. Szkaradne lustro!... *(Wychodzi)*.

Dama III. Co to znaczy, jestem dziś najpiękniejszą, a tańczę mniej niż kiedykolwiek?...

Zwierciadło. Złękli się wypożyczanych brylantów...

Dama III. Ach! jakież to niegodziwe lustro... *(Wychodzi)*.

Słowem, ktokolwiek tu wszedł — kobieta czy mężczyzna, każdy wychodził z gniewem i wstrętem od zwierciadła.

W sali zagrano kontredansa i nastąpiła chwila, że przez dłuższy czas nikt nie zaglądał do pokoju. Wtedy — rozsunięta się opuszczona portjera i na środek wbiegła kilkunastoletnia dziewczynka. Złożyła zwierciadłu piękny ukłon i patrząc z uśmiechem na odbicie swojej osóbki, zaczęła z nią rozmowę.

— Bardzo jestem kontenta, że znowu panią widzę. Ciągłe nam przeszkadzają nagadać się. Pani musi wciąż tańczyć albo bawić gości, a ja...

„A pani dlaczego nie tańczy?”

— O, ja siedzę przy mojej córeczce... Jużem ją położyła spać.

„Zapewne i w pokoju stołowym ma pani dużo zajęcia?”

— Miałam bardzo dużo, ale bona wyprowadziła mnie stamtąd.

„Więc dlaczegoż pani nie idzie do gabinetu papy?”

— Byłam i tam, ale papa kazał mi wyjść, bo jest za wiele dymu.

„Więc gdzież pani bawi, gdy ja tańczę?”

— Siedzę za portjerą i boję się, żeby mnie kto nie zobaczył...

„To pani jest bardzo nieszczęśliwą, szczerze panią żałuję!...”

Skończywszy rozmowę z samą sobą, dziewczynka wybuchnęła śmiechem i klaszcząc w rączki, zgięta w pół, przybiegła do lustra.

— Dobre, kochane lusterko... Żebyś nie ty, jakby mi było smutno!

I wspiąwszy się na paluszkach, dodała:

— Chodź, dam ci zato buzi... Tylko ostrożnie, żeby nas kto nie zeszedł...

Przygotowano na podstawie bookini.pl